

**Alex McAulay**

# **ZAGUBIONE**

**Przełożyła**

**Magdalena Gawlik-Małkowska**

**Prószyński i S-ka**

# Zdradzona

Jasnowłosa dziewczyna zsunęła się po skale i zaczęła pospiesznie przedzierać między drzewami. Nogi miała podrapane od wysokiej trawy, wilgotne włosy kleiły się do czoła. Za wszelką cenę pragnęła uciec, ale nie wiedziała, dokąd zmierza.

Naraz dostrzegła przed sobą mętny staw; skrzyła w lewo, chcąc ominąć go niepostrzeżenie. Usłyszała wysoki dźwięk i zamarła. Własny oddech huczał jej w uszach. Powoli osunęła się na kolana, próbując nie wywoływać najłżejszego szmeru. Czyżby ją znaleźli?

Po chwili znów usłyszała tamten odgłos. Początkowo wzięła go za krzyk jakiegoś ptaka, lecz niebawem zrozumiała, że to gwizd. Sztywniejąc ze strachu, skuliła się w cieniu między dwoma dużymi kamieniami na skraju wody.

Może mnie nie zauważą, pomyślała. Ale co będzie, jeśli im się to uda?

Gwizd dobiegał z oddali, z drugiego brzegu. Uznała, że kamienie to marna kryjówka i próbowała wycofać się tyłem, nisko przy ziemi,

Gwizd ucichł.

- Anna? - usłyszała i serce zabiło jej mocniej ze strachu. - Wiem, że gdzieś tu jesteś. - Dobiegł ją trzask łamanych gałęzi, mężczyzna zbliżał się nieubłaganie.

Napięła wszystkie mięśnie. W razie czego ponownie rzuci się do ucieczki.

- Postępujesz nierozsądnie - powiedział drwiąco mężczyzna; dziewczyna wzdrygnęła się z odrazą. - Jeszcze zrobisz sobie krzywdę. - Urwał. - Chryste, ale upał.

- Usłyszała ostrożne kroki. Serce waliło jej tak mocno, jakby zaraz miało wyskoczyć z piersi. Mrugnęła, by strząsnąć z powieki kroplę potu. Nie widzisz mnie, pomyślała. Jestem niewidzialna.

- Anna? - Mężczyzna był teraz znacznie bliżej.

Żeby tylko mnie nie zauważył, błagała w duchu. Że by mnie minął.

- Tam! Przy kamieniach! - wrzasnął triumfalnie. - Jest!

Anna zerwała się i grzęznąc w błocie, obróciła ku niemu jak osaczone zwierzę. Mężczyzna był niski; z powodu złamanego nosa nazwała go Bokserem. Dzieliło ich zaledwie dziesięć jardów; pędził ku niej z pochyloną głową.

Wiedziona desperackim pragnieniem wolności Anna ponownie wpadła między drzewa. Biegając, rozgarniała gałęzie, a Bokser, który pędził w ślad za nią, przeklinał, kiedy uderzały go w twarz. Biegła ile sił w nogach. Naraz zderzyła się z czymś tak gwałtownie, że mało nie straciła przytomności. Runęła ciężko na błotnistą ziemię.

Silne ramiona objęły ją w pół i postawiły na nogi. Szarpnęła głową, bezskutecznie usiłując oswobodzić się z uścisku mężczyzny. Cuchnął stęchłym potem i benzyną. To nie był Bokser, tylko ten drugi, zwałysty, o karku równie szerokim jak ogolona głowa. Na oko sześć stóp i trzy cale oraz dwieście funtów żywej wagi.

Miał gorący oddech i ramiona jak żelazne obręcze. Anna szarpała się z wściekłości i bólu. Ścisnął mocniej.

- Świetnie! - zawołał Bokser. Zdyszany wspiał się na skałkę widoczną tuż za nimi. - Powinieneś grać w rugby! Może upadek ją nieco otrzeźwi. Ależ ona biega.

Olbrzym odchrząknął coś w odpowiedzi.

Anna poczuła w ustach metaliczny smak. Stwierdziła, że przygryzła sobie wargę. Boki bolały ją od uścisku mężczyzny. Przywierał do niej całym ciałem. Poczowała wstręt.

Bokser stanął przed nimi.

-W porządku?

Anna spojrzała na niego spode łba, kipiąc złością. Bokser wybuchnął śmiechem.

-Pora na milczącą wzgardę.

Uścisk olbrzyma przyprowadził Annę o zawrót głowy. Bokser zgromił towarzysza wzrokiem.

-Poluzuj uścisk, stary. Przecież nie chcemy jej zabić.

-Jest dostatecznie luźny - odparł tamten, lecz posłuchał i Anna znów mogła odetchnąć głębiej.

Bokser rozejrzał się wokół.

-Będziemy musieli wlec ją przez jar do samochodu. Chyba nie dam rady. - Podrapał się w czubek łysiejącej głowy. Był żyłasty i miał kanciastą, opaloną twarz. Gdyby nie spłaszczony nos i przerzedzone włosy, byłby całkiem przystojny. - Anno, puścimy cię pod warunkiem, że nie będziesz uciekać. Nie możemy uganiać się za tobą cały dzień. Zresztą i tak nie masz dokąd uciec. Stąd aż do Miami ciągną się tylko bagna i lasy.

Anna spojrzała w jego niebieskie oczy.

-Nie ucieknę - powiedziała ochrypłym głosem.

-Zatem umowa stoi. Lepiej, żebyś szła, niż mielibyśmy cię nieść.

Olbrzym puścił dziewczynę i odsunął się.

-Żadnych sztuczek - ostrzegł szeptem. - Bo jeszcze przypadkiem złamiesz sobie rękę.

Bokser zmarszczył brwi i udał, że nie słyszy.

-Tędy.

Anna ruszyła przodem przez las, do samochodu. W jej oczach wezbrały łzy gniewu. Była głupia, że próbowała ucieczki. Co sobie właściwie wyobrażała? Najchętniej skuliłaby się i popłakała, ale nie pozwoli, aby oglądali ją w takim stanie. Gdy szła przez las, potykając się co chwila, obiecała sobie solennie, że jak już będzie po wszystkim, słono zapłacą za jej krzywdę. W szarej półciązarówce panował nieznośny zaduch. Bokser zamknął dziewczynę z tyłu; skuliła się na wąskiej, metalowej ławce. Znowu dała się uwięzić jak zwierzę. Ta myśl przyprawiła ją o mdłości.

Włączono silnik i samochód wjechał na autostradę. Z tyłu nie było okien, nie licząc umieszczonych w drzwiach okrągłych szybek zamalowanych farbą. Dodatkowo zabezpieczono je drucianą siatką. Anna kopnęła w przegrodę oddzielającą ją od kabiny kierowcy, lecz nie przyniosło to żadnego skutku. Kiedy przycisnęła do niej ucho, doleciał ją szmer rozmowy, ale nie zdołała rozróżnić słów.

Anna oparła się o rozedrganą ścianę samochodu. Wewnątrz panował półmrok i hałas. W rozgrzanym powietrzu unosił się smród brudnych skarpet. Ciekawe, ile dziewcząt wieźli tu przed nią. Nie licząc próby ucieczki, która trwała całe trzy godziny, przebywała w samochodzie od szóstej rano. Teraz było chyba późne popołudnie. Mężczyźni wypuścili ją tylko dwa razy, żeby mogła się załatwić, kucając na poboczu. Za drugim razem skorzystała z okazji i zbiegła po nasypie prosto do lasu. Wiedziała, że to na nic, ale mimo to spróbowała. Nie było sensu poddawać się bez walki.

Była wymęczona jak nigdy, a na dodatek głodna jak wilk. Dali jej tylko paczkę sucharów oraz litr wody w plastikowej butelce. Czowała się brudna i zatraciła poczucie jedności z własnym ciałem.

Kiedy mężczyźni zatrzymali się na stacji benzynowej, Anna załomotała pięściami w ścianę.

-Pomocy! - krzyknęła. -Wyciągnijcie mnie stąd!

Ktoś zastukał w odpowiedzi, ale natychmiast zorientowała się, że to tylko Bokser. Usłyszała jego śmiech i ciarki przebiegły jej po plecach.

-Trzymaj się, mała. Nikt nie przyjdzie ci z pomocą.

W bezsilnej złości załomotała raz jeszcze i usłyszała kolejny wybuch śmiechu. Opadła na ławkę. Kopnęła butelkę z wodą, która z hałasem wylądowała pod ścianą, po czym przyturlała

się z powrotem. Wreszcie ponownie rozległ się odgłos zapuszczanego silnika i ruszyli w drogę.

Anna potarła oczy i przypomniała sobie koszmarną scenę z poranka, kiedy tamci złożyli jej niespodziewaną wizytę.

Mogłam w ogóle nie wracać na noc, pomyślała z niechęcią.

Około trzeciej nad ranem Ryan, jej chłopak, przywiózł ją pod dom. Weszła do pokoju przez okno. Zrobiła to bezszelestnie, przekonana, że rodzice nic nie zauważą. Przypomniała sobie miły dotyk pościeli i woń nikotyny we włosach.

Następną rzeczą, którą pamiętała, było zapalone znieczulenie światła i wrzask obcego człowieka. Przeżrana i zdezorientowana usiadła na łóżku i zobaczyła, że stoi nad nią nieznajomy mężczyzna.

To był Bokser. Ten drugi, olbrzym, tarasował drzwi.

-Co jest? - krzyknęła, czując jak krew ścina jej się w żyłach. - Mamo! Tato!

-Wyskakuj z łóżka - polecił mężczyzna. -I przestań wrzeszczeć. Rodzice ci nie pomogą.

-Tato! - powtórzyła, lecz głos uwiązł jej w zaciśniętym ze strachu gardle. Ogarnęły ją najgorsze przecucia.

-Powiedziałem wstawaj. Pomóc ci? - Bokser złapał ją za lewą rękę i szarpnięciem wyciągnął z łóżka. Leżała na podłodze w niebieskiej koszulce i spodenkach.

-Czego chcecie? - spytała, nie mogąc opanować głosu.

-Ubierz się - powiedział mężczyzna, rzucając jej spodnie. - Załóż je. - Olbrzym stał w drzwiach jak posąg. Patrzył, jak Anna wstaje i naciąga spodnie.

-Co się dzieje? Co wy tu robicie? Zabieracie mnie gdzieś? Muszę porozmawiać z rodzicami. - Wiedziała, że plecie, ale nie mogła się powstrzymać. Kręciło jej się w głowie.

Obaj mężczyźni milczeli.

-Załóż buty. Wygodne - poinstruował Bokser.

Anna wykonała polecenie. Oszołomiona wciągnęła czarne półbuty. Miała poczucie, jakby trafiła w sam środek koszmaru; zastanawiała się, czy tamci dwaj istnieją naprawdę.

-Do drzwi. Będę tuż za tobą.

Cała roztrzęsiona skierowała się ku wyjściu. Lewe ramię promieniowało bólem. Olbrzym szedł tuż przed nią i wszyscy troje opuścili pokój.

-Gdzie są moi rodzice? - spytała. - Muszę ich zobaczyć. Muszę z nimi porozmawiać.

-Teraz martwisz się o rodziców - odpowiedział Bokser. - Typowe - dodał obojętnym głosem.

- Idziemy.

Anna przeszła z nieznanymi przez przestronny dom, mijając po drodze gigantyczną jadalnię ze sklepionym sufitem, a potem salon z białymi skórzanymi kanapami. Pomimo zapalonych świateł w domu panowała dziwna cisza, niczym w katedrze w dzień powszedni. Podeszli do dębowych drzwi frontowych. Olbrzym otworzył je i wypchnął Annę na werandę. Rodzice czekali na zewnątrz, kompletnie ubrani. Matka wyglądała, jakby wcześniej płakała: miała czerwone i zapuchnięte oczy. Twarz ojca była pozbawiona wyrazu. Stał wyprostowany, jakby nadal dowodził armią. Przez dwadzieścia lat służył w wojsku, po czym napisał kilka książek o charakterze religijnym zapowiadających koniec świata. Popatrzył na Boksera i kiwnął głową.

A więc jednak, pomyślała ponuro Anna, czując, jak serce wędruje jej do żołądka. Nie sądziła, że ojciec posunie się tak daleko. Poczwała, jakby ktoś wbił jej nóż w plecy.

-Jak mogłeś mi to zrobić? - spytała. Wiedziała, że

to jego decyzja; matka nigdy by jej nie odesłała, bez względu na jej postępowanie.

-Ostrzegałem cię, Anno - odparł lodowato. - Nie mów, że cię nie ostrzegałem. Daliśmy ci szansę poprawy, ale ty nie miałaś zamiaru wyciągnąć wniosków ze swoich błędów. Nadal grzeszyłaś, choć wiedziałaś, czym to grozi.

-Ale tato... - bąknęła, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć. Zaszło jej w ustach. Jeżeli tylko istniał cień nadziei, żeby się wymigać, nie chciała jej zmarnować. - Tato, nie musisz tego robić. To nic nie da. Wiem, że ostatnio zawaliłam sprawę, ale to się zmieni. Tylko daj mi szansę. Pokażę, na co mnie stać, ale musisz mi dać szansę!

Słowa padały w próżnię.

-Wyczerpałaś limit, Anno. Jestem twoim ojcem i mam obowiązek przeszkodzić ci w rujnowaniu sobie życia.

-Proszę! - krzyknęła Anna. Słowo wydawało się słabe i bez znaczenia. Zbyt słabe, by wyrzeć jakikolwiek skutek.

Zwróciła się do matki, której polakierowane włosy prezentowały się doskonale bez względu na porę. - Mamo, czy nie zasługuję na drugą szansę? Będę grzeczna, obiecuję. Nie pozwól, żeby mi to zrobił.

-To była nasza wspólna decyzja - wtrącił ojciec. Swoim zwyczajem nawet nie dopuścił matki do głosu. Uważał, że kobiety kierują się emocjami i nie można na nich polegać; lata spędzone w wojsku i obsesja na punkcie Biblii utwierdziły go w tych poglądach. - Podjęliśmy ją jednomyślnie.

-Ale to niesprawiedliwe! - krzyknęła Anna łamiącym się ze złości głosem. Czuła, jak jej gniew narasta i dłużej nie mogła się opanować. - Ty nic nie rozumiesz! W ciągu czternastu lat nigdy mnie nie słuchałeś! Nie ufałeś mi! Dureń z ciebie! Nienawidzę cię...

Natychmiast uświadomiła sobie swój błąd. Choć psychoterapeutka ostrzegała ją przed podobnymi wybuchami złości na ojca, najwyraźniej jej przestrogi nie odniosły skutku. Anna chciała dodać coś jeszcze, gdy naraz poczuła, jak czyjaś dłoń boleśnie wpija jej się w kark. Bokser.

-Nie wolno tak mówić do rodziców – powiedział z niewzruszonym spokojem. - Nie pozwolimy ci na to, nawet jeśli oni nie mają nic przeciwko temu.

Olbrzym przysunął się niebezpiecznie blisko.

-Przepraszam - polecił Bokser.

-Nie - odparła. - Nie przepraszę. Za kogo się macie, żeby mi rozkazywać? Nie znacie mnie. Mężczyzna zacisnął palce i przygiął ją do ziemi, tak, że niemal dotknęła ustami brudnych desek werandy.

-Zła odpowiedź - powiedział. - Powtórz za mną: Przepraszam, że jestem takim niewdzięcznym, zepsutym bachorem. - Uścisk palców przybrał na sile. - Powiedz to, Anno. Mów.

Anna z ociąganiem powtórzyła słowa Boksera. Puszczając ją; opadła na kolana, rozplamiona ze wstydu. Olbrzym cofnął się i oparł o ścianę domu, nie spuszczać z niej wzroku. Najwyraźniej świetnie się bawił.

-Mówiliście, że nie zrobicie jej krzywdy - odezwała się nieoczekiwanie matka.

-Proszę się nie martwić, przecież to drobnostka -uspokoił ją Bokser. - Nic nie bolało. Używamy tej techniki, kiedy za bardzo dokazują. Jak w judo albo zapasach.

Anna czujnie spojrzała na rodziców.

-Dokąd mnie wysyłacie?

Ojciec przeniósł na nią wzrok.

-Na dwunastotygodniowy obóz na wyspie Andros, nieopodal wybrzeża Florydy. - Jego ton świadczył dobitnie, że czekał na to od dawna. - To obóz Archstone, dla dziewcząt z problemami, takich jak ty. Dowiesz się, co znaczą dyscyplina i szacunek oraz nauczysz się zachowywać jak młoda dama, a nie rozwiązywać chuligan. Dwanaście tygodni, pomyślała Anna. Jest gorzej, niż sądziła. Należało niezwłocznie znaleźć jakieś wyjście z sytuacji.

-Poprawczak - mruknęła z goryczą.

-Nie poprawczak, tylko obóz - uściślił ojciec.

-Co ze szkołą? Jest środek semestru. Za dwa tygodnie bal semestralny. A moi znajomi?

-To nie wakacje - ciągnął ojciec, puszczając jej słowa mimo uszu. - Czekaj cię ciężka praca, zarówno fizyczna, jak i umysłowa. Zajęcia resocjalizacyjne i ostre ćwiczenia treningowe. Rozmawiałem z kierownictwem, są bardzo chętni do pomocy. Wierzę w ciebie, Anno, i mimo dzielących nas różnic wiem, że w głębi serca pozostałaś dziewczynką, którą pamiętam i kocham.

-Pożałujesz tego - zagroziła Anna. - Wrócę gorsza, niż jestem.

-Raczej nie. Poza tym chyba nie możesz przynieść nam jeszcze większego wstydu. Wiem, że po powrocie z obozu Archstone będziesz inna.

-Muszę zadzwonić do Ryana.

Na dźwięk imienia chłopaka Anno ojciec wzdrygnął się nerwowo.

-Wybij to sobie z głowy. Ten łobuz przysporzył ci wystarczająco dużo problemów. Jeśli zadzwoni, matka poinformuje go o naszej decyzji. W szkole już wiedzą; mamy ich stuprocentowe poparcie. W ciągu ostatniego miesiąca opuściłaś osiem dni; domyślają się, że potrzebujesz pomocy. Po przyjeździe z Archstone przyjmą cię z powrotem. Stracisz jeden semestr, ale przy odrobinie wysiłku zdołasz nadrobić.

-Ale Ryan to mój chłopak - rzuciła błagalnie Anna. - Muszę się z nim pożegnać.

-Ryan Holloway to grzesznik! Nie będziesz z nim rozmawiać, po moim trupie!

Anna spojrzała na ojca spode łba. Nienawidził Ryana, gdyż uważał go za sprawcę jej ciąży. Jakiś miesiąc wcześniej Anna dokonała aborcji, co rozwścieczyło ojca i zapoczątkowało groźby na temat poprawczaka. Szkoda, że nie wiedział, kto jest prawdziwym winowajcą, zaskoczyłoby go to na pewno.

-Proszę, nie rób tego - poprosiła. - Zrobię wszystko, co zechcesz. Nie zasługuję na taką karę.

-Ostrzegałem cię, Anno, że jeśli po incydencie z Ryanem nadal będziesz włóczyć się z chłopakami, nie dostaniesz kolejnej szansy. Pomimo moich zakazów spotkałaś się z nim dzisiaj i trzy dni temu. Twoja matka i ja nie jesteśmy głupcami. Widzimy, co się dzieje, i nie chcemy tego przeżywać jeszcze raz. Twój grzech z nas również zrobił grzeszników. Pomyśl dla odmiany o swoich rodzicach! Na dodatek pijesz i palisz. Jestem pewien, że zażywasz też narkotyki, więc nie zaprzeczaj. Rujnujesz naszą rodzinę.

A ja to co! Anna mało nie krzyknęła. Nie miał pojęcia o tym, co przeszła. Wszyscy powtarzali, że aborcja to najlepsze rozwiązanie, lecz tylko ona jedna boleśnie odczuła stratę. Skoro ojciec był takim zagorzałym katolikiem, to dlaczego posłał ją na skrobankę? Co za hipokryta.

Chciał zachować twarz. Zabieg był potajemny. Jako popularny katolicki pisarz ojciec nie zdołałby ukryć faktu, że jego nastoletnia córka urodziła nieślubne dziecko. Skandal



zwichniąby mu karierę. Religijni fanatycy, którzy stanowili większość jego czytelników, tworzyli plotkarską i mściwą zgraję.

-Na nas już czas - wtrącił Bokser. Dramatyczna scena wyraźnie go nużyła. - To długa droga.

-A moje rzeczy, ubrania?

-Zaczekają na twój powrót. Ojciec dał nam twój paszport oraz dokumenty potrzebne do wjazdu na wyspę. Pozostałe rzeczy zapewni ci obóz Archstone. Chodźmy, samochód czeka. - Wskazał na pozbawioną okien, szarą półciężarówkę, którą Anna wkrótce miała poznać tak dobrze. Dziewczyna poczuła przyływ strachu. Bokser musiał coś zauważyć, gdyż dodał: - Możemy to zrobić na dwa sposoby, łatwy bądź trudny. Łatwy mniej boli.

-Będzie dobrze - zawołała nieśmiało matka, jakby próbowała przekonać samą siebie. Anna stwierdziła, że nie pozostaje jej nic innego, jak wsiąść do samochodu. Ostatni raz popatrzyła na ojca.

-Odtąd już zawsze będę cię nienawidziła - powiedziała. Chociaż jej jadowity ton nie pozostawiał wątpliwości, że mówi prawdę, uczucia były daleko bardziej złożone. Kiedy spoglądała z nienawiścią na kochaną niegdyś twarz, czuła się, jakby pękało jej serce.

-Za dwanaście tygodni będziesz mi dziękować - odrzekł ojciec. - Niech Bóg czuwa nad twoją znękaną duszą. Będziemy się za ciebie modlić, Anno.

Samochód podskoczył na wyboistej drodze, przerywając jej niewesołe rozmyślenia. Przymknęła oczy. Z powodu upału poczuła się senna. Kilkakrotnie zapadała w niespokojną drzemkę, po czym budziła się z biciem serca, kiedy pojazd zwalniał.

Po wielogodzinnej podróży samochód stanął i Anna gwałtownie poderwała głowę. Usłyszała, jak mężczyźni rozmawiają w szoferce, a następnie dobiegł ją szcęk otwieranych drzwiczek od strony kierowcy. Ktoś podszedł do tylnych drzwi. Gdyby Bokser nie był taki silny, mogłaby spróbować go kopnąć i uciec. Jednak bała się, że może jej zrobić krzywdę. Ból w klatce piersiowej wciąż nie pozwalał zapomnieć jego uścisku.

Tylne drzwi stanęły otworem, wpuszczając do środka rześisty blask słońca. Anna zamrugła.

-Możesz wsiąść.

Wstała i rozcierając zeszywniałe, obolałe nogi pokuśtykała do wyjścia. Bokser wyciągnął rękę, aby pomóc jej wsiąść.

-Gdzie jesteśmy? - spytała niepewnie.

-Na regionalnym lotnisku hrabstwa Dade.

Anna rozejrzała się. Na polu startowym lśnił w słońcu rząd małych odrzutowców i śmigłowców.

-Tak jest. Na Andros można się dostać jedynie statkiem bądź samolotem. Samochodem ani rusz, dlatego tutaj cię zostawimy. - Wskazał na jeden z odrzutowców.

-Nasze zadanie dobiegnie końca w chwili, gdy wsiądziesz do tego samolotu. - Odkaszlnął i splunął na ziemię. - Jeśli sądzisz, że masz za sobą ciężki dzień, czeka cię wielka niespodzianka. - Uśmiechnął się ironicznie.

-Szkoda, że nie zobaczę cię za trzy miesiące. Staniesz się innym człowiekiem. Niejednokrotnie bywałem świadkiem podobnych przemian.

Anna nie miała zamiaru stać się innym człowiekiem.

-Aha.

-Harda jesteś. Im trudniejsza na początku, tym bardziej potulna na końcu.

Anna nie siliła się na odpowiedź. Bokser szydził z niej; miała tego powyżej uszu. Głód i strach ścisnęły jej żołądek. Żałowała, że nie może zadzwonić do Ryana, on znalazłby jakieś wyjście. Może postępując z nią w ten sposób rodzice naruszyli prawo i powinna zawiadomić policję. Wszystko odbyło się tak szybko.

Anna oceniła trzeźwo sytuację. O ucieczce nie było mowy, olbrzym w szoferce nie spuszczał z niej oka. Gdyby puściła się biegiem, po prostu by za nią pojechał. Miała świadomość, że wpadła jak śliwka w kompot. Kipiała złością na ojca, za to co zrobił, i na matkę, zbyt słabą, aby temu zapobiec. Była też wściekła na siebie. Podejrzewała, że rodzice podejmą drastyczne środki, a mimo to nie kiwnęła nawet palcem, by do tego nie dopuścić.

-Kiedy dostanę coś do jedzenia? - zapytała Boksera. - Od rana mnie głodzicie. Poza tym chce mi się pić. To nie do wytrzymania.

Potrzęsnała głową.

-Wszystko przed tobą. Opuszczenie kilku posiłków nie oznacza jeszcze śmierci głodowej. Zresztą nakarmią cię na wyspie.

Anna domyśliła się, że przymusowa głodówka stanowiła chwyt psychologiczny. Miała na celu osłabić jej wolę walki i na wstępie zmusić do posłuszeństwa. Ojciec często stosował podobne triki, na co reagowała złością, która kompletnie ją wykańczała. Ojciec budził w niej najgorsze instynkty. Wielokrotnie rozmawiała o nim z terapeutką. Oczami wyobraźni zobaczyła teraz doktor Cochran, wiotką staruszkę o przeredzonych siwych włosach, ze srebrnym krzyżykiem na szyi. Zastanawiała się, czy ta kobiecina pomogła rodzicom w podjęciu decyzji o wysłaniu jej do Archstone.

-Twój pilot - powiedział Bokser, mrużąc oczy. Anna podążyła za jego spojrzeniem. Jakiś mężczyzna przecinał właśnie pas startowy, idąc w ich kierunku. Bokser pomachał ręką. - Mamy twój ładunek! Uważaj na nią. Po drodze mało nam nie uciekła.

-Tracisz formę? - spytał pilot.

-Oby nie. - Bokser potrząsnął głową.

Anna stała naburmuszona, z kciukami zatkniętymi za kieszenie džinsów. Ciekawe, czy po świecie chodziło wielu ludzi takich jak Bokser, którzy porywali niesforne dziewczęta i zsyłali je do obozów niczym jeńców wojennych.

-Ładna pogoda. Powinniśmy tam dotrzeć za niecałą godzinę, a potem do domu na kolację. Spóźnioną kolację. - Pilot zwracał się bezpośrednio do Boksera, ponad głową Anny. Kiedy jego oczy napotkały spojrzenie dziewczyny, zobaczyła w nich pogardę, jakby była zwykłym śmieciem.

-Wybacz, stary - odpowiedział Bokser. - Wymknęła się nam, co tu dużo mówić. Dzięki, że fatygowałeś się drugi raz.

Pilot wzruszył ramionami.

-Płacą mi za nadgodziny.

-Ach, byłbym zapomniał. Jej stary prosił o telefon, kiedy przyjedziemy na lotnisko, żeby potwierdzić, że wszystko gra.

Pilot wyszczerzył zęby.

-Mała cała i zdrowa

Bokser wyjął telefon komórkowy i wystukał numer.

-Pan Wheeler? - Umilkł. - Tak, proszę pana. Dotarliśmy na miejsce. - Kolejna pauza. - Wiem. Mieliśmy niewielki poślizg, ale wszystko w porządku. Jest bezpieczna. Nie, nie. Ależ skąd. - Podał telefon Annie. -Ojciec chce zamienić z tobą słówko.

Anna potrząsnęła głową i z kamienną twarzą wbiła wzrok w pas startowy.

-Nie będzie rozmawiać - oznajmił Bokser do telefonu. - Jak pan chce, mogę ją zmusić. - Chwila ciszy. -Nie, no jasne. Zaraz zapakujemy ją do samolotu. -Z powrotem wsunął telefon do kieszeni. - Idziemy.

Z Bokserem deptającym jej po piętach Anna poszła za pilotem w kierunku niedużego samolotu, który miał ją zabrać na wyspę Andros. Wspiąwszy się na skrzydło, pilot otworzył właz i rozłożył metalowe schodki. Anna czuła się jak tępe zwierzę prowadzone na rzeź. Bokser towarzyszył jej aż na samą górę, gdzie upewnił się, że spoczęła bezpiecznie na swoim siedzeniu.

Stanął w przejściu, spoglądając na nią z góry.

-Tylko nie próbuj uciekać - pouczył. - Wyspa to największa niezbadana połać lądu na półkuli zachodniej. Przepadniesz jak kamień w wodę. Andros to trzy miliony akrów lasu.

Anna wyjrzała przez okno, rozmyślnie go ignorując. Odwrócił się z westchnieniem i opuścił kabinę, nie oglądając się za siebie. Anna zachodziła w głowę, czy samolot jest bezpieczny i czy pilot w razie czego ma zamiennika. Gdyby zginęła w wypadku, ojciec miałby za swoje. Przymknęła oczy. Nienawidziła małych samolotów. Samotność w kabinie przerażała, hałas silników był ogłuszający. Ścisnęło ją w pustym żołądku. Kiedy ponownie wyjrzała przez okno, ziemia umykała spod kół.

Niebawem samolot leciał nad oceanem, zielonkawą głębią przecinaną białą grzywiastych fal przybrzeżnych, wśród których z rzadka pojawiała się żaglówka. Nic, tylko woda, jak okiem sięgnąć.

Mimo że lot trwał zaledwie godzinę, Annie czas włókł się niemiłosiernie. Była jednak zbyt zdenerwowana, by odczuwać nudę; rozmyślała o tym, jak przetrwa najbliższe trzy miesiące i w jakim towarzystwie. Pewnie zastanie w obozie zwyrodniałe dziewczuchy, które biją własne babcię. Może jej też dołożą. Zazwyczaj nie znajdowała z dziewczętami wspólnego języka i z trudem znosiła kapryśne usposobienie nielicznych przyjaciółek. Obawiała się, że na wyspie nie sprosta czeredzie rozwydrzonych nastolatek.

Rozmyślała też o tym wszystkim, czego jej będzie brakowało: o Ryanie, zakupach, szkolnych rozgrywkach piłkarskich, wielokrotnym oglądaniu „Przyjaciół”. Na widok chmur i oceanu za oknem pożałowała, że nie pozwolono jej zabrać aparatu. Leżał w brązowym pokrowcu pod łóżkiem, gdzie przez najbliższe trzy miesiące będzie zbierał kurz. Umiała robić ładne zdjęcia. Pomyślała o panu Spate, nauczycielu fotografii. Ciekawe, co teraz robi. Relacja z panem Spate była dość skomplikowana, to właśnie on stanowił pośredni powód jej „wignania”. Anna postanowiła nie zaprzętać sobie nim głowy. Wspomnienia były zbyt bolesne.

Samolot zanurkował w powietrzu; Anna poczuła, jak serce podskakuje jej w piersi. Myślała już, że zwymiotuje, lecz pilot wyrównał kurs. W oddali dostrzegła ciemny zarys lądu na horyzoncie. Samolot odbił w lewo, kierując się ku najbardziej wysuniętemu na północ krańcowi wyspy.

A więc to jest Andros, pomyślała. W miarę zbliżania się do wyspy obniżyli lot i dostrzegła małe łodzie na powierzchni wody. W porównaniu ze lśniącymi jachtami, pojawiającymi się u wybrzeży Florydy, wyglądały na stare i zniszczone. Widziała ludzi na pokładach, maleńkich jak mrówki ciemnoskórych wyspiarzy, którzy zarzucali sieci.

Nagle usłyszała jakieś trzaski; pilot rozmawiał przez radio z wieżą kontrolną. W dole woda ustąpiła miejsca ziemi i Anna poczuła narastającą rozpacz. Samolot leciał ponad zbitą masą drzew pozbawioną jakichkolwiek śladów cywilizacji. Z rzadka widać było polany z paroma

chatami, jednak zgodnie z zapowiedzią Boksera większa część wyspy zdawała się kompletnie nie-zamieszkana.

Samolot przystąpił do lądowania. Upewniwszy się, że ma zapięte pasy, Anna zeszywniała na swoim siedzeniu. Nie znosiła lądowań. Kiedy trzy lata wcześniej leciała z rodzicami do San Diego, nieomal wpadła w histerię i matka musiała trzymać ją za rękę, dopóki nie wylądowali. Tamta wyprawa zdawała się oddalona o lata świetlne i Anna posmutniała na myśl o zmianach, które zaszły ostatnio.

Kiedy samolot dotknął ziemi, dziewczyna otworzyła oczy i dostrzegła drzewa przemykające po obu stronach pasa. Uświadomiwszy sobie, że wstrzymuje oddech, wypuściła powietrze z płuc. Samolot zwolnił, po czym zatrzymał się z dygotem. Anna zobaczyła kilka niskich budynków z czerwonej cegły oraz trzy zardzewiałe samoloty zdecydowanie wymagające naprawy. Domyśliła się, że jest na lotnisku. Obok jednego z budynków, na zwirowym podjeździe, zobaczyła czarną półciężarówkę. Kierowca stał oparty o maskę.

Pilot otworzył drzwi kokpitu, niemalże ignorując obecność dziewczyny. Anna zastanawiała się, co by zrobił, gdyby go zaatakowała i spróbowała porwać samolot. Poważnie rozważała ów plan, po czym odrzuciła go jako niepraktyczny. Odpiąwszy pas, wstała, podczas gdy mężczyzna opuszczał schodki. Zerknął w jej kierunku.

-Panie przodem - rzucił drwiąco.

Anna skierowała się ku wyjściu i zeszła po schodkach. Na zewnątrz panował potworny upał. Powietrze było tak wilgotne i gorące, że zdawało się prawie namacalne. Dziewczyna poczuła, jakby wysadzono ją w sercu dżungli oddalonej nie sto, lecz tysiące mil od Ameryki.

-Co teraz? - spytała. - Dokąd pojedę?

Pilot wskazał mężczyznę, który oderwał się od maski półciężarówki i szedł właśnie w ich kierunku.

-Spóźniłaś się na autobus - wyjaśnił. - Henry zabierze cię do Archstone samochodem.

Super, pomyślała. Kolejna porcja jazdy. Stała niepewnie, zła i przestraszona.

-Anna Wheeler? - zapytał nieznajomy. Był stary, naprawdę stary; Anna uznała, że jest po sześćdziesiątce. Miał siwe włosy i szpakowatą brodę.

-Owszem - odparła niegrzecznie. - A pan to kto? -Był to najdłuższy dzień w jej życiu i nie miała ochoty na uprzejmości. Skoro wszyscy brali ją za nieznośną wydrę, równie dobrze mogła się tak zachowywać.

-Jak się masz? - Mężczyzna z uśmiechem wyciągnął rękę.

W pierwszym odruchu chciała ją odepchnąć, lecz ostatecznie postanowiła zignorować gest. Dłoń mężczyzny opadła.

-Beznadziejnie - odburknęła. - Jestem wkurzona i wykończona.

-A głodna?

-Też. -Trudno zaprzeczyć.

-Wobec tego musisz coś zjeść. Mam w samochodzie kilka kanapek. Jabłko też, jeśli masz ochotę. Znajdzie się też puszka coli, choć pewnie przestała być zimna.

Na myśl o jedzeniu Anna poczuła ślinę napływającą do ust, mimo to była zadowolona, że nie uścisnęła podanej ręki.

-Mam na imię Henry - przedstawił się stary. - Zawiozę cię do obozu.

Anna skinęła głową. Nie mogła się doczekać kanapek.

-Porozmawiamy w samochodzie, dobrze? - Mężczyzna poprowadził Annę w kierunku półciężarówki. Otworzył drzwi pasażera i dziewczyna opadła na wygodny fotel. Henry usiadł za kierownicą.

Trasa okazała się wyboista i samochód włókł się powoli. Anna zjadła kanapki. Pomimo szybko zapadającego zmroku widziała gęstą ścianę drzew po obu stronach drogi. Gdzieś dostrzegła pnącza zwisające z drzew na podobieństwo kabli. W pewnym momencie jej uwagę przykuły spalone samochody oraz postacie w kartonowych szafasach na skraju puszczy. Miała nadzieję, że w towarzystwie mężczyzny nic jej nie grozi.

-Na Andros bieda aż piszczy - powiedział. - Mogę zapalić?

Kiwnęła głową. Chciała poprosić go o papierosa, ale zrezygnowała. Nie chciała mu nic zawdzięczać.

Henry sięgnął do kieszeni kurtki, wyjął paczkę marlboro i zapalił jednego. Minęli kolejną osadę marnie oświetlonych lepianek. Anna uznała, że wyspa nie zasługuje na miano tropikalnego raj.

-Już lepiej, kiedy się najadłaś?

-Aha - odpowiedziała. Postanowiła mówić jak najmniej.

-To dobrze. - Mężczyzna zaciągnął się papierosem. - Jestem ostatnim miłym gościem, jakiego tu spotkałaś. Domyślam się, że masz mnie w nosie, ale chociaż możesz wysłuchać mnie z grzeczności.

Anna kiwnęła głową, zbyt zmęczona, by zdobyć się na cokolwiek innego.

-Dawniej byłem wojskowym, jak twój tata. O tak, wiem o tobie wszystko, Anno. Każda z uczestniczek obozu ma swoją kartotekę. Spędziłem trzydzieści lat w wojsku, ale obecnie jestem na emeryturze, mieszkam na wyspie, bo lubię wędkować. Mam dom na obrzeżach Nichol's Town. To największa miejscowość na Andros, jest tam z sześciuset mieszkańców. -

Dym wypełniał rozgrzane wnętrze samochodu. Anna stwierdziła, że działa na nią uspokajająco. Ręce i nogi ciążyły jej jak ołów. Wolałaby, żeby Henry przestał gadać.

-Zrobiłbym wszystko dla moich dzieci - ciągnął. - I wnuków. - Spojrzał na Annę. - Wszystko, byle przestały niszczyć sobie życie. Nawet, jeśli taka decyzja przysporzyłaby mi cierpień. Rozumiesz?

Skinęła głową. Zrozumiała, że próbował usprawiedliwić postępek ojca.

-Rodzina jest najważniejsza - podjął Henry. - Rodzice muszą bardzo cię kochać, skoro cię tu przysłali. Och, jestem pewien, że uważasz to za straszne nieszczęście. Ale jeśli zachowasz hart ducha, wytrzymasz te dwanaście tygodni i przy okazji dowiesz się czegoś o sobie. - Poklepał ją w kolano. - Wiem, że ci ciężko, Anno. Wiem, że przeszłaś dzisiaj piekło.

Czuła, że traktuje ją z wyższością, lecz i tak zebrało jej się na płacz. Rzadko doświadczała tego uczucia, ale tym razem było bardzo intensywne.

Złożyła je na karb zmęczenia. To śmieszne, że drętwa gadka starego podziałała na nią jak jakiś sznurowaty melodramat. Jego życzliwość dodatkowo komplikowała sprawę. Anna ugryzła się w język w nadziei, że ból przywróci jasność myślenia i odpędzi niepożądane wzruszenie, ale na próżno. Dziwne, że dobroć mężczyzny doprowadziła ją do łez równie łatwo, jak wcześniej upiorna podróż furgonetką.

-Jeśli pobyt w obozie potraktujesz jako lekcję, dasz radę - powiedział Henry. - Dzieciaki bywają bardziej uparte niż my, starzy. Zmiana jest trudna, ale czasami konieczna. Kierowniczką wie, co robi. Stworzyła obóz w osiemdziesiątym szóstym, po tym, jak jej córka miała problemy. Muszę ci powiedzieć, że pomogła paru osobom wyjść na prostą. Pracuję dla obozu jako ochotnik, wozę, naprawiam. Nie robiłbym tego dla instytucji, w którą bym nie wierzył.

Anna opanowała się resztką sił. Zamrugła powiekami.

-A jeśli uważam, że gadasz od rzeczy? - spytała. - Jeśli mi się nie podoba, że wysyłają mnie na obóz do jakiejś głuszy? Jeśli nienawidzę rodziców i tych ich religijnych bzdurow? To co? - Prychnęła ze złością, po czym zapadła się głębiej w fotel. Stary pewnie w ogóle nie miał pojęcia, co działo się w Archstone.

Natomiast Anna wiedziała wszystko o podobnych miejscach. Kiedy ojciec po raz pierwszy postraszył ją obozem, zaraz po usunięciu ciąży, poszukała informacji w Internecie. Obozy reprezentowały wszystko to, czego nienawidziła, a co cenił jej ojciec: posłuszeństwo, reguły wojskowe oraz ruch na świeżym powietrzu. Pod tym względem Anna i jej ojciec stanowili całkowite przeciwieństwa. Pamiętała, że kiedyś tak nie było, przecież dawniej się przyjaźnili. Jednak kiedy skończyła trzynaście lat i zaczęła mieć własne zdanie, wszystko się zmieniło.

Dostawała za słabe stopnie, ociągała się z pomocą matce i chronicznie ignorowała zakazy. Co gorsza, ojciec dostawał szału, kiedy chłopcy wydzwaniali do domu i prosili ją do telefonu. Zaczął nachodzić córkę w pokoju i czytać jej fragmenty z Biblii, jak w szkółce niedzielnej. Kazał jej nawet czytać psalmy, a potem swoje własne pobożne książki, ale oczywiście nigdy go nie słuchała.

No i wreszcie ciąża. Ostatecznie mogła zrozumieć jego reakcję, lecz gdyby był lepszym ojcem, prawdopodobnie by do niej nie doszło. Z matką też było ciężko. Anna nigdy nie mogła powierzać jej żadnych sekretów, gdyż przekazywała wszystko ojcu. Tym sposobem dowiedział się o ciąży.

Anna wiedziała, że matka boi się ojca. Pewnie dlatego nie potrafiła dochować tajemnicy. Anna uważała, że w przeciwieństwie do rodziców wielu znajomych jej starzy wciąż byli razem, bo matce nie starczało odwagi, by przeciwstawić się ojcu. Traktował wszystkich po wojskowemu i uważał się za ich dowódcę. Powodzenie jego książek bynajmniej nie wpłynęło na poprawę sytuacji.

Henry dopalił papierosa i zgasił go w popielniczce. Anna z zadowoleniem spostrzegła, że po jej wybuchu jego życzliwość ulotniła się bez śladu. Dobry kawałek jechali w milczeniu.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił wreszcie. - Obóz Archstone.

Anna wyprostowała się na fotelu. Spędziła cały dzień skurczona w różnego rodzaju pojazdach i miała ochotę rozprostować nogi. Jednak na widok obozu serce zamarło jej w piersi.

Przecież to więzienie, pomyślała, patrząc na wysoką bramę zwieńczoną drutem kolczastym oraz dwie wysokie budowle przypominające wieże wartownicze. Usłyszała szmer i brama automatycznie otworzyła się na zewnątrz. Henry wjechał na teren obozu i brama zatrzęsnęła się ze złowrogim szczękiem. Przy okienku kierowcy wyrósł umundurowany mężczyzna. Henry opuścił szybę.

-Przywiozłem ją - powiedział. Strażnik wskazał mu parking w pobliżu koszar. Anna doszła do wniosku, że ma przed sobą miniaturę bazy wojskowej. Budynki były brzydkie i kanciaste, niektóre wzniesiono z szarej, spłowiałej cegły. Całość otaczało wysokie ogrodzenie. Pośrodku placu, na skrawku trawnika, widniała amerykańska flaga oświetlona żółtym reflektorem.

Z rozmachem otwarto drzwi i Annę oślepił blask latarki. Strażnik.

-Anna Wheeler! - huknął po wojskowemu. -To ty?

-Tak. - Patrzyła prosto przed siebie. Nie bój się, powtarzała w myślach. Ten błazen cię nie zastraszy. Nie okazuj strachu.

-Tak?



-Tak jest, sir. - Zatem tak wyglądał początek gry. Może w nią grać, ojciec dał jej dobre podstawy.

-Doskonale. Masz do mnie mówić „sir” i nie waz się o tym zapomnieć. Wsiadaj.

Anna wyskoczyła z samochodu, czując, jak owiewa ją gorące powietrze.

Mężczyzna stojący naprzeciw niej miał krótko przyszczyżone włosy i wystający podbródek. Był bardzo wysoki; małe usta i wielki nos sterczący między zmrużonymi oczami nadawały mu szpetny wygląd.

-Anno Wheeler, jestem konsultant Adler. Przez najbliższe trzy miesiące mam nad tobą całkowitą władzę. Bez mojego pozwolenia nie wolno ci kiwnąć palcem. Sprawuję kontrolę nad każdą twoją czynnością oraz myślą. W domu wykazałaś brak posłuszeństwa, dlatego moim zadaniem jest cię go nauczyć. Utraciłaś przywileje jednostki, ponieważ twoja niedojrzałość sprawiła, że nie umiałaś sobie z nimi radzić. - Wyrzucał słowa jak automat, tak jakby powtarzał je po raz tysięczny. - W obozie Archstone nauczysz się odpowiedzialności, dyscypliny i szacunku do samej siebie. Zrobimy z ciebie niezależną młodą damę, która zamiast zgryzoty i wstydu przyniesie swojej rodzinie chlubę i wdzięczność. Zrozumiano, kadecie Wheeler?

-Tak jest, sir - odpowiedziała. Głowa ćmiła z bólu. Kadet. Co za idiotyzm. Ciekawe, jak zniesie trzy miesiące podobnych męczarni.

-Za mną, kadecie Wheeler. Otrzymasz mundur i chlebak. Podczas pobytu w obozie przysługują ci tylko te dwie rzeczy. Potem pokażę ci miejsce do spania. Twoje towarzyszkę już śpią, ponieważ zjawiły się punktualnie. Żadna nie była tak głupia, by próbować uciekać na autostradzie.

Cholera, pomyślała. On wie o próbie ucieczki. Zostanie zapamiętana jako potencjalna sprawczyni kłopotów.

-Tędy - polecił Adler. Posłusznie ruszyła za nim w kierunku podłużnego, drewnianego budynku obite go pionowymi dechami, z których luszczyla się biała farba. Miała dosyć komenderowania. Odwróciwszy się, zobaczyła, jak Henry wyjeżdża z parkingu i kieruje się w stronę bramy. On przynajmniej próbował być miły. Nawet jeśli udawał, żal było patrzeć, że odjeżdża.

Adler otworzył drzwi i weszli do pomieszczenia z półkami wypełnionymi stertami odzieży. U dołu widniały rzędy metalowych szafek.

- Rozmiar buta? - zapytał, podczas gdy zdenerwowana Anna przystanąła na progu.

-Siódemka.

Adler pogrzebał w pudle pod jedną z półek i wyjął parę zdartych, czarnych butów.

-Rozmiar ubrania?

Anna przestąpiła z nogi na nogę.

-Szóstka.

-Nie mamroc pod nosem. Powiedziałaś: szóstka? -Aha.

Odwrócił się do niej z wykrzywioną twarzą.

-Co to ma być, psiakrew? - ryknął. Wrzask odbił się echem wśród ścian.

-Tak jest, sir - rzuciła pospiesznie. Była sama w obcym kraju, na jego terenie.

Popatrzył na nią z obrzydzeniem.

-Jeszcze raz się zapomnisz, dostaniesz dwa punkty karne. Sześć, zostaniesz ukarana. -  
Podszedł do półki i wybrał mundur, ze złością mrucząc coś pod nosem. Anna stwierdziła ze zgrozą, że „mundur” składał się z koszulki, spodni oraz kurtki, w jaskrawopomarańczowym kolorze. Będę wyglądać jak skazaniec, przeszło jej przez myśl. Jak jeden z tych więźniów, którzy zbierają śmieci na poboczu.

-To twoja odzież na najbliższe trzy miesiące. Załóż ją od razu. Twoje ubranie i buty zostaną w szafce aż do końca pobytu. Zawartość kieszeni zostanie umieszczona w plastikowym worku i przechowana. Co dzień otrzymasz w koszarach świeżą bieliznę i skarpety.

W obozie obowiązuje określona hierarchia; za pranie odpowiadają rekruci drugiego stopnia. Przegapiłaś apel, dlatego informuję, że jesteś stopień pierwszy. Najniższy. Im wyżej, tym więcej obowiązków, ale i przywilejów, takich jak telefon bądź telewizja. Większość kadetów osiąga przed ukończeniem programu stopień trzeci lub czwarty. W ciągu trzech tygodni można awansować o jeden stopień, chyba że otrzymasz ponad dziesięć punktów karnych. Jasne?

Od nadmiaru liczb zakreśliło jej się w głowie.

-Tak jest, sir - odpowiedziała.

-To dobrze. Rozbieraj się. Zawahała się.

-Słucham? - Nie chciała go rozjuszać, jednak czuła się nieswojo. Nie miała zamiaru rozbierać się przed obcym, ohydny facetem. Na pewno łamał jakieś przepisy dotyczące molestowania seksualnego.

-Szybciej! - Był nieugięty. - Twój wygląd jest mi obojętny, panienko. Muszę sprawdzić, czy czegoś nie ukrywasz. Alkohol, papierosy i narkotyki są surowo zabronione, tak samo jak broń lub przedmioty mogące za nią służyć. Żadnej biżuterii i kosmetyków. Posiadanie jakichkolwiek rzeczy tego rodzaju spowoduje przyznanie dodatkowych punktów karnych. Dlatego rozbieraj się, i to szybko.

Anna położyła nowe ubranie i buty na stole. Usiadła na składanym, metalowym krześle i powoli zdjęła adidas. Następnie wstała i pod niewzruszonym spojrzeniem Adlera ściągnęła koszulkę.

Zupełnie jak u lekarza, pomyślała bez przekonania. Akurat. Pogwałcono jej prywatność. Ubrana w sam stanik, pomimo upału odczuwała chłód. Sięgnęła po pomarańczową koszulkę i wciągnęła ją przez głowę. Okazała się o rozmiar za duża. Materiał drapał, lecz Anna czuła, że skargi przyniosą jej więcej szkody niż pożytku.

-Spodnie - ponaglił Adler. - Szybciej. Pospiesz się.

Anna rozpięła pasek i zsunęła dżinsy. Czuła się obnażona. Kiedy nie miała butów, strażnik wydawał się jeszcze wyższy. Złożywszy dżinsy, położyła je na stole obok koszulki. Następnie wciągnęła spodnie i zapięła rozporek. Były równie workowate i drapiące jak pomarańczowy T-shirt. Usiadła na krześle i nałożyła buty, lepiej dopasowane niż reszta stroju, choć i tak niewygodne. Cuchnęły, jakby ktoś dopiero co zdjął je z nóg. Sięgnęła po kurtkę do kompletu. Czuła, że każdy kolejny fragment odzieży pozbawia ją człowieczeństwa.

Zastanawiała się, czy teraz przypiszą jej numer i przestaną nazywać własnym nazwiskiem.

-Wstań. Niech ci się przyjrę.

Wstała. Adler podszedł bliżej i poprawił jej kołnierz.

-Od razu lepiej. Ładnie ci w pomarańczowym. - Cofnął się, stając naprzeciw niej. - Dopilnujemy, byś była bez przerwy zajęta. Przez pięć dni w tygodniu będziesz uczestniczyć w zajęciach oraz wykonywać zadania indywidualne i grupowe. Musisz się przestawić na czas obozu, co oznacza gaszenie świateł o dwudziestej pierwszej i pobudkę o piątej. Tu nie ma czasu na głupoty. W Archstone poznasz znaczenie i wartość ciężkiej pracy. Spóźniłaś się trzy godziny: będziesz musiała je odpracować. Nikt nie opuszcza Archstone, nie zrobiwszy tego, co do niego należy.

Anna czuła, jak z każdym kolejnym zdaniem głowa boli ją coraz bardziej. Ten nadęty sztywniak budził jej wściekłość. Wprost nie mogła na niego patrzeć, kiedy tak stał z wypiętą pierśią, całkiem jak ojciec. I taki pajac miał jej rozkazywać? Mimo to miała dość oleju w głowie, żeby siedzieć cicho. Najpierw odpocznie i odzyska siły, potem pomyśli o ucieczce. Nie zamierza spędzić tu nawet tygodnia. Trzy miesiące!

-Jutro nasza pierwsza wyprawa - ciągnął Adler. - Wraz z innymi kadetami przejdiesz dziesięć mil do Clayton Peak leżącego w samym sercu Andros. Tam rozbijecie na noc obóz. Jutro po śniadaniu poznasz szczegóły. - Podniósł ubranie Anny i schował do szafki razem z butami. - Zaprowadzę cię do koszar.

Wyszli na dwór i ruszyli ścieżką w kierunku długiej, pozbawionej okien ceglanej budowli o płaskim dachu. Adler otworzył frontowe drzwi i weszli do środka. Oczy Anny powoli przyzwyczajały się do ciemności. Zobaczyła siedzącego przy stole mężczyznę, który czytał książkę w świetle niewielkiej lampy. Odgadła, że ma przed sobą kolejnego strażnika, czy raczej konsultanta, jak zwykli się tytułować w celu zatuszowania swej rzeczywistej roli. Według niej byli bandą zwykłych drani, których funkcja polegała na rozstawianiu dziewcząt po kątach.

W kątach pomieszczenia zainstalowano małe lampki, jak w kinie. Kiedy oczy Anny przywykły do półmroku, dostrzegła rzędy piętrowych łóżek doszczętnie wypełniających salę. Niektóre wyglądały na puste, lecz w innych dostrzegła skulone pod kocami sylwetki leżących dziewcząt. Nagle pożałowała nierozważnej próby ucieczki. Pozostałe obozowiczki miały okazję się zapoznać. Jej przypadnie rola obcej, a zgodnie ze szkolnymi zasadami nie wróży to nic dobrego.

-To konsultant Ellis - oznajmił Adler, wskazując na siedzącego mężczyznę. - Będziesz pod całodobowym nadzorem.

Ellis spojrzał na Annę.

-Łóżko 15B. Miejsce na dole. Postaw buty przy łóżku, skarpety włóż do środka. Znajdziesz tam torbę z napisem 15B. Schowaj do niej spodnie i kurtkę. Śpicie w majtkach i T-shirtach, zapamiętaj. Łazienka jest od frontu, za moimi plecami. Jak chcesz skorzystać z niej w nocy, musisz spytać o pozwolenie. Gdy siedzisz dłużej niż pięć minut, wchodzi za tobą. Anna stała bez ruchu, niepewna, co dalej.

-Słyszałaś - powiedział Adler. - 15B.

Anna ruszyła środkowym przejściem, mijając po drodze ponumerowane łóżka i skulone na nich, pełne niepokoju postacie. Świadoma ukradkowych spojrzeń rzucanych z ciemności, uparcie patrzyła przed siebie. Wreszcie dostrzegła napis 15B wymalowany farbą na podłodze i usiadła na łóżku. Na górze już ktoś spał. Gdy zdejmowała buty, doleciał ją cichy szmer rozmowy konsultantów.

Schowawszy spodnie i buty, odsunęła przykrycie składające się tylko z prześcieradła i cienkiego, brązowego koca. Z ulgą opadła na łóżko. Materac był twardy i nierówny, a zbita jak beton poduszka uwierała w kark, ale dziewczynie było wszystko jedno. Okryła się kocem. Dobiegające zewsząd odgłosy świadczyły o obecności współlokatorek. Kiedy dziewczyna na górze zmieniała pozycję, rama łóżka skrzypiała donośnie. Anna położyła się na boku i zwinęła w kłębek, obserwując drzwi. Zobaczyła, jak Adler wychodzi, a Ellis wraca do przerwanej lektury.

Czy to wszystko działo się naprawdę? Zachodziła w głowę, co robi ojciec. Pewnie świętuje, uradowany z wyjazdu kłopotliwej latorośli. Miał bez wątpienia czyste sumienie i nie dostrzegał rozdzwiku pomidzy gloszonymi przez siebie zasadami a sposobem traktowania własnej córki.

Ciekawe, co u Ryana. Pewnie jeszcze nie miał o niczym pojęcia. Czy rodzice powiedzą mu prawdę o jej wyjeździe?

Przede wszystkim jednak myślała o panu Spate. Na pewno śpi teraz w swoim schludnym, niedużym mieszkaniu w Atlancie. Powinien tu być zamiast mnie, stwierdziła. Uwodziciel, a nie jego ofiara.

Myśli ustąpiły pod wpływem zmęczenia i Anna zapadła w niespokojny sen. Z ulgą przyjęła nadejście poranka.

Whiskens

## WYCIECZKA

Otworzywszy oczy, zobaczyła jarzeniówki oświetlające salę trupio białym blaskiem. Łóżko dygotało pod ciężarem korpulentnej blondynki, która właśnie schodziła po drabince. Na dole przystanąła, popatrzyła na Annę i zamrugała. Była niebrzydka, ale miała opuchniętą twarz i oczy zwężone w szparki.

-Skąd jesteś? - zapytała ściszym głosem. Nie czekając na odpowiedź, dodała: - Słyszałyśmy o tobie. Próbowełaś uciec.

Anna nie wiedziała, czy jej ton wyrażał aprobatę. Nim zdążyła się upewnić, ktoś postukał tamtą w ramię. Dziewczyna skurczyła się raptownie i pospiesznie usunęła z drogi. Oczom Anny ukazała się niska, chuda kobieta w starszym wieku, ze zniszczoną twarzą i siwymi włosami ostrzyżonymi na pazia. Z zewnętrznych kącików jej oczu biegły kaskady zmarszczek.

-Wstań z łóżka - poleciła Annie. - Pobudka. - Mówiła stanowczym, dość życzliwym głosem. Anna odrzuciła koc i stanęła boso na zimnej, cementowej podłodze. Pozostałe dziewczęta pospiesznie słały łóżka i na wyścigi naciągały ubrania. Anna ze zdziwieniem odnotowała ich pośpiech. Pomimo wcześniejszych obaw nie miała przed sobą spodziewanych „złych dziewcząt”.

-Nazywam się Fecilia Richards - powiedziała kobieta. - Mów do mnie „proszę pani” albo „panno Richards”. Jestem założycielką i kierowniczką obozu

Archstone. Poznałam wczoraj wszystkie uczestniczki programu z wyjątkiem ciebie. Naturalnie poinformowano mnie o incydencie, który zdarzył się po drodze. Ufam, że był to pierwszy i ostatni raz.

Anna skinęła głową.

-Świetnie. Przekonasz się, że nie tolerujemy przejawów niesubordynacji.

Anna wbiła wzrok w podrapaną podłogę noszącą ślady czarnych podeszew setek butów.

-Żałuję, że się spóźniłaś. Przegapiłaś nie tylko apel, ale i obchód. Po powrocie z wycieczki konsultant Adler oprowadzi się po Archstone i wszystko pokaże.

Anna czuła się onieśmielona obecnością kobiety i dziewcząt, ale postanowiła tego nie okazywać.

-Wiem, że jesteś zła i osamotniona, ale gdy przezwycięzysz te uczucia, życie w Archstone stanie się dużo prostsze. - Panna Richards wskazała na ustawiony w przejściu wózek z brudną bielizną. - Włóż tam koszulkę i bieliznę. Są prane codziennie. Spodnie i kurtki idą do prania co cztery dni. - Tęga, ponura dziewczyna wykladała na stół czyste rzeczy. - Jest kadetem drugiego stopnia - wyjaśniła panna Richards, dostrzegając spojrzenie Anny. - Przebywa tu od miesiąca. Zmiana stopnia oznacza przenosiny do innego budynku.

-Wolno o coś spytać?

-Tak.

-Kiedy będę mogła zadzwonić?

-Jak osiągniesz trzeci stopień. Musisz trochę poczekać. Do tego czasu możesz pisać listy. W biurze mamy papier i koperty.

Cholera, pomyślała Anna. Nawet seryjni mordercy i gwałciciele mogą korzystać z telefonu. Obóz był gorszy niż więzienie.

-Każdego ranka macie dwadzieścia minut na przygotowanie. W tym czasie masz wziąć prysznic, przebrać się i pościelić łóżko. Dlatego wszystkie tak się spieszą. Kto się spóźni, nie dostaje śniadania. Punktualnie o piątej dwadzieścia stajecie w szeregu i idziecie do stołówek. Śniadanie jest podawane o wpół do szóstej.

Anna zobaczyła, że część dziewcząt staje przy drzwiach. Uderzyło ją ich milczenie. Skąd ta bierność?

-Dziś jest ważny dzień - ciągnęła panna Richards. - Wyprawa nie należy do łatwych. Wyruszyście o siódmej i większość dnia spędzicie w drodze. To sprawdzian waszej dyscypliny i wytrzymałości. Być może zechcecie się poddać, ale to nie wchodzi w grę. Po śniadaniu konsultant Adler i ja powiemy wam resztę. Czeka was prawdziwe wyzwanie.

-Tak, proszę pani - odparła Anna. Wiedziała, że wyczerpująca wędrówka jest po to, by ją utemperować, podobnie jak przymusowa głodówka, jaką jej zafundowano w drodze z Atlanty. Z informacji umieszczonych w Internecie wynikało, że zasadniczym celem obozów przetrwania jest takie uprzykrzenie życia, że myśl o ewentualnym kolejnym obozie po powrocie do domu skutecznie odbiera nastolatkom ochotę do szaleństw.

-Pospiesz się i weź prysznic. Poczekamy na ciebie. Masz dziesięć minut.

Prysznice znajdowały się z przodu baraku, tuż obok łazienki, w dużym pomieszczeniu wyłożonym zielonymi kafelkami. Poszczególnych stanowisk nie oddzielały żadne drzwi ani

zasłony. Pachniało chlorem i mydłem w płynie. Nieprzyzwyczajona do tak wczesnej pobudki, Anna umyła się szybko i wytarła ręcznikiem. Narzuciwszy czyste ubranie zaczesła do tyłu mokre włosy. Następnie pospieszyła z powrotem do łóżka i zasznurowała buty. Pozostałe dziewczęta w milczeniu stały pod ścianą w towarzystwie panny Richards. Wszystkie patrzyły na Annę. Odpowiedziała im chmurnym spojrzeniem.

Nie były młodocianymi przestępczyniami, które spodziewała się tu zastać. Nie licząc kilku dziewcząt noszących oczywiste atrybuty młodzieńczego buntu, takie jak jaskrawoczerwone włosy bądź rozległe tatuaże, wyglądały zadziwiająco zwyczajnie, podobnie jak jej koleżanki ze szkoły. Większość była biała, a niektóre z nich miały nadąsany wyraz twarzy będący konsekwencją dobrobytu i braku dyscypliny.

Anna dołączyła do reszty. Panna Richards odczytała listę obecności, po czym wyprowadziła dziewczęta z budynku. Wzeszło słońce, oblekając niebo różową poświatą. Anna spostrzegła, że obóz jest dużo większy, niż przypuszczała. W obrębie ogrodzenia mieściło się co najmniej dziesięć budynków, między którymi rosło kilka mahoniowców. Różowa poświata przenikała przez gałęzie, nadając drzewom wygląd grzybów nuklearnych.

Kolejne zmarnowane ujęcie, pomyślała. Ze wszystkich rzeczy oraz osób pozostawionych w domu najbardziej doskwierał jej brak aparatu.

Rozejrzała się niedbale, szukając potencjalnej drogi ucieczki. Z uwagi na wysokie ogrodzenie i drut kolczasty sytuacja wyglądała niezbyt obiecująco. Nawet jeśli udałoby się uciec z obozu, na zewnątrz czeka zbita, mało zachęcająca gęstwina drzew. Anna pocieszyła się myślą o wyprawie: może wtedy zdoła uciec i odszukać miasto.

Żwirową ścieżką podążyły za panną Richards w kierunku stołówki. Anna stanęła w kolejce po śniadanie składające się z płatków cyfamonowych, kawałka melona oraz soku pomarańczowego i mleka do popicia. Przy jej stole siedziało jeszcze siedem dziewcząt, w tym blondynka z łóżka na górze. Jadły szybko, mechanicznie przeżuując posiłek. Anna dostrzegła, że rzucają w jej stronę ukradkowe spojrzenia, bardziej zaciekawione niż wrogie. Mimo to nie było okazji, aby Z kimkolwiek zamienić słowo.

Panna Richards stanęła przed nimi obok tablicy informacyjnej z ogromną mapą wyspy przypiętą kolorowymi pinezkami.

-Uwaga, kadeci - zawołała. - Jak wiecie, dzisiaj przypada wasza pierwsza wyprawa weekendowa. O godzinie siódmej rano wyruszyście do Clayton Peak, formacji skalnej oddalanej o dziesięć mil na południe. Należy ona do najbardziej widowiskowych i znanych punktów orientacyjnych wyspy Andros. Wyruszyście w dwu oddzielnych grupach po czternaście osób. Kadeci noszący nazwiska od „A” do „M” wejdą w skład pierwszej grupy, z



nazwiskami od „N” do „W” - drugiej. Konsultanci McGathy i Brody poprowadzą pierwszą grupę wzdłuż rzeki Nevis w kierunku dorzecza rzeki Andros. - Wskazała szlak na mapie. - Od Clayton Peak dzieli je zaledwie ćwierć mili.

Anna stwierdziła, że szlak zajmuje na mapie zdumiewająco mało miejsca. Wyspa istotnie była ogromna. Pusty, zasrany kawał lądu na kompletnym zadupiu.

-Druga grupa pójdzie inną trasą pod przewodnictwem konsultanta Adlera i moim. Podążymy szlakiem Blue Hollow. Prowadzi on w głąb lądu, do serca dżungli opodal Klejnotu Nurka, jednego z największych leśnych oczek wodnych.

Anna w życiu nie słyszała o oczkach wodnych. Siedziała za daleko, by dojrzeć je na mapie.

-Wspomniane szlaki są jednakowej długości, dlatego obie grupy powinny dotrzeć na miejsce o siedemnastej. Wyprawa będzie trudnym zadaniem dla was wszystkich, a zwłaszcza niewy gimnastykowanych i otyłych. Zabierzecie ze sobą ekwipunek, każda poniesie plecak ze sprzętem oraz przymocowany doń lekki śpiwór. To samo dotyczy prowiantu oraz wody. Po dotarciu do Clayton Peak konsultanci i ja pomożemy wam rozbić obóz. Spędzimy tam noc.

Zza sąsiedniego stołu dobiegł cichy jęk. Panna Richards natychmiast urwała i w sali zapadła cisza. Anna odwróciła głowę, wypatrując winowajczyni.

-Jeśli usłyszę jeszcze jedną skargę, wszystkie zostaniecie ukarane. I o połowę zmniejszę wasze racje żywnościowe. Wybór należy do was. Przypuszczam, że niektórym nie zaszkodzi zgubić parę kilo.

Zatem tak będą nami sterować przez następne trzy miesiące, pomyślała z niechęcią Anna. Będą obcinać racje żywnościowe i zmuszać do morderczego wysiłku, dopóki nie przestaniemy się buntować.

-Czy wyraziłam się dość jasno? - spytała panna Richards.

-Tak, proszę pani - wymamrotały dziewczęta.

-Jutro wstaniecie o piątej, zjecie śniadanie, spakujecie rzeczy i wróćcie do obozu. - Zerknęła na zegarek. - Jest za piętnaście szósta. Macie kwadrans na dokończenie śniadania i odbiór sprzętu oraz plecaków. Konsultant Adler rozda je w sali numer trzy. Ponieważ dziś jest pierwszy dzień waszego pobytu, od godziny szóstej do siódmej macie czas na odpoczynek i rozmyślanie. Wierzę, że wszystkie możecie stać się silnymi, inteligentnymi kobietami. Musicie tylko to udowodnić. Pomogę wam się tego nauczyć.

Kazanie dobiegło końca i panna Richards opuściła jadalnię.

-Suka - mruknęła dziewczyna siedząca obok Anny. Jasnowłosa sąsiadka z łóżka zachichotała, po czym udała, że kaszle.

Po śniadaniu Anna poszła z innymi dziewczętami do sali, gdzie Adler i drugi konsultant rozdawali plecaki oraz śpiwory. Obozowiczki otrzymały dodatkowo kanapki, batony energetyczne i po dwa pojemniki z wodą. Po zapakowaniu plecaki okazały się wielkie i nadzwyczaj ciężkie: Anna nie miała pojęcia, jak zdoła ponieść swój, nie odpoczywając co dziesięć minut.

Kiedy wróciły do baraku, przy biurku siedział konsultant, którego widziała po raz pierwszy. Zmęczone dziewczęta z rezygnacją legły na swoich łóżkach. Anna stwierdziła, że tak zwane rozmyślanie oznaczają zwykłą bezczynność. Widać psychologiczny bełkot stanowił integralny element filozofii Archstone będący przykrywką dla pseudo militarnych tortur.

Podczas śniadania na łóżkach umieszczono egzemplarze książki zatytułowanej „Rozwój i samopoznanie” autorstwa niejakiej Cecilii Richards. Anna prze-kartkowała książkę, rozbawiona bzdurnymi tytułami rozdziałów i jaskrawymi ilustracjami.

-Ciii - usłyszała i podniosła głowę. Napotkała spojrzenie ciemnowłosej dziewczyny z dolnego łóżka stojącego obok. Anna zauważyła ją już wcześniej. Miała krótkie, czarne włosy i ładną twarz o nieco kwadratowym zarysie. Na jej prawym ramieniu widniał tatuaż przedstawiający krąg złożony z pięciu gwiazd, na lewym szczyrzyła zęby trupia czaszka. - Jak masz na imię?

-To Anna - szepnął głos, nim zdążyła odpowiedzieć. Była to tęga, jasnowłosa sąsiadka z góry.

-Przymknij się, Kelli - ostrzegła wytatuowana. -Nie mówię do ciebie.

-Sama się przymknij.

-Cześć - powiedziała Anna do ciemnowłosej.

-Nieży bajzel, co? - odparła tamta. - Jeszcze nie zwariowałaś? Przy okazji, mam na imię Erica.

-Anna próbowała uciec - wyszeptał głos z góry.

-Wiem. Julie podsłuchiwała pannę Richards i powtórzyła Beth, która powiedziała mnie. - Erica spojrzała na Annę uważnie. - Jesteś sławna. O ile mi wiadomo, żadnej innej nie starczyło ikry. Anna odczuła swoistą dumę. Mimo to wołała nie przyznawać, że do ucieczki skłoniła ją nie odwaga, lecz strach.

-To prawdziwe piekło - ciągnęła Erica. - Albo i gorzej. Żarcie do dupy i człowiek nie ma ani chwili dla siebie. Wczoraj zrobili nam obchód. Mają tu prawdziwą skrzynię tortur, w której mogą nas zamykać, kiedy chcą. Są też dwie cele bez okien, z małą szczeliną w drzwiach. Trzymają w jednej z nich jakąś dziewczynę; kiedy przechodziłyśmy, płakała i gadała od rzeczy. Siedzi tam od tygodnia.

Głodówka, tortury, odosobnienie. Przynajmniej to tłumaczyło poprawne zachowanie dziewcząt.

-I żadnych chłopaków - wtrąciła z góry Kelli. - To jest najgorsze.

-Spadaj - szepnęła ze złością Erica. - Nikt cię nie pyta o zdanie.

Spoza krawędzi łóżka wychynęła okrągła twarz Kelli. Dziewczyna spojrzała na Annę.

-Erica nie lubi chłopców - wyjaśniła. -Wiedziałaś? Sama się wczoraj przyznała. Erica jest lesbijką.

-Zamknij się, Kelli. Przynajmniej nie jestem tłustą, obleśną świnią. Idź wsadź łeb do śmietnika.

-Lesba.

Erica podparła się na łokciu i rzuciła Kelli wściekłe spojrzenie.

-Chcesz mieć ze mną na pieńku? - syknęła. - Wyglądasz jak pryszczata miss Piggy, suko, więc lepiej siedź cicho. Uważaj, bo nieźle oberwiesz.

Twarz Kelli szybko znikła, a Erica ponownie zwróciła się do Anny.

-Tak jak mówiłam, zanim mi bezczelnie przerwano, trafiłyśmy do pierdła pod specjalnym nadzorem. Trzymają tu narzędzia tortur i cała gadka o szacunku i miłości do rodziny nie przeszkadza im z nich korzystać. Amerykańska mowa-trawa. Przez to wszystko jeszcze bardziej nienawidzę swojej rodziny, tak samo jak tego pieprzonego, faszystowskiego kraju. Skąd jesteś?

-Z Atlanty.

-Fajnie. Przynajmniej duże miasto. Laski z prowincji są najgorsze. Kelli jest z prowincji; od razu widać, nie? Ja pochodzę z Chicago. Co przeskrobałaś?

Anna nie chciała powiedzieć.

-Nic. Ojcu kompletnie odbiło. Ma fioła na punkcie religii.

-Ja nie mam taty. Mieszkam z mamą, jest sławną prawniczką. Stwierdziła, że wymykam się spod kontroli i przysłała mnie tutaj. Musiałaś coś przeskrobać.

-Właściwie nie.

-Powiem ci, co ja zrobiłam - odparła z przejęciem Erica. - Wagarowałam, wreszcie mnie wywalili, ale matce ani mru-mru. Kiedyś wraca z roboty i zastaje mnie w łóżku z Murzynką. Dostała szału. Jest rasistką i spotyka się tylko z białymi. Pożarliśmy się i następnego dnia nalałam jej do kawy wybielacza. Nie umarła, tylko się rozchorowała i poszła do szpitala. - Erica wybuchnęła śmiechem. - Mówię ci, co za widok. Na pewno nie powiesz mi, co zrobiłaś?

Anna była wstrząśnięta litanią przewinień rozmówczyni. Sąsiadka Eriki z góry nieoczekiwanie usiadła na łóżku i spojrzała w dół. Była chuda i nieładna, wyglądała najwyżej na dziesięć lat. Miała śniadą twarz przypominającą pyszczek zwierzęcia i spiczasty nos.

-Wiecie, co myślę o Annie? - powiedziała cicho, w skupieniu marszcząc brwi. - Moim zdaniem doigrała się przez jakiegoś chłopaka.

Zdumiona Anna poczerwieniała. Skąd tamta mogła coś takiego wiedzieć?

-A to dlaczego? - spytała z zaciekawieniem Erica.

-Dedukcja - odparła mała. - Jest ładna. Fajne włosy, zgrabne ciało. Duże, niebieskie oczy. Dam głowę, że chłopcy na nią lecą. - Mówiła chłodnym tonem, jakby dokonywała obserwacji naukowych. - Poza tym wydaje się nieśmiała, a nie złośliwa i zwariowana jak ty, Erico. - Annę ponownie uderzył jej beznamiętny ton. I choć śmiałość dziewczyny powinna ją urazić, poczuła tylko zakłopotanie. - A jednak próbowała uciec, więc może pozory mylą.

Anna nie wiedziała, co powiedzieć.

-Jestem Stacey - przedstawiła się dziewczyna. - Stacey Vargas. - Jeśli ktoś tu nie pasował jeszcze bardziej niż - w swoim przekonaniu - Anna, to właśnie ona. Chuda twarz, sztywne włosy oraz masywna aparycja nadawały jej wygląd przyszłej bibliotekarki. Ciekawe, czemu zawdzięczała pobyt w Archstone.

-Mam rację co do chłopaków?

-Może - odparła Anna. Nie miała zamiaru puścić pary z ust.

-A ty?

-Przyjechałam na ochotnika.

Anna spojrzała na nią pustym wzrokiem.

-No co ty?

-Naprawdę. Mama i ja przeprowadziłyśmy poważną rozmowę. Uznałyśmy, że to dla mnie najlepsze rozwiązanie. Nie pasowałam do szkoły. Stąd moje początkowe problemy, zawsze odszczekiwałam nauczycielom. Wreszcie doszło do tego, że nie mogli na mnie patrzeć. Nie ponoszę winy za ich głupotę. W zeszłym »ku płakało przeze mnie troje nauczycieli, przy czym eden to mężczyzna.

-Co za głupota pchać się tutaj – wtrąciła Erica. -Nie mogłaś po prostu zmienić szkoły?

-Może. Ale potem, widzicie, złapano mnie w sklepie na kradzieży sprzętu komputerowego o wartości pięciu tysięcy dolarów. Na dodatek robiłam to na raty, co tylko pogorszyło sprawę. Zatem miałam d(wyboru obóz albo poprawczak. Wspólnie z mamą doszliśmy do wniosku, że obóz będzie lepszy.

Erica parsknęła śmiechem.

-No ładnie.

Naraz zza krawędzi łóżka ponownie wyłoniła się okrągła twarz Kelli.

-Cicho! Idzie konsultant Brody!

-Gruba - mruknęła Erica - boi się, że obetną jej racje.

Mimo to wraz ze Stacey padły plackiem a łóżko, dlatego Anna wzięła z nich przykład i w milczeniu obserwowała nadchodzącego konsultanta. Był dużo młodszy niż Adler i nie wyglądał na służbistę. Miał wygnieciony mundur i kilkudniowy zarost na twarzy

-Cześć, Brody - powiedziała Erica, kiedy mężczyzna podszedł bliżej.

Anna była pewna, że konsultant ostro zgani dziewczynę, lecz on tylko podszedł do jej łóżka i przystanął. Patrzył na Ericę. Podążając za jego wzrokiem, Anna ze zdumieniem spostrzegła, że dziewczyna wsunęła rękę pod pomarańczową bluzkę i dotyka swoich piersi.

-Przestań - polecił Brody, nie odrywając od niej wzroku.

-Możesz to dostać, kiedy tylko zechcesz - szepnęła Erica.

-Mam naskarżyć na ciebie pannie Richards? - spytał Brody. Atmosfera zrobiła się napięta. Brody i Erica rozmawiali ściszymi głosami, lecz pozostałe dziewczęta starały się nie uronić ani słowa. - Ona nie znosi małych ulicznic.

-A ty? - zapytała Erica. -Co ja?

-Znosisz takie małe ulicznice jak ja?

Anna usłyszała, jak Kelli tłumi nerwowy chichot. Kątem oka zobaczyła, że ręka Eriki wędruje niżej, pomiędzy nogi. Niewiarygodne. Większość znanych jej dziewcząt nie zachowywała się tak swobodnie, a już na pewno nie w obecności nieznajomego.

-Musisz się czuć bardzo samotny. To potwornie frustrujące dzień po dniu patrzeć na rozbrykane dziewczęta i nie móc ich dotknąć... - Zawiesiła głos.

-Radzę sobie lepiej niż wy.

-Na pieprzonej wyspie? - Erica roześmiała się albo udała, że to robi. - Daj spokój.

-Z tą fryzurą i tatuażami wyglądasz jak chłopak.

-Niektórzy faceci to lubią. Może jesteś jednym z nich.

Brody podniósł wzrok na Stacey i podchwycił jej spojrzenie.

-A ty, na co się gapisz?

-Na pana - odparła niezrażona. - Skąd pan jest, Brody?

-Dlaczego pytasz?

-Tak sobie. Pewnie z Zachodniej Wirginii. Poznają po prowincjonalnym akcencie. Skończył pan liceum?

-Brody jest tajemniczy - rzuciła prowokacyjnie Erica. - Prawda? Powiedziano nam na wstępie, że nie możemy nic wiedzieć o prywatnym życiu konsultantów. Taka jest zasada. Czy możesz wylecieć za odpowiedź na nasze pytania, Brody?

-Nie, ale mogę na tydzień pozbawić was lunchu.

-Niedobry. Odmawiać nam takich pyszności.

-Rób tak dalej, a na pewno powiem panie Richards.

-Pocałuj mnie gdzieś, Brody - poradziła mu Erica. Anna widziała, że drwi z niego niemiłosiernie. Nie miał nad nią władzy: był słaby, a Erica wiedziała, że mu się podoba.

Il tym sposobem rozmowa zesza na psy - zakomunikowała Stacey. - Groźby i wulgaryzmy. Marnie pan się spisuje, konsultancie Brody.

Popatrzył na nią ze złością.

-Ciebie też mam na oku, mądralo. - Przeniósł spojrzenie na Annę i Kelli. - Nie możesz być cicho, jak te dwie?

-Cóż, Kelli jest niedorozwinięta, a nowa nieśmiała, dlatego niewiele mówią.

-Mogłabyś wziąć z nich przykład - odrzekł Brody. -Oszczędzaj siły na wyprawę. Zostało wam kilka minut. -I odszedł.

-Tak jest, sir - zawołała szyderczo Erica. - Mężczyźni to durnie, a Brody jest najgłupszy ze wszystkich -szepnęła do Anny, kiedy już nie mógł jej słyszeć. - Dla-(ego wolę dziewczyny.

-Aha - odpowiedziała Anna, myśląc o panu Spate. - Ja tam lubię facetów - dodała. Odczuła nagłą potrzebę potwierdzenia swego heteroseksualizmu. W liceum najgorszą rzeczą było zyskać etykietkę homo. - Właściwie to mam chłopaka. - Albo miałam, dorzuciła w myślach. Stwierdziła, że Ryan na pewno nie będzie czekał na nią trzy miesiące.

-Hej, ja też miałam chłopaków. Wielkie rzeczy. Dam głowę, że przy odrobinie wysiłku zdobyłabym Brody'ego. Hej, Stacey, założycie się ze mną? Jak wrócimy z wycieczki, dobra? Szkoda, że nie idę w jego grupie, mogłabym po drodze zaciągnąć go w krzaki. To dopiero byłoby coś.

-Doigrasz się - uprzedziła ją Stacey. - Pamiętaj o celi.

-I kajdankach. Może ja to lubię.

-Mają tu kajdanki? - spytała Anna.

-A jakże. Mają wszystko. Znają się na rzeczy.

-Podejrzewam, że nie korzystają z nich zbyt często

-stwierdziła Stacey. - Groźba kary jest zazwyczaj bardziej skuteczna niż sama kara. Same jesteśmy tego jak najlepszym przykładem, podobnie jak większość obozowiczek.

Erica ziewnęła.

-Przydałaby się rewolucja.

-Nie będziemy się buntować - powiedziała Stacey.

-Fajnie by było, ale nie będziemy.

Jakby na przekór jej słowom przysadzista dziewczyna z aparatem na zębach i ciemnymi kręconymi włosami zeskoczyła z łóżka ustawionego w połowie sali i zaczęła krzyczeć na dziewczynę, która leżała na dole. Odznaczała się nieprzeciętną urodą, miała długie nogi, gęste jasne włosy oraz wysokie kości policzkowe i pełne wargi, jakie Anna niejednokrotnie podziwiała u modelek. Ładne usta rozciągały się w aroganckim uśmiechu.

-To nieprawda! - krzyczała ciemnowłosa. -Ty podła suko! Zdziro! Przestań wygadywać o mnie takie rzeczy!

-Dziewczęta! - wrzasnął Brody, podążając w ich kierunku.

-Odszczekaj! - dorzuciła ciemnowłosa, a w jej głosie słychać było urazę i niedowierzenie. Tamta patrzyła na nią z satysfakcją. Musiała powiedzieć coś naprawdę okropnego. Brody podbiegł do rozkrzyczanej dziewczyny, która obróciła się na pięcie.

-Nienawidzę tego miejsca! - wrzasnęła. - Chcę do domu! Podetnę sobie żyły! O, proszę! Przetnij! Przecinaj, mówię! - Jej ręce wystrzeliły w kierunku Brody'ego, który powalił ją na podłogę. Sala nieoczekiwanie wypełniła się okrzykami dziewcząt. „Świrujemy!”. „Dawaj!”. Poduszka śmignęła w powietrzu i trafiła konsultanta w tył głowy.

Sytuacja niepostrzeżenie wymknęła się spod kontroli. Anna patrzyła z dreszczem emocji, jak ciemnowłosa tłucze mężczyznę pięściami. Pofrunęły kolejne poduszki. Tymczasem ewidentna sprawczyni zajścia leżała na łóżku, z zachwytem obserwując narastające zamieszanie. Podchwyciła wzrok Anny, która uciekła spojrzeniem w bok.

-Pomocy! Pomocy! - wykrzykiwał w krótkofalówkę Brody. Dziewczęta zeskakiwały z łóżek i kopały konsultanta oraz ciemnowłosą tarzających się po podłodze. Zupełnie jakby wszyscy dotąd wyczekiwali okazji, żeby postradać zmysły.

-Zabić go! - wrzasnęła któraś. - Zasługuje na śmierć!

Anna wstała, żeby lepiej widzieć. Brody obrywał, ile wlezie. Przeszło jej przez myśl, że napastniczki posuną się zaraz za daleko, lecz w tym momencie do sali wpadł Adler i pospieszył na pomoc koledze.

Rozwścieczony łapał dziewczęta za włosy i popychał gwałtownie na barierki łóżek. Brody wstał chwiejnie, trzymając się za bok. Miał rozwaloną krótkofalówkę i podbite oko.

Adler podniósł ciemnowłosą i potrząsnął nią jak szmacianą lalką. Odzyskawszy rezon, Brody złapał dziewczynę od tyłu, po czym wspólnie wyprowadzili ją na dwór. W sypialni panował kompletny chaos, obozowiczki krzyczały i przeklinały, choć fala przemocy fizycznej najwyraźniej minęła. Po chwili na progu stanął rozwścieczony Adler.

-Spokój! - wrzasnął. W sali zapadła cisza. W przeciwieństwie do Brody'ego Adler budził strach. Sprawiał wrażenie, jakby go było stać dosłownie na wszystko. Z zewnątrz dolatywały krzyki ciemnowłosej; Anna zastanawiała się, co z nią zrobią.

-Baczność!

Dziewczęta niechętnie stanęły przy łózkach. Napięcie stopniowo opadało. Anna uzmysłowiła sobie, że zaciska pięści: na jej dłoniach odbiły się półksiężycy paznokci.

-Na podłogę. Jeśli macie zamiar zachowywać się jak zwierzęta, tak też będziemy was traktować. Pięćdziesiąt pompek i pięćdziesiąt przysiadów. Dalej pięćdziesiąt pajaców, a potem wszystko od początku. Już wy mnie popamiętacie. Nie jesteście ani w cyrku, ani w zoo, ani tym bardziej w domciu z mamusią i tatusiem. Dwa punkty karne dla każdej z was. Natalia i Dana, wy macie po cztery. Widziałem, jak kopałyście. Żeby nie było wątpliwości: Beth idzie do puszki.

Dziewczęta milczały.

-Jazda!

Posłusznie opadły na podłogę, podczas gdy tamten odliczał, chodząc tam i z powrotem.

Robiąc pompki, Anna zobaczyła, jak Adler podchodzi do dziewczyny, która sprowokowała bójkę. W przeciwieństwie do większości dziewcząt bez wysiłku wykonywała ćwiczenie i nie musiała nawet podpierać się kolanami.

Adler zmierzył ją przeciągłym, podejrzliwym spojrzeniem.

-Czy to twoja sprawka, Kara?

-Nie, sir - odparła, wciągając dolną wargę. - Oczywiście, że nie. Skąd ta myśl? - Mówiła niskim, ochrypłym głosem, bardzo przymilnie. Anna nie miała wątpliwości, że Kara odgrywała w szkole rolę gwiazdy numer jeden. Pomarańczowy strój, który upodabniał inną dziewczyny do dyń, na niej prezentował się nienagannie. Co ktoś taki robił w Archstone?

-Mam cię na oku - oznajmił Adler. - Jesteś dziś w mojej grupie i na mojej czarnej liście. Jedna wpadka podczas wycieczki, a zamienię ci życie w piekło. Jak skończysz, zrób dodatkowe pięćdziesiąt pompek.

Dalej spacerował wzdłuż przejścia. Kiedy dziewczęta skończyły ćwiczenia, stanął w pobliżu wejścia do sali. Annę rozboleł brzuch; nie mogła opanować drżenia ramion.

-Dobrze, kadeci. Zakładajcie buty i bierzcie plecaki. Ustawcie się w dwa rzędy. Grupa pierwsza po lewej, grupa druga po prawej stronie. - Dziewczęta posłusznie wykonały rozkaz. Bezlitosne spojrzenie Adlera budziło w Annie niepokój. Archstone to tylko letni obóz, minus wszystkie rozrywki, stwierdziła w duchu. Pocieszyła się myślą, że w prawdziwym świecie



Adler musiał być kompletnym frajerem, no bo kto chciałby tu pracować? Pewnie nie przyjęli go do wojska i teraz wyżywał się na nastolatkach.

Popatrzyła na pozostałe uczestniczki programu-One również nie wyglądały na takie, co sobie radzą w życiu, i większość bez trudu dawała się zaszufłakować. Było wśród nich kilka potencjalnych prześladowczyń młodszych koleżanek, garść czarnowłosych fanek gotyckiego rocka oraz grupka złośliwych chudzielców o niespokojnych oczach wskazujących na upodobanie do zadymy. Żadna oprócz Kary nie mogła się poszczycić szczególną urodą. Najzwyklejsze kandydatki do poprawczaka, uznała Anna.

Wiedziała, że podobna analiza jest konieczna, żeby je rozgryźć. Musiała wiedzieć, na czym stoi. Większości dziewcząt nie wolno lekceważyć ani tym bardziej wierzyć w ich prostolinijność. Chłopcy uważali je za nieszkodliwe, ale Anna wiedziała swoje: dziewczęta umiały być znacznie podlejsze i bardziej wyrachowane niż oni, gdyż pod maską łagodności często kipiwały tłumionym gniewem.

-Naprzód marsz! - zakomenderował Adler. Otworzył drzwi i dziewczęta podążyły za nim na dziedziniec, gdzie czekała panna Richards oraz dwaj inni konsultanci. Anna szła za Kelli, na końcu szeregu. Erica i Stacey również znajdowały się w tym samym rzędzie, podobnie jak Kara, idąca na początku. Annie doskwierało zmęczenie; plecak boleśnie wżynał jej się w barki. Wybiegała myślą ku tej odległej chwili w przyszłości, kiedy będzie mogła usiąść w klasie i przenieść się myślami gdzie indziej.

-Stać! - rozkazał Adler.

Pochód znieruchomiał. Skwar bezlitośnie dawał się we znaki. Co za nuda, pomyślała Anna, skoro gorąco jest najbardziej dojmującym doznaniem. Poprawiła plecak, usiłując przy tym nie zwracać na siebie uwagi. Słońce przyprawiało ją o lekkie mdłości.

-Posłuchajcie! - wrzasnął Adler. - Grupa pierwsza idzie z Brodym i McGathym. Grupa druga zostaje ze mną i panną Richards. Dalej!

Kiedy obie grupy ustawiły się we wskazanym miejscu, Adler zaczął pospiesznie wyczytywać nazwiska.

-Emily Nichols? - warknął szorstko.

-Obecna, sir - odpowiedziała dziewczyna, którą zasłaniały pozostałe. Ze swojego miejsca z tyłu szeregu Anna nie widziała twarzy towarzyszek. Wołała też nie wypatrywać ich za wszelką cenę, aby nie ściągnąć uwagi Adlera.

-Alice Norwood?

-Obecna, sir - burknęła Alice. Anna dostrzegła brzydką, kanciastą dziewczynę o niskim czole i zmierzwionych, brązowych włosach. Zauważyła ją już wcześniej, w jadalni. Na ustach Alice

ustawicznie błędnym uśmiechem i Anna doszła do wniosku, że najlepiej będzie jej unikać.

-Kara Parker?

-Obecna, sir - odparła lekko drwiącym tonem. Adler nie zauważył tego bądź też umyślnie zignorował.

-Vicki Phillips? - zawołał.

-Obecna, sir. - Vicki była wysoka, tęga i umięśniona jak chłopak.

-Maria Ruiz?

Nikt nie odpowiedział, lecz Anna zobaczyła, że ciemnowłosa Latynoska podnosi rękę. Ku jej zdziwieniu milczenie dziewczyny nie zrobiło na Adlerze najmniejszego wrażenia i dalej wyczytywał nazwiska. Po Marii przyszła kolej na Laurę Seaton i Amelię Stevens, lecz Anna nie zdążyła się przyjrzeć żadnej z nich.

-Lindsay Taylor?

-Obecna, sir - odpowiedziała chuda, niebieskowłosa dziewczyna wyglądająca na fankę gotyckiego rocka. Głos zadrżał jej nieco, jakby ze strachu lub zdenerwowania.

-Michelle Thompson?

-Nie Michelle, tylko Shelley, przecież panu mówiłam - rzuciła z pretensją. Anna musiała wychylić się z szeregu, żeby ją dostrzec. Głos należał do kościstej dziewczyny o skórze tak bladej, że pomimo oślepiającego słońca zdawała się emanować własnym światłem. Kto by pomyślał, że odważy się odpyskować Adlerowi.

Konsultant rzucił jej wściekłe spojrzenie.

-Od tej pory masz na imię Michelle. Zrozumiano? -Wbił w nią wzrok, dopóki nie uciekła spojrzeniem w bok.

-Tak jest, sir - wymamrotała wreszcie.

-Jennifer Tully? - podjął z irytacją Adler.

-Obecna, sir - mruknęła tęga dziewczyna z tłustymi, czarnymi włosami.

-Stacey Vargas?

-Obecna, sir - odparła głośno Stacey. Adler wyczytał jeszcze nazwiska Eriki i Kelli, a na końcu Anny. Wszystkie były obecne, z wyjątkiem Beth, która odbywała swoją karę. Anna zauważyła, że Adler rozmyślnie pominął jej nazwisko, tak jakby w ogóle nie istniała.

-Jesteście grupą numer dwa - powiedział do czternastu stojących przed nim dziewcząt. - Panna Richards jest waszym przywódcą i poprowadzi pochód. Ja pójdę na końcu. Przez całą wyprawę nie spuszczę was z oka. Jestem zdegustowany incydentem w koszarach, dlatego lepiej miejcie się na baczności. - Umilkł jak generał dokonujący przeglądu wojsk i niezbyt za

dowolny z wyniku oględzin. - Dziewczęta, macie przed sobą trudne wyzwanie. Po drodze czeka was pięć dwudziestominutowych przystanków, po dwa przed i po przerwie na lunch, którą wyznaczaliśmy na godzinę dwunastą. Musicie dotrzymać kroku pannie Richards oraz reszcie grupy, w przeciwnym razie zostaniecie z tyłu. Maruderów nie będzie, ponieważ wszystkie włożycie w wyprawę studziesięcioprocentowy wysiłek.

Anna jakby słyszała swego nauczyciela wychowania fizycznego.

-Musicie bezwzględnie trzymać się szlaku – ciągnął. - Przebywacie na obcym i wrogim terenie. Jeśli zabłądzicie, macie nikłe szanse na odnalezienie. Wyspę w dziewięćdziesięciu procentach porasta dziewiczy las, w którym przeważają sosny i mahoniowce. To największa wyspa w archipelagu Bahama, która ma ponad sto mil długości i sześćdziesiąt szerokości. Ludzie zamieszkują jedynie wschodnią część. Ktokolwiek ucieknie, zostanie odnaleziony i otrzyma surową karę. Dlatego jeśli nosicie się z zamiarem ucieczki, lepiej dobrze to przemyślcie.

Anna była przekonana, że przy ostatnich słowach skierował wzrok w jej stronę. Odczuwała jednak tak przemożne zmęczenie, że nie miał powodów do obaw. Przynajmniej jeszcze nie teraz.

Następnie głos zabrała panna Richards. W blasku słońca jej pomarszczona twarz wyglądała jeszcze starzej. Zdaniem Anny była albo nałogową palaczką, albo też znaczną część życia spędziła na powietrzu.

-Podczas wyprawy ma panować bezwzględna cisza. Dzisiejsza awantura sprawiła mi ogromny zawód. W Archstone nie ma miejsca na podobne zachowanie. - Odchrząknęła. - Chcę, abyście potraktowały wycieczkę jako okazję do przemyślenia spraw, które przyczyniły się do waszego przyjazdu. Jeśli pobyt na Andros budzi waszą złość lub frustrację, zastanówcie się nad tym, jak czyny wpływają na wasze losy. Nie chcemy, by nasz program was ranił, lecz by umożliwiał wam rozwój. Jeśli odrzucicie normy cywilizowanego postępowania, społeczeństwo odmówi wam prawa głosu, bez którego jesteście bezsilne. Sprawność fizyczna i samodyscyplina są pierwszymi krokami do osiągnięcia kontroli nad własnym umysłem. Nasza wyprawa może stanowić wstęp do nowego sposobu myślenia, zachowania oraz życia. - Popatrzyła na obozowiczki przekrwionymi oczami. Następnie spojrzała na zegarek i podniosła swój plecak, znacznie mniejszy od plecaków dziewcząt. Anna zobaczyła, że druga grupa wychodzi przez bramę i znika w lesie.

-Dobrze. Naprzód marsz - powiedziała wreszcie i pochód ruszył przed siebie. Adler deptał Annie po piętach. Irytujące było to, że ma ją wciąż na oku.

Minęli bramę obozu i wyszli na drogę. Żwir głośno chrząścił pod stopami. Archstone był tak konformistyczny i przygnębiający, że Anna odnosiła wrażenie, jakby właśnie wstąpiła do partii faszystowskiej lub innej organizacji tego typu. Dziewczęta opuściły zwirową drogę i skręciły w wąską ścieżkę prowadzącą do lasu.

-Zwawiej! - doleciał głos panny Richards. - Złapcie rytm, dziewczęta. Poczujcie go! - Obozowiczki niezdarnie przyspieszyły kroku.

Po upływie kilku minut Anna miała ochotę usiąść i odpocząć. Dróżka okazała się tak wąska, że praktycznie nie zasługiwała na miano szlaku. Ziemię zaścielały mokre liście, a gałęzie drzew po obu stronach dróżki chwyciły Annę za łokcie. Wysoko w górze tłoczyła się gruba warstwa listowia, przepuszczająca jedynie wątłą smużkę światła słonecznego. Po bokach kłębiły się gęste zarośla, a z gnijących pni drzew wyglądały purpurowe główki dzikich orchidei. Pnącza oplatające niektóre drzewa zachodziły aż na ścieżkę. Spod nóg wyrastały kępki grzybów w dziwacznych, jaskrawych kolorach.

Anna chłoneła widoki, rozżalona, że nie może ich uwiecznić. I znowu zmarnowane ujęcia, myślała posępnie. Posiadanie aparatu nadałoby sens całemu tragicznemu przedsięwzięciu. Pacnęła komara.

Kelli powoli brnęła przed siebie, oddychając ciężko. Niekiedy potykała się i Anna musiała dokonywać cudów, żeby uniknąć kolizji. Słyszała za plecami kroki Adlera i czuła się jak w potrzasku. Raz i drugi obejrzała się za siebie, napotykając nieruchome spojrzenie ciemnych oczu, które zdawały się przewiercać ją na wylot.

Manewrowała pomiędzy połamanymi gałęziami i ostrymi kamieniami. Przyszło jej do głowy, że jeśli ojciec rzeczywiście miał rację co do istnienia piekła, z pewnością było podobne do Andros. A już na pewno miało co najmniej dziesięć mil długości.

Pochód z wolna oddalał się od bezpiecznego zacisza obozu i zagłębiał w leśną głuszę.

## POD OŚCIONĄ KWIATÓW

Las początkowo zdawał się cichy, lecz w miarę upływu czasu Anna zaczęła wyłapywać rozmaite odgłosy. Słyszała nieustanne nawoływania ptactwa oraz bzyczenie tysięcy owadów. Dokoła roiło się od komarów, które z upodobaniem wpadały jej w oczy i usta, bynajmniej niezrażone upałem. Anna wolała nie myśleć o innych stworzeniach prawdopodobnie zamieszkujących splątane poszycie. Myśl o konfrontacji z wężem lub pajakiem była nie do zniesienia.

Odgłosy lasu często zagłuszał hałas czyniony przez dziewczęta oraz pannę Richards przypominającą o konieczności picia wody i trzymania tempa. Manierki Anny wiszące po obu stronach plecaka nagrzały się od słońca i woda zyskała przykry posmak plastiku.

Marsz dawał się we znaki wszystkim uczestniczkom. Anna widziała, że Kelli cierpi jeszcze bardziej niż ona: grubaska z trudem chwytała oddech, a jej kark miał barwę płomiennej czerwieni. Ciekawe, co by się stało, gdyby dostała udaru ciepłego, pomyślała Anna.

Zapach własnego ciała napawał ją niechęcią. Koszulkę miała przesiąkniętą potem, stopy kisiły się w niewygodnych butach. Tęskniła za klimatyzowanym pokojem w Atlancie.

Po kilku godzinach zarządzono pierwszy postój. Dziewczęta z ulgą zrzuciły plecaki i rozsiadły się na kamieniach i pniach na skraju ścieżki, wydając pełne niezadowolenia odgłosy. Anna miała wrażenie, jakby szła od kilku dni. Otarte stopy bolały i ledwo utrzymywała się na nogach.

-Mamy za sobą dopiero pierwszy odcinek drogi -oznajmiła panna Richards. - Nie traćcie sił i pijcie dużo wody. - Dziewczęta prawie nie zwróciły na nią uwagi.

-Straciłyście ochotę do żartów, co? - zapytał sadystycznie Adler. Wyjął butelkę z wodą i pociągnął głęboki łyk.

Ustawiczny nadzór uniemożliwiał Annie jakkolwiek rozmowę, co dodatkowo potęgowało jej poczucie osamotnienia. Zastanawiała się, czy ów stan rzeczy potrwa do końca pobytu w Archstone. Nie było to zresztą całkowicie obce uczucie, zawsze trzymała się nieco na uboczu. Pomimo akceptacji rówieśników niezmiennie towarzyszyło jej przekonanie, że nikt tak naprawdę jej nie zna; czasami bała się, że tak już zostanie. Liczyła na porozumienie z panem Spate'em, ale oczywiście wszystko poszło nie tak.

Chcąc przestać o nim myśleć, przyjrzała się pozostałym dziewczętom. Siedzące obok niej Kelli i Stacey wyglądały, jakby umierały z wysiłku i gorąca, pierwsza z powodu tuszy, a druga nadmiernej chudości. Natomiast Erica wyglądała kwitnąco.

Anna przeniosła wzrok na inne uczestniczki wyprawy. Liczyły sobie od dwunastu do piętnastu lat, lecz Stacey wyglądała na dużo młodszą, niektóre zaś z dziewcząt wydawały się starsze. Maria, śniada brunetka z kręconymi włosami, przysiadła na kamieniu, popijając wodę.

Spojrzenie Anny padło na Karę. Siedziała z ciasno związanymi włosami, wyrzuciwszy przed siebie długie nogi. Bezlitosny łuk jej ust oraz intensywnie niebieskie oczy fascynowały Annę od początku. Kara miała rysy, które przyciągały uwagę zarówno chłopców, jak i dziewcząt, choć ze skrajnie odmiennych powodów. Anna nie uważała się za brzydką, ale uroda Kary była niepospolita.

- Kadeci! - zawołała panna Richards. - Koniec przerwy. Pora ruszać w drogę. - Dziewczęta marudziły, ale wstały. Anna miała ochotę na lunch i zakończenie wyprawy. - Następny postój za godzinę - dodała panna Richards i pochód ruszył naprzód.

Anna szła równym krokiem, pozwalając odpłynąć myślom. Wspomnienie pana Spate'a nasuwało jej się nieodparcie; nie wiedziała, kiedy zdoła się od niego uwolnić. Ciekawe, co teraz robi. Może spędza czas z żoną i dzieckiem. Albo siedzi w ciemni w towarzystwie kolejnej naiwnej, która wierzy, że ją kocha.

Przemocą odsunęła tę niepokojącą myśl. Brakowało tylko, żeby się rozplakała przed wszystkimi. Aborcja pozostawiła w niej pustkę, której wolała nie badać w obawie, że pochłonie ją bez reszty.

Rozmyślała o ojcu i o tym, jak bardzo go nienawidzi. Kiedy stąd wyjedzie, ucieknie na dobre, ale najpierw powie mu, jaka z niego świnia. Z całego serca pragnęła skrzywdzić go tak, jak on skrzywdził ją. Wiedziała na pewno, że trzymiesięczna nieobecność wyklucza powrót do szkoły, gdyż tam trzy miesiące równały się niemal trzem dekadom. Poza tym wszyscy

dowiedzą się, gdzie była, jeżeli już nie wiedzą. Znajomi nie będą chcieli mieć z nią do czynienia.

Wyobrażała to sobie. Znała kiedyś niejaką Stefanie, bardzo lubianą, która przeniosła się z rodziną na rok do Cincinnati. Kiedy wróciła, wszystko się zmieniło i ludzie przestali ją akceptować. Wreszcie zakumpłowała się z jakimiś typkami, na których rok wcześniej wcale nie zwróciłyby uwagi.

Mijały minuty. Według obliczeń Anny musieli przejść co najmniej cztery mile. Zastanawiała się, która godzina. Z jakiegoś powodu nie pozwalano im nosić zegarków. Stopy doskwierały jej okrutnie, zwłaszcza lewa pięta, cała w pęcherzach. I to ma pomóc jej wydorosnąć? Co najwyżej pozna wartość wygodnych butów.

-Zwalniasz - dobiegł z tyłu rozzłoszczony głos. -Szybciej. Nie możesz dotrzymać kroku pozostałym? -Adler. Anna podniosła głowę i stwierdziła, że pozostała nieco w tyle.

-Przepraszam - mruknęła, przyspieszając kroku.

-Nie przepraszaj, tylko idź szybciej.

Palant, pomyślała, ale nie miała odwagi powiedzieć tego głośno.

Kelli przystanęła i Anna mało na nią nie wpadła. Pochód stanął w miejscu.

-Kadeci - zabrzmiał głos panny Richards. - Uwaga. W zeszłym tygodniu mieliśmy burzę i na ścieżce leżą gałęzie. Bądźcie ostrożne. - Dziewczęta ponownie ruszyły przed siebie, nieco wolniej niż dotychczas. Anna uważnie mijała rozszczepione konary. Świadomość obecności Adlera tylko pogarszała sprawę, ponieważ czuła się zmuszona do pośpiechu. Niekiedy docierały do niej stłumione przekleństwa: przynajmniej miała satysfakcję, że jemu też nie było łatwo.

Naraz rozległ się głośny trzask i dziewczyna ze środka pochodu straciła równowagę. Anna zatrzymała się raptownie, po czym zamarła w obawie, że Adler na nią wpadnie, ale tak się nie stało.

-Panno Richards - zawołał cienki, drżący głos.

Anna wystąpiła z szeregu, żeby lepiej widzieć. Panna Richards przeciskała się w stronę poszkodowanej, która siedziała na ziemi. Miała długie, brązowe włosy i pryszczate policzki.

-Co się stało? - zapytał ostro Adler, również kierując się w jej stronę.

-Moja noga. Poślizgnęłam się... Panna Richards przyklękła obok niej.

-W porządku, Amelio.

-Rany! - zabrzmiał czyjś głos. - Spójrzcie na jej nogę!

-Straszne! - zawołał ktoś inny.

Anna wyteżyła wzrok, ale plecaki zasłaniały jej widok.

-Cisza! - rozkazała panna Richards. Adler pochylił się nad Amelią. Anna dostrzegła smugę czerwieni na jej nodze. Dziewczyna zaczęła płakać.

-Ale beksa - skomentowała głośnym szeptem Erica.

Kelli skorzystała z okazji, żeby usiąść na mokrych liściach i złapać oddech. Pozostałe dziewczęta obiegły Amelię.

-Możesz wstać? - spytała panna Richards.

-Boli!

-Wiem. - Panna Richards wstała i oparła rękę na biodrze. Wyglądała na zmartwioną. Przy wtórze jęków Amelii zamieniła kilka słów z Adlerem. Erica odwróciła się do Anny i Stacey, żeby zdać im relację.

-Żebyście widziały jej nogę! Cała we krwi!

Pojękiwania Amelii przeszły w donośne krzyki. Panna Richards i Adler próbowali ją podnieść.

-O nie, proszę! - wrzasnęła Amelia. Dziewczęta z zaciekawieniem śledziły rozwój sytuacji. Niektóre uśmiechały się szyderczo, inne wydawały się przerażone nieoczekiwanym obrotem sprawy. Anna dostrzegła wreszcie nogę Amelii. Ponad kostką dziewczyny sterczał ułamany fragment gałęzi. Pomarańczowa nogawka zabarwiła się na czerwono.

Anna bardzo jej współczuła. Czowała jednak mimowolną radość, ponieważ Amelia w żaden sposób nie mogła iść dalej. Wszystkie będą musiały zawrócić.

Amelia stanęła na jednej nodze, opierając się o pannę Richards. Łzy ciurkiem płynęły jej po policzkach.

-Nadepnęłam na coś, a potem usłyszałam hałas... I moja noga... Sama nie wiem...

-Nic się nie stało - odparła bez przekonania panna Richards, podtrzymując dziewczynę. - Zabierzemy cię z powrotem do obozu. - Z nogi Amelii wciąż sterczała gałąź. Anna zastanawiała się, dlaczego jej nie wyciągną, ale pewnie obawiali się wzmożonego krwotoku.

Panna Richards powiedziała coś do radia, ale zamiast odpowiedzi rozległy się tylko trzaski.

-No dobrze - zawołała wreszcie. - Zmiana planów.

Podejdźcie bliżej.

Dziewczęta otoczyły ją posłusznie, szepcząc z przejęciem. Adler stał nieco z boku, obserwując je jak sęp.

-Jak widzicie, Amelia jest ranna. Nie mogę złapać odbioru, dlatego muszę zaprowadzić ją do Archstone, żeby udzielono jej pomocy medycznej. Jednakże reszta z was pójdzie dalej pod przewodnictwem konsultanta Adlera.

Niektóre dziewczęta jęknęły, inne zaczęły przeklinać.



-Spokój! Nic się nie zmieniło. Pójdziecie do Clayton Peak, gdzie spotkacie się z drugą grupą.

-Amelii nic nie zagraża - dodał Adler. - Choć podejrzewam, że macie to gdzieś. Straciliśmy kilka minut, ale jesteśmy w stanie je nadrobić. Będziemy na miejscu o siedemnastej, tak jak zaplanowano. Niech wypadek Amelii uzmysłowi wam konieczność poważnego traktowania wyspy. Panna Richards prosiła o zachowanie ostrożności. Teraz wiecie dlaczego, i niech będzie to dla was przestroga. Stańcie za mną w szeregu.

Tymczasem panna Richards otworzyła swój plecak i wyjęła z niego kilka bandaży, po czym owinęła nimi nogę Amelii. Natychmiast zabarwiły się na czerwono. Gałąź wystawała jak poprzednio.

-Naprzód marsz! - zakomenderował Adler i pochód ruszył z miejsca.

Anna wciąż znajdowała się na końcu i przechodząc, zerknęła na nogę Amelii. Nie wyobrażała sobie, jak panna Richards doprowadzi dziewczynę do obozu.

-Clayton Peak daleko przed nami! - wrzasnął Adler. - Jeśli nie chcecie się zgubić, lepiej przebierajcie żwawo nogami. Żadnych maruderów.

Na szczęście przeszedł na czoło pochodu, dzięki czemu Anna mogła swobodnie porozumiewać się z idącymi przed nią dziewczętami.

-Mamy starą sukę z głowy - szepnęła Erica. - Dobrze i to. Za Amelią też nie będę płakać.

-Widziałaś jej nogę? - spytała Kelli.

-Pewnie, że widziałam. Szkoda gadać.

-Może ją amputują.

-Ale ty jesteś głupia, Kelli - odparła Stacey, przewracając oczami. Niższa od pozostałych o głowę wyglądała jak dziecko. - Po prostu wyjmą gałąź, oczyszczą ranę i założą szwy.

-Skąd wiesz? - zapytała Kelli. - A jeśli wda się gangrena?

-Zamknijcie się obie - poleciła Erica. - Denerwujecie mnie.

Anna poślizgnęła się na zgniłym kokosie i zatrzepotała rękami. Przez jedną straszną chwilę bała się, że upadnie, ale na szczęście utrzymała równowagę.

Przyszło jej do głowy, że może wypadek jest dobrym rozwiązaniem, gdyż wtedy będą musieli ją odesłać do domu. Zaraz jednak zrezygnowała z pomysłu, ponieważ myśl o własnoręcznym zadaniu sobie bólu była nie do zniesienia.

-Nudy na pudy - mruknęła głośno Erica. - Za dużo cholernych drzew.

Wędrówka przez las przypominała spacer po dnie zielonego oceanu. Przebłyski światła penetrowały listowie niczym promienie docierające w głąbinę. Anna doszła do wniosku, że ów podwodny krajobraz nawet przypadłby jej do gustu, gdyby nie przykre okoliczności oraz brak aparatu fotograficznego. Czuła się jak w transie, zawieszona pomiędzy jawą a snem.

Znajdowała się setki mil od domu; towarzyszyło jej osobliwe uczucie tęsknoty przemieszanej z lękiem o przyszłość.

-Stać!

Pochód znieruchomiał.

-Słyszę rozmowy!

Dwie dziewczyny w połowie szeregu plotkowały o chłopcach.

-Cisza. Nie radzę wam mnie drażnić.

Anna zmieniła pozycję, usiłując poprawić plecak.

-Nie cierpię typa - szepnęła Erica.

Anna kiwnęła głową.

-Ja też.

Dziewczęta podjęły marsz. Posuwały się jeszcze wolniej niż przedtem, pokonując powalone drzewa i odsuwając gałęzie. Stelaż wznął się Annie w kręgosłup. Szlak praktycznie zniknął; każdy ślepo podążał za osobą idącą z przodu. Anna pomyślała, że w takim tempie dotarcie do celu zajmie im całe dwanaście tygodni pobytu.

-Konsultancie Adler? - zawołała jedna z uczestniczek. Była to niebieskowłosa; jej podziurawione uszy wskazywały na upodobanie do wielokrotnego przekłuwania. Chyba miała na imię Lindsay, ale Anna nie była pewna. - Muszę się załatwić.

Żadna z dziewcząt nie zareagowała śmiechem. Większość doświadczyła już upokarzającego zatrzymania pochodu i kucnięcia za krzakiem. Pozostałe myślały o tym ze zgrozą.

-Znasz zasady - odparł Adler. Dziewczęta przystanąły. - Dwie minuty.

-Konsultancie Adler? - powtórzyła z zakłopotaniem Lindsay. - Mój żołądek... To chyba melony.

-Wobec tego pięć minut. Pospiesz się.

-Potrzebuję papieru.

Adler westchnął ze złością. Z powrotem przelazł przez połamaną gałąź i stanął przed Lindsay.

- Przecież masz rolkę w plecaku, do cholery.

-Wiem, ale moja manierka przeciekła. Chyba nie dokręciłam zakrętki. Przez pomyłkę włożyłam ją do plecaka i wszystko zamokło.

-Nie mamy dodatkowych rolek - rzucił bezwzględnie Adler. - Twoje niedbalstwo nie oznacza, że ktoś

przyjdzie ci z pomocą. Właśnie takiej postawie zawdzięczasz swój przyjazd do Archstone. Każdy musi martwić się o siebie. Wykorzystaj mokrą rolkę albo podetrzyj się liściem. Tych ci nie zabraknie. Dziewczyna stała niepewnie, upokorzona.

-Czas mija.

-Możesz pożyczyć moją rolkę - wyrwała się Stacey. Niebieskowłosa spojrzała na nią z ulgą. Jednakże jej wdzięczność okazała się przedwczesna, gdyż Adler uniemożliwił transakcję.

-Jeszcze czego. Nie ma mowy - burknął. - Żadnego dzielenia. Musicie ponosić konsekwencje swoich czynów.

Niebieskowłosa wyglądała na bliską łez, lecz chyba zrozumiała, że płaczem nic nie wskóra. Odwróciła się powoli i weszła do lasu, żeby nikt jej nie widział.

-Pięć minut - wrzasnął Adler. - Potem odchodzimy.

Dziewczęta czekały. Ramiona Anny pulsowały bólem, podobnie jak krzyż. Czy to aby nie pora na lunch?

Adler utkwiał w dziewczętach nieruchome spojrzenie.

-Pewnie nie sądziłyście, że wylądujecie w takim miejscu - powiedział. - Żadnych wygod. Lepiej się z tym pogódźcie. W porównaniu z poprawczakiem, do którego miała pójść większość z was, Andros to raj. Cieszcie się, że macie bogatych rodziców. - Zerknął na zegarek. - Jeszcze dwie minuty! - wrzasnął.

Kilka otumanionych skwarem dziewcząt kołysało się w przód i w tył. Anna nie mogła się nadziwić, że dotąd nikt nie zemdlął.

-Czas minął - oznajmił wreszcie Adler. - Uformować szereg. - Gałęzie utrudniały zadanie, lecz Anna starała się, jak mogła. Niebieskowłosa wybiegła z lasu i wróciła na swoje miejsce.

-Dam głowę, że nie zdążyła - parsknęła Erica.

Obozowiczki podjęły wędrówkę nieistniejącym szlakiem. Obejrząwszy się za siebie, Anna ujrzała za plecami zwartą ścianę lasu. Adler wykrzykiwał coś na czele pochodu.

-Trzymać tempo! Nie wyszłyście na niedzielny spacer. - Zarechotał. - Może odrobina muzyki doda wam animuszu. - Zaintonował po wojskowemu. - Jestem rozwydrzony łobuz. Starzy wysłali mnie na obóz! - Ponownie wybuchnął śmiechem. - Dalej, śpiewajcie ze mną. - Dziewczęta milczały jak zaklęte. - Co jest, młode? Przed nami długie mile wędrówki. - Tryskał humorem.

Anna weszła na powalony pień i zeskoczyła na ścieżkę. Nie będzie śpiewać z tym palantem, jeszcze czego. Wówczas usłyszała huk, znacznie głośniejszy od trzasku złamanej gałęzi towarzyszącemu upadkowi Amelii. W rzeczy samej był tak donośny, że na chwilę ogłuchła. Do złudzenia przypominał wystrzał z pistoletu.

-Padnij! - dobiegł zza drzew okrzyk Adlera. Mężczyzna w jednej chwili stracił ochotę do żartów. Anna opadła na kolana, niektóre dziewczęta uczyniły to samo. - Padnij, do cholery! - powtórzył. Pozostałe obozowiczki kucnęły z ciężkimi plecakami i przywarły do ziemi. Zabrzmiał kolejny huk i Anna zatkała uszy palcami. Czyżby ktoś do nich strzelał? Zdumienie przeważyło nad strachem.

-Nie ruszać się - polecił Adler. Jego zaniepokojony głos obudził w niej lęk. Dotąd sądziła, że to może część jakiegoś zadania albo sprawdzian, ale napięcie w głosie konsultanta wydawało się autentyczne. - Podczołgajcie się w kierunku, skąd dobiega mój głos.

Anna i pozostałe ostrożnie ruszyły w jego stronę. To na pewno strzały, pomyślała Anna. Ktoś strzelał, i to niedaleko stąd. Czuła się jak na patelni, choć gęste poszycie stanowiło doskonałą osłonę. Niebawem dołączyła do grupy skupionej pod drzewem wokół Adlera.

-Co się tu dzieje? - jęknęła jedna z dziewcząt.

-Ciii! - syknął Adler. - Nie tak głośno. - Sam mówił zniżonym, niespokojnym głosem. - Jakiś kretyn strzela z pistoletu. Teraz nie ma sezonu polowań, więc pewnie kłusownik. Albo i gorzej. - Anna zrozumiała, że to nie żarty i serce podskoczyło jej do gardła. Adler wyjął radio, po czym bezskutecznie próbował połączyć się z obozem. - Szlag!

-I co zrobimy? - szepnęła Kelli. Gdy mówiła, jej nalany podbródek trząsał się jak galareta.

-Zamknij się. Muszę pomyśleć.

-Czy to do nas strzelali? - spytała jękliwie inna dziewczyna.

-Żadnych pytań! - warknął Adler. - Posiedzimy tu i przeczekamy. Ktokolwiek to jest, pójdzie sobie, i będziemy mogli iść dalej.

Przez kilka niemożliwie długich minut siedzieli w milczeniu. Wreszcie Adler wstał, uspokojony przedłużającą się ciszą.

-Niebezpieczeństwo minęło. Zgłoszę to natychmiast po powrocie do Archstone. Cholerni kłusownicy.

Dziewczęta czujnie podniosły się z miejsc, wszystkie oprócz Kelli, nadal skulonej w poszyciu.

-Wstań, Kelli - polecił Adler.

-Nie chcę dostać kulki!

-Jeśli zaraz nie wstaniesz, nie dostaniesz kulki, tylko sześć punktów karnych. Jazda.

-Jestem zmęczona! Dłużej nie dam rady. Idźcie beze mnie.

-Wykluczone.

-Ale ja naprawdę nie mogę! - zawyła Kelli, wybuchając płaczem. Anna spojrzała na nią z mieszaniną odrazy i współczucia. - Nie pójdę.

-Liczę do trzech - powiedział Adler. - Jeśli do tej pory nie wstaniesz, zarobisz solidnego kopa w tyłek. Nie ma czasu na pierdoły.

-Ona się boi - wtrąciła Stacey. - Nie widzi pan?

Adler zwrócił się w jej stronę.

-A ty czego zawsze pyskujesz, karlico? Trzymaj gębę na kłódkę, bo sama oberwiesz.

-Nie boję się pana - odparła spokojnie Stacey. Mimo to odwróciła wzrok.

Adler popatrzył na Kelli i zaczął powoli odliczać.

-Ostatnia szansa, Kelli. Jeden... Dwa... Trzy...

Kelli nie ruszyła się z miejsca. Adler stanął tuż za nią. Odsunęła się, ale ponieważ. Chwycił ją pod pachy i szarpnięciem postawił na nogi.

-Au! - krzyknęła. - Przecież to boli! No co pan! Proszę mnie puścić!

Adler cofnął się i dwukrotnie zdzielił ją w twarz. - Opanuj się! Jesteś żalosna!

Anna oniemiała. Kilka dziewcząt głośno chwyciło oddech. Krzyki Kelli zamieniły się w szloch.

-Zaraz, przecież nie może pan jej bić - zaproponowała Stacey.

-Właśnie - dorzuciła Erica. - O co tu chodzi?

-Łamie pan zasady - wtrąciła Kara. Uśmiechała się z rozbawieniem.

Adler wściekle przenosił wzrok z jednej dziewczyny na drugą.

-Jeśli chcecie wyjść z lasu żywe, radzę wam się zamknąć i mnie słuchać. Żeby nie było wątpliwości: ja tu rządzę. Znam ten szlak, a wy nie. Róbcie, co mówię, i żadnych numerów. Ruszajcie w drogę i przestańcie marudzić.

Ktoś prychnął szyderczo, lecz nikt nie odważył się zaprotestować. Kelli nadal płakała, lecz przynajmniej stała na nogach.

-Wypadek Amelii oraz cholerni kłusownicy to żaden powód, żebyście podważały mój autorytet. Uderzyłem Kelli, ponieważ wpadła w histerię. Grunt to spokój i maksymalna koncentracja. Nie mówiłem wam, że Andros trudno nazwać przyjazną wyspą? Nie mówiłem? A teraz pójdziemy dalej zgodnie z planem, zrozumiano?

-Tak jest, sir - wymamrotało kilka dziewcząt.

-To dobrze.

Naraz Annę ogarnęły złe przecucia. Nie potrafiła ich wytłumaczyć, nieczęsto tego doświadczała. Powietrze uciekło jej z płuc; ogarnęło ją wrażenie, jakby dryfowała parę cali nad własnym ciałem. Adler nadal coś mówił, lecz jego słowa przestały do niej docierać. Popatrzyła na towarzyszki, mokre od potu i nieziemsko brudne. Zupełnie, jakby widziała je w

zwolnionym tempie. Ponownie przeniosła spojrzenie na Adlera, który właśnie otwierał usta do kolejnego zdania.

Patrzył jej w oczy, gdy naraz padł trzeci strzał. Na jego szyi, tuż pod brodą, rozlała się plama czerwieni, z karku trysnęła krew. W oczach mężczyzny pojawił się wyraz bezbrzeżnego zdumienia. Usta pozostały otwarte.

Dziewczęta usłyszały hałas, lecz początkowo nie zauważyły, co stało się z konsultantem. Anna, osłupiała z przerażenia, patrzyła, jak stał pobladły niczym duch, a krew chlustała mu na koszulę. Usłyszała pisk przypominający odgłos powietrza uchodzącego z opony i zrozumiała, że dobiegał z jego rany. Doznała szoku.

Adler próbował coś powiedzieć, ale nikt go nie słuchał. Osunął się na ziemię, przyciskając ręce do gardła.

-Padnij! - krzyknęła któraś z dziewcząt, po czym wszystkie naraz zaczęły wykrzykiwać:

-Chodu!

-Uwaga!

-Chryste Panie!

Rozległ się kolejny strzał, niczym trzask z bata. Niewiele myśląc, Anna odłączyła się od grupy i wpadła na oślep między drzewa, nie zważając na kłujące gałęzie. Jej ucieczka uruchomiła reakcję łańcuchową: dziewczęta rozpierzchły się z krzykiem, biegnąc ile sił w nogach. Opuściły szlak, niektóre parami, ale większość w pojedynkę. Anna wiedziała tylko, że musi uciec od tego straszego widoku.

Widziała migające po bokach drzewa; mijała je z impetem, prześlizgując się pod gęstymi pnączami i łamiąc gałęzie. Biegła kilka mil, dopóki całkiem nie opadła z sił. Nogi paliły ją żywym ogniem, pierś falowała; bała się, że zaraz zemdleje. Usiadła na stercie liści pod wielkim, guzowatym drzewem i z lękiem wyteżyła wzrok. Po lewej stronie kwitła dziwna, różowa roślina wydzielająca mdlącą, słodkawą woń. Na wysokości dwudziestu stóp rozpościerał się zielony baldachim gałęzi.

Umysł Anny nie ogarniał tego, co się stało. Zobaczyła, że na jej rękach i nogach widnieją liczne zadrapania; niektóre krwawiły. Twarz chyba też miała pokaleczoną. Ze zdziwieniem stwierdziła, że plecak wciąż tkwił na swoim miejscu.

Kiedy się uspokoiła i zaczęła normalnie oddychać, uświadomiła sobie swe żalosne położenie. Znalazła się nie tylko z dala od mordercy Adlera, ale i od reszty grupy. Zrozumiała, że w ferworze ucieczki zgubiła drogę. I nie licząc bzyczenia owadów oraz sporadycznych okrzyków tropikalnego ptactwa, wokół niej panowała niczym niezmacona cisza.

Pomimo niewygodnej pozycji bała się ruszyć. Drżała, że morderca Adlera po nią wróci. Przyłgnęła całym ciałem do pnia. Miał sękatą, chropowatą powierzchnię i był obrośnięty porostem. Anna próbowała odpocząć, odzyskać siły i nie myśleć o szyi Adlera.

Nie wiedziała, co robić. Nie miała bladego pojęcia na temat sztuki przetrwania w lesie, postanowiła więc siedzieć i czekać. Popołudniowe słońce opadło nieco niżej i światło przenikało przez gałęzie pod kątem ostrym. Za parę godzin zapadnie zmierzch. Miała nadzieję, że ludzie z obozu zdążyli wszcząć poszukiwania.

Stwierdziła, że po tym wszystkim na pewno odeślą ją do domu i wyspa stanie się tylko koszmarem wspomnienia. Ojciec nieświadomie skazał ją na pobyt w miejscu dużo bardziej zdradzieckim niż Atlanta. Zastanawiała się, co spotkało pozostałe dziewczęta i czy wszystkie uszły z życiem. Była świadkiem morderstwa lub wypadku śmiertelnego i policja z pewnością zechce ją przesłuchać. Co za historia.

Koniec końców postanowiła ostrożnie wrócić na szlak. Nie miała ochoty na noc pod gołym niebem, zwłaszcza jeśli w okolicy kręcił się uzbrojony osobnik. Wstała i zarzuciwszy plecak ruszyła przed siebie.

Wędrowała przez kilka godzin. Radość z ocalenia ustępowała fali nowych obaw. Nigdy w życiu się nie zgubiła. Nikt nie wiedział, gdzie jest, a szlak wciąż wydawał się bardzo odległy. Wszystkie drzewa wyglądały identycznie i nigdzie nie było żadnych punktów orientacyjnych. Z powodu upału prawie opróżniła manierki; wiedziała, że wody nie starczy na długo. Posiadała zapas jedzenia składający się z czterech czekoladowych batonów energetycznych, dwóch jabłek oraz trzech na wpół roztopionych kanapek w plastikowych torebkach, z masłem orzechowym i dżemem. Prowiantu i wody wystarczy na jeden dzień. A jeśli będzie musiała dłużej pozostać w lesie? Odrzuciła tę myśl jako nieprawdopodobną.

Po drodze rozważyła różne możliwości. Bilans nie wypadł optymistycznie. W pewnej chwili przysiadła na płaskim kamieniu i mało się nie rozplakała. Ostatecznie jednak wyjęła jeden z batonów energetycznych i odwinęła papierek. Smakował jak tektura albo kreda i zmęczyła zaledwie połowę.

W lesie stopniowo zapadał zmrok i bzyczenie owadów przybrało na sile. Anna stłumiła lęk na myśl o konieczności spędzenia nocy pod drzewem. Jest silna. Jeśli przetrwała aborcję i strzelaninę, przetrwa i to. Zrobi wszystko, co trzeba, tak jak bezwzględni uczestnicy telewizyjnej „Szkoły przetrwania”. Została ofiarą ojca i pana Spate'a, ale nie da się pokonać wyspie.

Szła przed siebie, dopóki ciemność nie uniemożliwiła jej wędrówki. Świadomość, że do tej pory oglądała tylko wiewiórki i jaszczurki, była bardzo krzepiąca, wiedziała jednak, że

mnóstwo stworzeń ujawniało się dopiero nocą. Słyszała o ludziach zaginionych w lesie, którzy spali na drzewach, lecz uznała to rozwiązanie za niepraktyczne.

Znalazła jamę pod zbitą kępą pniaków. Uspokojona ich rozmiarami przycupnęła wśród wystających korzeni. W kryjówce unosił się intensywny fetor pleśni oraz mokrych liści, ale było jej wszystko jedno. Rozwinęła śpiwór i wsunęła pod głowę zwiniętą kurtkę. Wiedziała, że musi odpocząć, ale okoliczności wykluczały sen, poza tym bez przerwy niespokojnie spoglądała w ciemność. Nocą wszystko przybierało złowrogie kształty. Zastanawiała się, czy morderca Adlera nadal znajduje się gdzieś w pobliżu. Z drżeniem zwinęła się kłębek, zbyt przestraszona, by zamknąć oczy.

Pomimo wyczerpania usnęła dopiero o brzasku i spała tylko kilka godzin. Kiedy się obudziła, zobaczyła nad sobą znajomą kościstą postać, która wołała ją po imieniu.

Whiskens



# LEŚNY STAW

- Anno - powiedziała postać. Na tle słońca widać było jedynie jej zarys. - Obudź się. Okropnie wyglądasz. Nic ci nie jest?

-Stacey? - Anna usiadła, odpędzając sen. Potarła oczy. Na widok koleżanki niemal osłabła z ulgi. Dzięki Bogu, pomyślała. Dzięki Bogu.

-Mam wodę, jeśli chcesz. - Stacey wyciągnęła manierkę i Anna z wdzięcznością upiła łyk. - Wody nam nie zabraknie. Znalazłyśmy staw.

-My?

-Maria, Erica i ja. Wszystkie uciekły po tym, jak...

Po tym, co się stało. - Nie mogła powiedzieć tego głośno. - Erica i ja biegłyśmy razem i dotarłyśmy do stawu. Maria dołączyła do nas wieczorem.

Anna wytarła ręką usta.

-Nie znalazłyśmy nikogo innego - podjęła Stacey. -Nad stawem rozbiłyśmy obóz. Erica i Maria zostały na miejscu, ja poszłam rozejrzeć się za czymś do jedzenia. Mamy tylko kokosy. Podobno na Andros są też ananasy. Zatem jesteś cała?

-Chyba tak. - Anna czuła się oszołomiona, ale Stacey nie zwracała na to uwagi.

-To dobrze. Ja też. Zeszłej nocy na zmianę trzymałyśmy wartę. Dam głowę, że nie było ci łatwo samej.

-No. -Anna wstała, strzepując liście i ziemię. Miała splecione włosy i obolałe kończyny. Szyja zeszywniała jej tak bardzo, że prawie nie mogła nią ruszyć. Spróbowała rozmasować bolące miejsce. Las ponownie spowijała dziwna, zielona poświata.

-Grunt to trzymać się razem. Nie ma sensu szukać drogi ani próbować iść dalej. Jeśli zostaniemy przy stawie, ratownicy znajdą nas bez trudu.

-Tak myślisz?

-Jasne. Erica chce iść na wschód, na wybrzeże, w kierunku miasta, ale to zły pomysł. W naszej sytuacji najlepiej będzie pozostać na miejscu. Nie odeszliśmy daleko od szlaku, a jeśli zaczniemy biegać po lesie, jeszcze bardziej się zgubimy. - Chłodny, autorytatywny ton Stacey nie licował z jej drobną posturą. - Mamy wodę, choć pewnie nie znajdziemy nic do jedzenia oprócz owoców. Ale jeśli trzeba, przeżyjemy na kokosach.

-Ciesz się moim optymizmem - odrzekła Anna. - Zeszłego wieczora trochę spanikowałam, no wiesz, po tym, co się stało. To było całkiem jak w kinie.

-Z tą różnicą, że stało się naprawdę. Grunt to spokój i logiczne myślenie, a na pewno wyjdziemy z tego cało.

Optymizm Stacey dodał Annie otuchy i rzucił na sytuację lepsze światło. Dziwne, pomyślała. W innych okolicznościach nie zwróciłaby uwagi na dziewczynę taką jak Stacey, trochę przemądrzałą i dziwaczną. Jednakże tutaj, w lesie, Stacey stanowiła istną podporę.

-Dziękuję - powiedziała Anna.

-Za co?

-Za to, że mnie znalazłaś. Stacey uśmiechnęła się.

-Weźmy twoje rzeczy. - Pomogła koleżance zwinąć śpiwór. Anna przytroczyła go do plecaka, który następnie zarzuciła na ramiona. Ruszyły przez las. - Erica i Maria ucieszą się na twój widok.

Anna przestraszyła się, że Stacey nie odnajdzie drogi do stawu.

-Chyba pamiętasz drogę, co?

-Jasne. Mam doskonałą orientację w terenie.

-Miło mi to słyszeć, bo ja wcale. Dla mnie wszystko wygląda identycznie.

Stacey kiwnęła głową.

-Trzeba wiedzieć, czego się szuka.

W towarzystwie Stacey strach Anny nieco osłabł. Po drodze przystanąły przy drzewie gęsto obwieszonym czerwonymi owocami, zbitymi w kiście jak winogrona.

-To chyba jakaś lokalna odmiana jagód - stwierdziła Stacey. - Czytałam o nich, zbierając informacje o Andros. Są jadalne.

Anna okazała nieufność.

-Jesteś pewna?

-Nie. - Stacey chwyciła kiść owoców i zerwała je z drzewa, plamiąc sobie rękę na czerwono. Podała kilka Annie. - Zjedz jedną i zobacz, co się stanie.

-Wolę nie. Nie chcę się zatruć.

-Twoja sprawa. - Stacey z wahaniem włożyła do ust parę owoców i przeżuła. - Niezłe. Trochę gorzkawe. -Przełknęła ślinę. - Smakują jak surowe żurawiny. W razie potrzeby możemy je jeść.

-Fuj - odparła Anna. - Chryste, jak mogłaś tu przyjechać z własnej woli? Już chyba wolałabym poprawczak.

Stacey zerwała więcej owoców.

-Nie należę do dziewczyn, które mogą iść do poprawczaka i jakoś to znieść. Poza tym lubię podróżować i nigdy nie byłam na wyspach Bahama. A teraz mogę powiedzieć, że tak. - Schowała owoce do tylnej kieszeni plecaka Anny. - Zaniesiemy je Marii i Erice.

-Nie cierpię tego parszywego miejsca. Stacey oblizwała palce.

-Ja też nie.

Podążyły przed siebie w porannej spiekocie. Stacey wyjęła z kieszeni notes i smarowała coś na czystej kartce. Anna na śmierć zapomniała o notesie. Dostały je, aby zapisywać swoje osobiste myśli i spostrzeżenia. Musiała swój zgubić.

-Co robisz? - spytała.

-Sporządzam mapę. Zaznaczam położenie owoców względem źródła, żebyśmy w razie potrzeby trafiły z powrotem. Dobrze wiedzieć, gdzie można znaleźć urozmaicone pożywienie. Nie mam zamiaru tego jeść, stwierdziła w duchu Anna.

-Nie wierzysz, że niedługo nas znajdą?

-Ależ wierzę, tylko wolę dmuchać na zimne.

-Na pewno odeślą nas do domu. -Anna uśmiechnęła się na samą myśl. - Po tym, co widziałyśmy, nie mogą nas zmusić do pozostania.

-Obyś miała rację.

Kiedy dotarły do stawu, Anna zrozumiała, że spędziła noc w odległości mniej niż pół mili od obozowiska dziewcząt. Staw był gładki, owalny i miał na oko piętnaście stóp w najszerszym miejscu. Wyglądał, jakby wyłuskano go z ziemi ogromną łyżą. Miał brzegi okolone płaskimi, szarymi kamieniami, które ustępowały miejsca trawie oraz błotnistemu podłożu. Dokoła widniały drzewa; ich gałęzie prawie dotykały wody, dając wytchnienie od słońca.

Po jednej stronie stawu leżała sterta kamieni. Na wysokości pięciu stóp znajdował się skalny występ tworzący coś w rodzaju dachu. Anna dostrzegła pod nim trzy zielone śpiwory ułożone tuż na skraju wody.

-Hej! - zawołała Stacey. - Wróciłam! - Maria drgnęła, zaskoczona, podobnie jak Erka siedząca z nogami dyndającymi nad wodą. - Patrzcie, kogo znalazłam.

-Anna! - wrzasnęła Erica. - Udało ci się!

Anna z ulgą zsunęła plecak i uściskała Ericę. Widok kolejnej przyjaznej twarzy po tak ciężkiej nocy bardzo ją ucieszył.

-Oszaleć można - stwierdziła Erica. - Dasz wiarę? -Dostrzegła zadrapania na rękach i nogach Anny. - Co ci się stało?

-Nie wiem. Po prostu gnałam przed siebie, aż wreszcie stanęłam w miejscu.

Erica wybuchnęła śmiechem.

-Tak samo jak my.

Dziewczęta usiadły nad brzegiem ciemnoniebieskiej wody, żeby omówić swoje położenie. Powierzchnia stawu była gładka i nieruchoma jak szyba.

-Znalazłyśmy trochę dziwnych jagód – powiedziała Stacey. - Nie martwcie się, są jadalne. Próbowałam. - Wyjęła owoce i rozdała je koleżankom. – Przynajmniej mamy coś oprócz kokosów i batonów energetycznych.

Erica skosztowała owoców i skrzywiła się.

-Ohyda.

-Chyba nie są takie złe - zaproponowała Stacey.

-Jeśli jest się wiewiórką. Marzę o cheeseburgerze i frytkach, a nie czymś takim.

-I czekoladzie - dorzuciła Anna.

-No - potwierdziła z przejęciem Erica. – Kawie i papierosach też.

Stacey uśmiechnęła się, ale nie podjęła marzycielskiej litanii koleżanek.

-Chyba macie pecha.

-Szlag by to trafił.

Uwagę Anny zwróciło uporczywe milczenie Marii. Próbowała podchwycić jej spojrzenie, ale Maria konsekwentnie odwracała wzrok.

-Ona nie mówi - wyjaśniła Erica, dostrzegając zainteresowanie Anny. - Powiedzieli nam o tym na początku. Stacey chciała ją nakłonić do pisania, ale bez skutku. Nie bardzo wiemy, w czym rzecz.

-Może po prostu nie ma nic do powiedzenia - podsunęła Stacey.

Maria uśmiechnęła się.

-Może. - Erka wstała. - Ja za to mam mnóstwo. Zacznę od tego, że wyspa jest do dupy i chcę wracać do domu. Co my u diabła zrobimy?

-Na pewno długo tu nie zostaniemy - odrzekła z nadzieją Anna. - Ktoś przyjdzie i nas znajdzie. - Było to jej największe marzenie; wierzyła, że siłą woli może je urzeczywistnić.

-Uważam, że powinniśmy ruszyć w drogę - oznajmiła Erica. - Słońce wskaże nam kierunek i możemy iść na wschód, czyli do wybrzeża. Możemy też poszukać szlaku.

-Nigdy go nie znajdziemy - wtrąciła Stacey. - Zastanów się. Przecież i tak był prawie niewidoczny. Co prawda wiemy, że wybrzeże znajduje się na wschodzie, ale nie mamy pojęcia, w jaki sposób szerokość geograficzna wpływa na nasze postrzeganie kierunku. Nie wiemy też, jak jesteśmy daleko w głębi lądu. Ostatecznie wyspa ma sześćdziesiąt mil szerokości.

Dziewczęta umilkły. Erica zrobiła obrażoną minę. Stacey sprowadziła nas na ziemię, pomyślała Anna. Jednakże wdzięczność za odnalezienie nie pozwalała jej winić koleżanki za pesymizm.

-Może rozpalimy ognisko? - zaproponowała. - Na znak, że tu jesteśmy?

-Mądrała już o tym pomyślała - odparła Erica, wskazując na Stacey, zajęta oglądzinami własnoręcznie sporządzonej mapy. Maria w milczeniu spoglądała jej przez ramię.

-Nie mamy zapalek - wyjaśniła Stacey, podnosząc wzrok. - Próbowałam potrzeć dwa patyki, ale nie wyszło. Teoretycznie jest to dobry sposób, ale w moim wypadku okazał się nieskuteczny. Poza tym żadna z nas nie nosi okularów, przez co motyw z „Władcy Much” odpada.

-Władcy Much?

-Wykorzystali okulary Prosiaczka, żeby skupić promienie słoneczne.

-Zresztą i tak nie miałybyśmy co ugotować - wtrąciła z niezadowoleniem Erica. - W przeciwnym razie wykombinowałabym coś z tym ogniskiem. Jestem taka głodna, że wrębałabym całą pizzę z papryką i pieczarkami.

-Poszukajmy ananasów.

-Dobra - powiedziała Anna, chociaż marzyła o odpoczynku.

-Co za nudy. - Erica wstała i odrzuciwszy głowę w tył, spojrzała na rozciągający się w górze zielony baldachim. - Na dodatek rozboleła mnie głowa. Przydałoby się trochę aspiryny z kawą, albo percocet. Próbowałyście? Jest świetny na kaca i przed miesiączką. Podkradałam go mamie.

-Mamy jeszcze batony energetyczne - odparła Anna.

-Są do niczego, ale dzięki. Może Maria ma ochotę.

Anna wyciągnęła do Marii rękę z batonem, ale dziewczyna tylko pokręciła głową i opuściła wzrok.

-Hej Stacey, wiesz co? - zawołała Erica.

-No?

-Może Maria nie mówi, bo nie ma języka. Nie wzięliśmy tego pod uwagę. Hej Maria, masz język?

-Jestem pewna, że umie mówić - stwierdziła Stacey. - Po prostu nie chce.

Spomiędzy drzew wyleciał obłok różowych motyli, zakołysał się nad powierzchnią wody i zniknął. Anna znów pomyślała o aparacie.

Dziewczęta spędziły leniwie dzień nad stawem, rozbijając kokosy o kamienie i wyjadając biały miąższ. Anna zajrzała do kanapek, ale zamieniły się w kleistą maź. Kilkakrotnie rozbierały się do bielizny i pływały. Anna zauważyła, że Erica miała plecy wytatuowane od góry do dołu oraz logo zespołu Metallica na ramieniu.

Anna również marzyła o tatuażu, małym serduszku na biodrze albo w dole pleców, ale bała się bólu oraz reakcji ojca. Był bliski szału, kiedy matka zabrała ją na przekłucie uszu, chociaż miała już wówczas dwanaście lat. Pan Spate też nie lubił tatuaży: twierdził, że przystoją one jedynie marynarzom i gwiazdom rocka.

Woda była ciepła i Anna czuła się jak w relaksującej kąpieli. Przyjemna temperatura wody oraz pływanie ukoiliły nadwerężone mięśnie i wzbudziły jej senność.

W pewnej chwili wydało im się, że słyszą nad głowami cichy warkot helikoptera, lecz mimo że stanęły na kamieniach, wrzeszcząc i wyteżając wzrok, gałęzie doszczętnie zasłaniały widok. Anna nie przestawała jednak wierzyć w rychłe odnalezienie. Co więcej, ogarnął ją błogi spokój, jakby najgorsze miała za sobą. Gdyby nie bąble po ugryzieniach komarów i zadrapania oraz wieczny głód, czułaby się niemal jak na wakacjach.

Ze zdumieniem uświadomiła sobie, że jest niedziela. Była to pierwsza niedziela od bardzo dawna, kiedy ojciec nie zaciągnął jej i matki do kościoła. Jutro zaczynał się nowy tydzień i wszyscy w szkole pewnie będą mówić o jej zniknięciu. Żałowała, że tego nie usłyszy; poczułaby się jak na własnym pogrzebie. Pewnie jakaś laska już robi do Ryana słodkie oczy, stwierdziła w duchu Anna, po czym z wysiłkiem odsunęła od siebie myśl o panu Spate.

Z nadejściem wieczoru ogarnęło ją niemiłe rozczarowanie, że jeszcze nie zostały odnalezione. Przecież nie odeszły daleko od szlaku. Przypomniała sobie, że według słów Adlera Andros stanowiła w większości niezbadaną puszcę. Ale Stacey była mądra, Stacey wierzyła, że nic im nie grozi, i Anna pokładała nadzieję w jej słowach.

Nocą wyspa budziła się do życia i dookoła aż huczało od cykania świerszczy. Anna doszła do wniosku, że przynajmniej będzie miała co opowiadać przez resztę życia. Dziwne, że książki i filmy o ludziach zagubionych w głuszy zawsze dotyczyły mężczyzn. Czy kobiety nie przeżywały przygód? Nie gubiły się w leśnych ostępach? Może po prostu większość kobiet miała dość oleju w głowie, by nie utknąć nie wiadomo gdzie.

Anna skuliła się w śpiworze. Leżała pod skalnym występem, obok koleżanek. Mając na względzie to, co spotkało Adlera, dziewczęta postanowiły, że będą na zmianę trzymać wartę, Stacey pierwsza, Anna zaś ostatnia.

Zapadła ciemność i znowu zrobiło się strasznie. Anna wiedziała, że będzie jej trudno zasnąć. Z bezpiecznego miejsca pod skałą spoglądała poprzez staw w kierunku gęstwiny. Niektóre z drzew fosforyzowały, co nasunęło jej wspomnienie ojcowskiej kamery, która umożliwiała nagrywanie nocą, nadając przedmiotom ziarnistą, zielonkawą poświatę.

-To dziwne, że nie słyszałyśmy więcej helikopterów

-powiedziała, przenosząc spojrzenie na spodnią część występu.

-Może szukają w złym miejscu.

-Albo te pieprzone gałęzie są za grube - dorzuciła Erica. - Moim zdaniem powinnyśmy opuścić to miejsce.

-Może - odrzekła Stacey, odwracając głowę. - Ale na razie lepiej tu pozostać. To najrozsądniejsze wyjście.

-Wiecie, co jest zabawne? - spytała po chwili Erica.

-Mimo że marudziłam przez cały dzień, tutaj wcale nie jest najgorzej. Oczywiście wkurza mnie, że nie mogę zjeść frytek ani zapalić, ale to pierwszy dzień mojego zasranego życia, kiedy nikt mną nie pomiata ani na mnie nie wrzeszczy. W domu matka truje na okrągło.

Poza tym mam czterech młodszych braci, więc nie ma co marzyć o ciszy.

-I nie skaczemy sobie do gardła - dorzuciła Stacey.

-Panna Richards pewnie byłaby zdziwiona, że nie zamieniłyśmy się w dzikuski.

-Zawsze możemy upiec i zjeść Marię - prychnęła z rozbawieniem Erica, po czym dodała: - Żartuję, Mario. Anna odpłynęła myślami daleko i odprężyła się. Miała nadzieję, że jutro je znajdą. Tkwiły w lesie zaledwie półtorej doby, ale miała wrażenie, że trwa to znacznie dłużej. Usnęła, po czym obudziła się po kilku godzinach, złana potem. Miała sen, że zgubiła się w lesie. Adler wciąż żył i ścigał ją między drzewami. Wreszcie upadła i dogonił ją, wyłaniając się z cienia i brocząc krwią. Kiedy jednak przyjrzała się jego twarzy, zobaczyła, że to nie Adler, tylko pan Spate. Uśmiechnął się, pokazując zęby upstrzone plamami czerwieni.

Anna wstała i usiadła obok Eriki, która trzymała wartę. Kiedy ta poszła spać, Anna została sama i obserwowała wschód słońca widoczny zza drzew.

Rankiem wszystkie cztery były zmęczone. Pomimo wczesnej pory upał był nie do wytrzymania. Maria wstała, usiadła na kamieniu i zapatrzyła się między drzewa, pogrążona we własnych myślach. Erica położyła się na słońcu, a Stacey wykapała w stawie. Widok

kościstego i karłowatego ciała koleżanki napełnił Annę współczuciem: Stacey wyglądała, jakby nie wkroczyła jeszcze w okres dojrzewania.

Anna również wskoczyła do wody.

-Prawie nie zmrużyłam oka - powiedziała do Stacey. - Przez tę wyspę mam koszmary.

-Ja tak samo. Co ci się śniło?

-Adler. - Anna nie musiała nic dodawać, gdyż Stacey kiwnęła głową.

Pływały tam i z powrotem, tworząc fale, które docierały na drugi brzeg. Po kilku leniwych okrążeniach wyszły na brzeg i usiadły w plamie słońca padającego na skały, żeby wyschnąć.

-Zeszłej nocy słyszałam coś w lesie – powiedziała Stacey. - Może kolejna obozowiczka, albo inny zbłąkany wędrowiec. To brzmiało jak wołanie o pomoc. Słyszałaś coś?

-Nie.

-Dobiegało jakby z północnego zachodu, ale nie jestem pewna.

-Nic nie słyszałam. Pewnie wtedy spałam.

-Chcę sprawdzić, czy nikt nie kręci się w pobliżu.

Idziesz ze mną?

Anna zastanowiła się przez chwilę.

-Jasne. Ale nie chcę się zgubić.

-Nie odejdziemy daleko, słowo.

-Dobrze. - Anna odgarnęła do tyłu mokre włosy. -Myślisz, że dziś nas znajdą?

-Mam nadzieję. - Stacey wciągnęła podkoszulek.

-Chyba nie mają wyjścia, nie? To jakaś totalna bzdura. Jestem pewna, że nasi rodzice wariują ze strachu.

-O ile w ogóle wiedzą, co się stało.

-A nie? Władze obozu musiały ich powiadomić.

-Po prostu wydaje mi się dziwne, że nie słyszałyśmy więcej helikopterów.

-Może szukają nas na piechotę.

-Może.

Niepewność Stacey wprawiła Annę w przygnębienie. Nie wierzyła, że gdzie indziej życie toczy się dalej, jak gdyby nigdy nic. Był poniedziałkowy ranek i pan Spate pewnie przygotowywał się do zajęć. Przypomniała sobie jego szary sweter, brązowe buty i okulary w druczianych oprawkach, które bez przerwy zsuwały mu się z nosa. Gdzie ona miała oczy, żeby zwrócić uwagę na kogoś takiego?

Uznała to za pozbawione znaczenia. Wyspa zdawała się odległa od ludzi pokroju pana Spate'a, obojętna na upływ czasu. Stanowiła międzystrefę, gdzie zegar przestawał się liczyć, a



przeszłość ustępowała na rzecz wiecznej teraźniejszości. Zdaniem Anny upał, robactwo oraz bezkresny obszar lasu doskonale odzwierciedlały świat u zarania dziejów albo krajobraz po jakiejś apokaliptycznej klęsce, kiedy istoty ludzkie uległy zagładzie. Było to oszałamiające, a zarazem straszne.

Po późnym śniadaniu, złożonym z kokosów oraz ostatnich batonów energetycznych, Anna i Stacey wyruszyły do lasu, pozostawiając Erice i Marię nad stawem. Uszły zaledwie kawałek, gdy Anna usłyszała szelest i znieruchomiała.

-Co to było? - spytała. Przyszło jej na myśl, że może popełniła błąd, towarzysząc Stacey. Nad stawem przynajmniej byłaby bezpieczna.

-Nie wiem. - Stacey przystanęła, opuszczając rękę z notesem.

Stały nieruchomo, w całkowitym milczeniu. Szelest nie powtórzył się więcej.

-Na pewno jakieś zwierzę - powiedziała Stacey bez przekonania. - Wszystko w porządku. - Ruszyły przed siebie, nieco wolniej niż dotychczas. - Podejrzewam, że żyją tu dziki. I flamingi. Według jednego z przewodników na Andros roi się od flamingów, choć dotąd nie widziałam ani jednego.

-Ja też nie. - Anna odpędziła komara. - Przynajmniej nie mogą narzekać na brak insektów, ot co. Gdy wrócę do Atlanty, chyba nie wystawię więcej nosa za drzwi.

-Mogę ci zadać pytanie?

-Jasne.

-Osobiste pytanie.

-Nie ma sprawy. Najwyżej nie odpowiem.

-Dlaczego cię tu wystali? Miałam rację co do chłopców? Nie chciałam się wymądrzać, po prostu wydajesz się inna od pozostałych dziewcząt.

Anna odczuła pokusę, by opowiedzieć o wszystkim Stacey i wyznać jej całą prawdę, łącznie z częścią dotyczącą pana Spate'a. Chętnie poznałaby jej zdanie. Mimo to zrezygnowała. Nigdy nikomu o tym nie opowiadała. Przy Stacey czuła się swobodnie, jednakże zbyt dobrze znała dziewczęcą naturę, by zaufać jej bezgranicznie, zwłaszcza w tak delikatnej sprawie.

-Wolę nie wdawać się w szczegóły - odparła ostrożnie. - Ale prawda wygląda tak, że nie pilnowałam się i zaszłam w ciążę. Ojciec zmusił mnie do aborcji. Potem wszystko mi się pomieszało. Zaczęłam ostro balować, pić, sięgnęłam po narkotyki. Wreszcie ojciec nie wytrzymał. Myślę, że po prostu chciał się mnie pozbyć. Stacey kiwnęła głową.

-Tak podejrzewałam. Nie wiem, skąd mi to przyszło do głowy. Mam nadzieję, że nie wzięłaś mi za złe tego pytania. Czasami palnę coś bez zastanowienia i potem wszyscy mówią, że jestem niewychowana. To pewnie jakaś skaza. Ciekawią mnie różne rzeczy.

-W porządku.

Szły przed siebie, rozglądając się uważnie.

-Anno?

-Tak?

-Mogę cię jeszcze o coś spytać?

-Pewnie. -Anna przygotowała się na kolejne obcesowe pytanie, lecz Stacey znów ją zaskoczyła.

-Myślisz, że Adler nie żyje?

Po raz pierwszy ktoś otwarcie poruszył tę kwestię. Zdaniem Anny odpowiedź była oczywista.

-Widziałam, jak pada, nie mógł chwycić powietrza. Nic więcej nie pamiętam, bo usłyszałam kolejne strzały i rzuciłam się do ucieczki.

-Nigdy przedtem nie widziałam, jak ktoś umiera, a ty?

Anna potrząsnęła głową.

-Nie.

-Widziałam ciało dziadka w trumnie, ale to co innego. Zmarł na raka płuc, bo przez czterdzieści lat palił trzy paczki dziennie. Z Adlerem było zupełnie inaczej.

Anna nigdy wcześniej nie widziała zmarłego. Wszyscy jej dziadkowie jeszcze żyli, chociaż nie zostało im wiele czasu. Ojciec taty był smutnym staruszką, który całymi dniami siedział przed telewizorem i oglądał kanał z pogodą.

Myśląc o Adlerze, Anna czuła w środku lodowatą pustkę. Jak to możliwe, że ktoś w jednej chwili żyje sobie i gada w najlepsze, a w następnej pada martwy? Nawet taki drań jak Adler nie zasługiwał na tak potworną śmierć. Annie nie mieściło się to w głowie. W szkole, a nawet w kościele nie mówiło się o śmierci i nie umiała sobie z tym poradzić.

-Jak myślisz, kto go zastrzelił? - zapytała.

-Kto wie? Podobno stąd przerzuca się narkotyki na Florydę. Albo był to rzeczywiście kłusownik, chociaż nie mam pojęcia, na co polował.

-Ja też nie - odparła Anna. Rozmowa ponownie wzbudziła w niej niepokój. - To niezbyt bezpieczne miejsce na obóz.

-A wiesz, dlaczego stworzono go właśnie tutaj? - spytała Stacey. - Żeby uniknąć wysokich podatków w Stanach. Wiele tego rodzaju obozów mieści się poza granicami, ponieważ...

W jej słowa wdarł się zduszony jęk, który niewątpliwie pochodził z ust człowieka.

-Czekaj! - szepnęła Anna. - Słyszysz?

Stacey skinęła głową, nasłuchując.

-Dochodzi stamtąd, zza tamtego pnia. - Dziewczęta utkwily wzrok w wielkim, przegniłym pniu leżącym przed kępą namorzynów.

-Sprawdzimy? - spytała cicho Anna, licząc w duchu na odpowiedź przeczącą.

-Chyba nie mamy wyjścia.

-Jesteś pewna? Przecież nie wiemy co to.

-To może być ranny człowiek. Nie wolno go tak zostawić. Pamiętasz, jak cię znalazłam?

-A jeśli to pułapka? Albo kłusownik?

Dziewczęta stały, wsłuchane w dźwięk, który przeszedł w ciche zawodzenie.

-Nie możemy go zignorować - oświadczyła Stacey. Zbliżyła się do pnia o krok, a potem jeszcze jeden.

-Boję się - szepnęła Anna. Za nic nie chciała podejść do pnia. Przypominało to scenę z kiepskiego horroru, kiedy ofiara wchodzi po ciemnych schodach i otwiera drzwi garderoby. Wracajmy, chciała zawołać, lecz coś ją powstrzymało. Chyba zwariowałam, stwierdziła w duchu. Wzięła głęboki oddech i poszła za Stacey.

Wreszcie Stacey chwyciła kilka gałęzi wiszących nad zwałonym pniem i przesunęła je, odsłaniając mroczne zagłębienie. Anna dostrzegła skuloną postać, w której rozpoznała niebieskowłosą dziewczynę z obozu, której zaszkodziły melony. Była niemiłosiernie brudna i oblepiona liśćmi, miała twarz usmarowaną ziemią. Ubranie wisiało na niej w strzępach, a na jej czole i skroni widniały rozległe, purpurowe siniaki.

-Jest ranna!

Na dźwięk głosu Anny dziewczyna raptownie otworzyła oczy i podskoczyła. Zanim zdążyły zareagować, skoczyła w ich kierunku, sprawiając, że Stacey upadła, puszczając gałęzie, które smagnęły tamtą w twarz. Niebieskowłosą wypadła z jamy, dygocząc na całym ciele.

-Gdzie on jest? - wrzasnęła. Jej głos brzmiał ochryple, jakby od wielu dni posługiwała się tylko krzykiem. Spojrzała na Annę ze strachem i nienawiścią. - Jest blisko! Bliżej, niż myślicie! Musimy uciekać!

-Wszystko w porządku - odparła Anna, próbując uspokoić dziewczynę, której niebieskie włosy były prawie czarne od błota. Doszła do wniosku, że napięcie ostatnich dni doprowadziło tamtą do obłędu.

Niebieskowłosą przenosiła wzrok z Anny na Stacey i z powrotem. Miała wytrzeszczone oczy zaszczutego zwierzęcia gotowego do natychmiastowego ataku.

-Zginiecie! - zawołała. - Naprawdę chcecie umrzeć? Ściga nas i nie spocznie, dopóki nie zginę ja, wy, my wszyscy. - Wbiła paznokcie w twarz. - Boże!

-Kto nas ściga? - dopytywała się Stacey. - Uspokój się!

-Mężczyzna z bronią! Nie słyszałyście? Nie widziałyście, co zrobił z Adlerem?

Anna poczuła, jak mimo upału krew ścina jej się w żyłach. Nie uległo wątpliwości, że niebieskowłosa zwariowała, niemniej jednak mówiła rzeczy, których Anna bała się usłyszeć.

-Widziałaś go? - spytała Stacey. Napięcie w jej głosie nie uszło uwagi Anny. - Jak wygląda? Gdzie teraz jest?

-Widzę go cały czas, nie rozumiecie? - Dziewczyna przymknęła oczy. - Idzie za mną, dokądkolwiek pójde. Tropi mnie jak zwierzynę. Czasami chcę, żeby z tym skończył i od razu wpakował mi kulkę w łeb. Nie spałam i nie jadłam od kilku dni. - Jej głos przeszedł w jęk. - Biegam w kółko, czekając, aż mnie zastrzeli!

Stacey wpadła jej w słowo.

-Wróć z nami. Obozujemy nad stawem, razem z Marią i Ericą. Tam nic nam nie grozi.

-Nie pójde z wami - odparła tamta - bo obie zginiecie. Ja nie chcę umrzeć, dlatego będę biegać, aż opadnę z sił. Dopóki biegam, jestem bezpieczna, to zasada numer jeden.

-Pomożemy ci - powiedziała Anna. Wiedziała, że jej słowa na niewiele się zdadzą. - Tylko spokojnie.

-Nikt nie może mi pomóc. - Dziewczyna zacisnęła pięści.

-Proszę - dorzuciła Stacey.

-Jesteście zbyt głupie, żeby ratować własne życie. A teraz z drogi, bo popamiętacie. - Mówiła z niezachwianą pewnością; Anna popatrzyła na Stacey bezradnie.

-Odbiło ci - stwierdziła Stacey. - Chodź z nami, to będziesz bezpieczna. Nie rozumiesz, że lepiej trzymać się razem?

-Nie słyszę cię - odparła tamta. Minęła je i ruszyła niezadarnym truchtem. - Jesteście martwe! Anna patrzyła, jak niebieskowłosa znika między drzewami.

-Przynajmniej próbowaliśmy - mruknęła Stacey, kiedy tamta się oddaliła.

Anna czuła, jakby ktoś uderzył ją pięścią w żołądek. -I co z nią będzie?

-Myślisz, że naprawdę kogoś widziała? I że ktoś nas ściga?

-Sama nie wiem.

-Wyglądała jak obłąkana, nie?

-No.

-To co robimy? - Anna potarła ramiona, próbując pozbyć się gęsiej skórki. - Mówiła prawdę? Stacey zastanowiła się przez chwilę.

-Nie sądzę. Wiemy, że ktoś zastrzelił Adlera, jednak wątpię, żeby na nas polował. Lindsay utraciła kontakt z rzeczywistością, najprawdopodobniej w wyniku szoku.

-Mam nadzieję, bo inaczej z nami krucho. - Anna stłumiła narastającą panikę, lecz nie zdołała do końca opanować głosu.

-Pozostaje nam trzymać się razem i mieć nadzieję na rychłą pomoc. Nerwy niewiele tu pomogą.

-Wiem. - Anna zdławiła lęk. - Chyba powinniśmy wrócić i opowiedzieć o wszystkim Ericie i Marii.

-Zgoda.

-Mam porządnego cykora, Stacey. Wyjdziemy z tego, nie?

Stacey kiwnęła głową.

-Jasne, że tak.

Wróciły tą samą drogą. Anna wiedziała, że gdyby nie bezbłędna orientacja Stacey, w życiu nie trafiłaby z powrotem nad staw. Była niespokojna, słowa niebieskowłosej dudniły jej w głowie. Jeszcze wczoraj odrzuciła prawdopodobieństwo ponownego spotkania ze snajperem. Jednak wiedziała, że po świecie chodzi mnóstwo złych ludzi, którzy robią straszne rzeczy dla samej przyjemności. Zresztą na Andros wszystko było możliwe.

Kiedy wróciły do obozowiska, czekała je kolejna niespodzianka. Dostrzegając znajomy zarys skał, Anna usłyszała echo obcych głosów niosące się po lesie.

- Znaleźli nas! - krzyknęła z radością. Słyszała głosy i śmiechy, optymistyczne dźwięki niosące obietnicę ucieczki z wyspy. Przyspieszyły kroku i wypadły z za drzew, chcąc jak najszybciej ujrzeć twarze wybawców.

# S

## INTRUZI

Anna doznała podwójnego szoku i poczuła się, jakby postawiono ją na skraju przepaści. Po pierwsze dlatego, że zamiast oczekiwanych wybawców ujrzała grupkę dziewcząt siedzących na skałach. Po drugie zaś centralne miejsce wśród nich zajmowała Kara. Anna sama nie była pewna, dlaczego tak bardzo ją to poruszyło.

-Są - powiedziała z uśmiechem Erica, kiedy koleżanki stanęły na skraju wody. - Patrzcie, kto przyszedł, kiedy was nie było.

-Cześć - powiedziała Kara, jakby witała Annę i Stacey na własnym terenie.

Czy nie powinno być na odwrót, pomyślała Anna. Zapadła chwila krępującego milczenia, podczas której dziewczęta mierzyły się wzrokiem.

-Stacey i... hm, Ann? - rzuciła Kara.

-Anna.

-No tak. - Kara świdrowała ją pogardliwym spojrzeniem niebieskich oczu. - Nasza spóźnialska. Niedoszła uciekinierka. - Wskazała na swoje dwie towarzyszki. - Laura i Alice. - Dziewczęta przywitały się chórem. Anna znała je z widzenia, lecz nie miała dotąd okazji zamienić z nimi ani słowa. Wyglądały na młodsze, dwunasto, trzynastolatki, lecz ich złośliwe twarze nie zachęcały do bliższego poznania.

Laura była właścicielką perfekcyjnie zadartego nosa nie pasującego do reszty twarzy. Anna stwierdziła, że musiał być wynikiem interwencji chirurgicznej, na dodatek niezbyt udanej. Dziewczyna miała też stale wytrzeszczone oczy, co nadawało wyraz permanentnego zdziwienia jej okolonemu brudnymi blond włosami obliczu.

Po drugiej stronie Kary siedziała Alice. Wyglądała na głupawą i ordynarną. Miała rozczochrane, brązowe loki, które zasłaniały oczy, upodabniając ją do cocker spaniela.

Anna i Stacey usiadły na kamieniach.

-Cieszę się, że nas znalazłyście - powiedziała Stacey, choć zdaniem Anny jej głos wyraźnie temu przeczył. Dziewczęta o wyglądzie Stacey zazwyczaj nie znajdowały wspólnego języka z dziewczętami w rodzaju Kary. - Spotkałyśmy w lesie Lindsay, ale uciekła.

Kara przewróciła oczami.

-To wariatka. - Laura i Alice zachichotały jednocześnie. - Siedziałam obok niej na pierwszym spotkaniu. Mówiła, że daje sobie w żyłę.

-Nic wam nie jest? - spytała Stacey.

-Nie, ale mamy wszystkiego dosyć. Łaziłyśmy cały dzień, podczas gdy wy siedziałyście nad wodą i zbijałyście bąki.

Anna odkryła, że przybycie Kary i jej towarzyszek zakłóciło dotychczasową dynamikę grupy. Czowała się nieswojo, lecz wiedziała, że musi zabrać głos.

-Wiecie coś o wydarzeniach ze szlaku? O tym, co się stało z Adlerem?

Kara przygwoździła ją nieruchomym spojrzeniem.

-Co masz na myśli?

Pytanie miało jedynie zbić ją z tropu. Anna wiedziała, że Kara rozumiała ją doskonale. Kara odrzuciła do tyłu włosy.

-Adler dostał kulkę, nie? - Alice i Laura znów zachichotały. - Może ktoś przez przypadek wziął go za świnię. Nietrudno się pomylić. Bałaś się? Dam głowę, że Stacey tak.

Stacey zignorowała przytyk.

-Lindsay mówiła, że widziała mężczyznę z bronią.

Podobno chce ją zabić.

Laura wzruszyła ramionami.

-Przecież Kara mówiła, że Lindsay bierze prochy. - Jej piskliwy głos nadawał każdemu zdaniu irytujące brzmienie.

-Widziałyście kogoś po drodze? - spytała Stacey, zwracając się do Kary.

-Nie. Szliśmy przed siebie, próbując znaleźć wyjście z tego głupiego lasu.

-Kara ma pomysł, jak nas stąd wyciągnąć - wtrąciła z przejęciem Erica. - Nie miałaś racji, Stacey. Kara twierdzi, że jeśli tu zostaniemy, będzie po nas, bo wyspa jest za duża, żeby ją całą przeszukać. Musimy iść na wschód, tak jak mówiłam wczoraj. - Wskazała ręką kierunek.

- W stronę ludzkich osad.

Stacey zmarszczyła brwi.

-To nie jest wschód. Poza tym możemy się znajdować trzydzieści mil od wybrzeża. Damy radę przejść trzydzieści mil? A woda? Tu mamy jej pod dostatkiem, a na Andros podobne oczka wodne są rzadkością. Możemy gdzieś utknąć bez wody i co wtedy?

Kara uśmiechnęła się słodko.

-Musisz mi zaufać, tak jak pozostałe. Nikt nie chce siedzieć tu i czekać. Można umrzeć z nudów. - Następnie dodała ni w pięć, ni w dziewięć: - Poza tym mam piętnaście lat. Jestem najstarsza.

-Uważam, że dalsza wędrówka to głupi pomysł - odparła Stacey, zdecydowana wytrwać przy swoim. - Im dalej zabniemy, tym trudniej będzie nas znaleźć.

Kara popatrzyła na Annę.

-Co o tym sądzisz, Ann?

Anna nie wiedziała, gdyż do tej pory to Stacey podejmowała za nią większość decyzji.

-Po pierwsze mam na imię Anna, a po drugie moim zdaniem to Stacey ma rację. Tu jesteśmy najbezpieczniejsze.

-Ale jeśli dotrzemy na wybrzeże, szybciej wrócimy do domu - argumentowała Erica. - To bez sensu siedzieć beczynnie w jednym miejscu. Kara uważa, że pewnie jesteśmy zaledwie kilka mil od jakiejś osady.

Stacey spojrzała na nią nieustępliwie.

-A na czym opiera to przekonanie? Na ślepej nadziei? Bo na pewno nie na logicznych przesłankach. Znajdujemy się co najmniej dwadzieścia mil od wybrzeża. Co najmniej. Sprawdzalam na mapie w jadalni, dlatego wiem.

-Słuchajcie, potrzebujemy kogoś, kto będzie podejmował decyzje - oświadczyła Kara. - W życiu niczego nie ustalimy, jeśli ktoś nie przejmie dowództwa, zwłaszcza że teraz jest nas siedem. No, powiedzmy sześć i Maria. - Alice i Laura zarechotały unisono. - Istnieje zbyt dużo rozbieżnych opinii. To nas do niczego nie doprowadzi.

-Nie jesteśmy zgrają chłopaków - odparowała Stacey. - Nie potrzebujemy kapitana, który będzie nami komenderował. Miałyśmy to w Archstone i same widzicie, co z tego wyszło.

Śmieszne, pomyślała Anna, że w środku lasu, z dala od nadzoru dorosłych debatowały nad koniecznością wybrania przywódcy. Zirykowało ją, że Erica trzyma z nowo przybyłymi, ale uroda Kary najwyraźniej zamąciła jej w głowie.

-Ostatecznie mamy demokrację - wtrąciła, próbując rozładować napięcie. - Możemy zagłosować, czy chcemy zostać, czy wolimy iść dalej.



-Niech będzie - podchwyciła z udawanym entuzjazmem Kara. - Moim zdaniem to świetny pomysł. Głosujmy. Proponuję, żebyśmy odpoczęły tu dzisiaj, a jutro z samego rana ruszyły w stronę wybrzeża. Kto jest ze mną?

-Ja - powiedziała Alice. - I ja - dodała Laura. Kara skinęła głową.

-Ekstra. Anna?

Anna poczuła się rozdarta pomiędzy pragnieniem odpoczynku a chęcią przyłączenia się do grupy dominującej. Tylko raz słyszały helikopter, co znaczyło, że prawdopodobnie szukano ich nie tam, gdzie trzeba. Uświadomiła sobie, że wszyscy na nią patrzą.

-Nie wiem. Czy mogę się wstrzymać?

-Sama chciałaś głosować.

-Wiem, ale jeszcze nie podjęłam decyzji. Muszę to przemyśleć. - Chciała poprzeć Stacey, którą zaczynała uważać za kogoś w rodzaju przyjaciółki, a jednocześnie pragnęła maksymalnie zwiększyć szansę powrotu do domu. W lesie wszystko wydawało się jednakowe, co wpływało na nią przygnębiająco. - Dajcie mi chwilę.

-Jasne, jasne, nie spiesz się. Mamy kupę czasu. -Głos Kary wprawdzie ociekał słodyczą, lecz brzmiał bardzo protekcyjnie.

Arogantka, pomyślała Anna, nie dając nic po sobie poznać. Wyczuwała, że lepiej nie mieć wroga w osobie Kary.

-A Maria? - spytała Kara, zaglądając Marii w oczy.

- Mario, wolisz tu zostać i mieszkać na drzewie jak małpa, czy chcesz dotrzeć do wybrzeża i jak najszybciej wrócić do domu?

Brak odpowiedzi.

-To debilka - zachichotała Alice.

-Chyba słyszy, nie? - spytała Kara, zwracając się do Stacey.

-Słyszy. Po prostu cię nie lubi.

Jakby na potwierdzenie słów Stacey, Maria zerwała się z miejsca, po czym strzepnęła piasek z pomarańczowych spodni i odeszła.

-Debilka - powtórzyła Alice, jakby odkryła najzabawniejsze słowo na świecie.

Kara popatrzyła na Erice.

-A ty? Co chcesz zrobić? Idziesz na wschód, prawda?

-Pytanie! Adler mówił, że tam mieszkają ludzie. Jestem gotowa do wymarszu.

-Zatem postanowione. Cztery głosy za odejściem, łącznie z moim. Wyruszamy jutro o brzasku.

-Kto powiedział, że musimy trzymać się razem? -zapytała Stacey. - Nie podejmij decyzji za mnie i za Annę.

-Jak sobie chcecie - odparła Kara. - Możecie tu zostać z Marią i stosem kokosów. Co mnie to obchodzi?

-Zostaniemy. I podczas gdy wy będziecie błądzić po lesie, odnajdą nas i zabiorą do Ameryki. Im dalej pójdziecie w poszukiwaniu wybrzeża, tym bardziej się zgubicie. A my będziemy bezpieczne.

-Nie powiedziałam, że zostaję - rzuciła nagle Anna, zła, że ktoś podejmuje za nią decyzję.

Stacey spojrzała na nią krzywo.

-Popelniasz wielki błąd.

-Nie bądź dziecinna, Stacey - pouczyła Kara, przybierając ton skrzywdzonego rodzica. - Niech Anna myśli za siebie.

-Stacey, przyznaj, że po prostu jesteś tchórzem -wyskoczyła Alice, jakby czekała na odpowiednią chwilę, żeby zaatakować.

-Ale przynajmniej mój iloraz inteligencji wynosi więcej niż pięćdziesiąt.

-Wobec tego co tu robisz, skoro jesteś taka mądra? Tkwisz tutaj tak samo jak my, więc się wypchaj.

-Dziewczęta! - zawołała Kara z dramatycznym westchnieniem. - Posłuchajcie. Kto chce zostać, niech zostanie. Stacey ma rację. Nie jesteśmy zgrają chłopaków, żeby bawić się w wojsko. Laura, Alice, Erica i ja wyruszamy jutro rano. Wiem, że od wybrzeża dzieli nas tylko dzień drogi. Jeśli chcecie, zaprowadzę was tam, wyjdziemy z tej parszywej dżungli i wrócimy do cywilizacji. Anno, jeśli postanowisz pójść z nami, proszę bardzo. Tak samo ty, Stacey.

-Wielkie dzięki - odparła sarkastycznie.

-Przez noc odpoczniemy i przygotujemy plecaki. Założę się, że jutro będziemy bezpieczne. - Kara rozprostowała długie nogi. - Hej Alice, napełnij mi manierkę? Od tej gadki zaschło mi w gardle.

-Pewnie - odpowiedziała Alice, ochotczo spełniając prośbę.

Anna nie była pewna, dlaczego Kara posiadała taką władzę nad Laurą i Alice. Nie chodziło tylko o wiek. Może o wygląd, ale to nie powinno się liczyć w sercu dżungli, z dala od chłopców. Anna złożyła to na karb dominującej postawy Kary, siły jej osobowości. Zupełnie jakby tworzyła coś w rodzaju grawitacji. Anna wiedziała, że dziewczęta pokroju Kary zwiastowały kłopoty: przy braku rozwagi człowiek wpadał w ich orbitę i nim się obejrzał, jego życie obracało się wokół nich.

-Czy można bezpiecznie pływać w tym jeziorze? -spytała Kara, zwracając się do Stacey.

-To nie jezioro, tylko leśny staw. Ten rodzaj występuje tylko na Andros.

-Wszystko jedno. Muszę się wykapać.

Kara wstała, po czym ściągnęła pomarańczowy T-shirt, ukazując biały stanik i nienagannie opalone ciało. Rozpiąwszy stanik, rzuciła go na pobliski kamień. Urzeczona niezachwianą pewnością siebie dziewczyny Anna mimo woli zapatrzyła się na nią.

Kara zdjęła spodnie.

-Jest coś niesamowitego w dotyku wody na nagiej skórze, no nie? - Zupełnie jakby brała udział w castingu. - Wskakujecie? - Zsunęła majtki i ułożywszy je ostrożnie na skale weszła do wody.

Anna była rozdarta pomiędzy zazdrością a nienawiścią do dziewcząt, które wyglądały i zachowywały się tak jak Kara. Skąd czerpały tę pewność siebie? Przychodziły z nią na świat? A może nabywały po drodze?

-Ciepła! - zawołała Kara. Alice, Laura i Erica rozebrały się do bielizny i poszły w jej ślady.

Stacey popatrzyła na Annę bezradnie. Naruszono ich terytorium.

-Mam nadzieję, że zdecydujesz się zostać, Anno - powiedziała cicho. - One zabłądzą w tym lesie.

Anna westchnęła.

-Jeszcze nie wiem, ale chyba powinniśmy pójść z nimi. Nic nie wskazuje na to, że ktoś nas szuka. Poza tym nie wiem, jak długo wytrzymam na diecie złożonej tylko z kokosów i jakichś tam jagód.

-Przecież chcesz, żeby nas odnaleziono?

-Jasne, że chcę - odparła z irytacją Anna. - Nienawidzę tej pieprzonej wyspy. - Na dodatek ciągła obecność dziewcząt zaczyna być męcząca, dorzuciła w duchu. Za dużo gadały i przyczepiały się do wszystkiego.

Stacey wstała.

-Wracam do tamtego drzewa nazbierać trochę owoców. Idziesz ze mną?

Anna potrząsnęła głową. Wiedziała, że Stacey chce po prostu znaleźć się jak najdalej od Kary.

-Chyba zostanę. Jestem zmęczona.

Stacey wzruszyła ramionami.

-Jak chcesz. - Chwyciwszy plecak, skierowała się w stronę lasu. Anna wiedziała, że Stacey ma do niej żal, ale nie umiała nic na to poradzić.

Po kilku minutach Kara wyszła ze stawu i nałożyła bieliznę. Ociekając wodą podeszła do Anny i usiadła obok niej na skale.

-Cześć, mała.

-Cześć. - Anna odgarnęła włosy z twarzy. Kara wprawiała ją w zakłopotanie.

-Po co łazisz z tą dziewczuchą? - spytała Kara. Anna wiedziała, że ma na myśli Stacey. Uderzyła ją absurdalność tego pytania.

-Nie łązę. Odnalazłyśmy się w lesie i po prostu trzymamy się razem.

-Zostaniesz z nią? To znaczy, z nią i Marią?

-Jeszcze nie podjęłam decyzji.

-Powinnaś pójść z nami. Dam głowę, że jeśli się zdecydujesz, Stacey i Maria zrobią to samo. Anna zastanawiała się, dlaczego wszyscy tak bardzo chcieli poznać jej zdanie. Czy ów nagły przejaw zainteresowania powinien jej schlebiać, czy też zaniepokoić jako próba manipulacji?

-A cóż to ma za znaczenie? - spytała. - Przecież i tak nas znajdą. Pewnie szuka nas ze sto osób.

Kara popatrzyła na baldachim z liści.

-Ale możemy robić, co chcemy, Anno. Nie wolisz wziąć sprawy w swoje ręce zamiast beczynnie trwonić czas przy stawie? A co będzie, jeśli poszukiwania potrwać kilka tygodni?

-Na pewno nie. - Myśl o dłuższym pobycie w dżungli była dla Anny nie do wytrzymania. - Nie odeszłyśmy daleko od obozu. Nie rozumiem, dlaczego to w ogóle trwa tak długo.

-No właśnie. Nie wiemy, ile to jeszcze zajmie. Dlatego musimy same poszukać rozwiązania.

-Być może.

Kara wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

-Przecież wiem, że uciekłaś w drodze do Archstone. Myślałam, że masz jaja.

Jaja, powtórzyła w myślach Anna. Dziewczęta nieczęsto używały tego określenia.

-Chciałabym wybrać najrozsądniejsze wyjście - powiedziała.

-Rozumiem. Nie, naprawdę. Mimo to chcę, żebyś przyłączyła się do nas. - Wskazała na pływające dziewczęta. - Alice i Laura są śmiertelnie nudne. To jeszcze dzieciaki, a Erica jest lesbą i na mnie leci, więc sytuacja jest trochę niezręczna. Jesteśmy najstarsze, przynajmniej tak mi się wydaje. Ile ty w ogóle masz lat?

-Czternaście.

-Pierwsza klasa gimnazjum? -Tak.

-Ja druga. Przynajmniej byłam w drugiej. Zatem to my powinnyśmy tu rządzić. - Na twarzy Kary pojawił się uśmiech. - Nie żebym była próżna, ale jesteśmy też najładniejsze. - Przerwał jej wrzask dobiegający od strony stawu. - Rozumiesz, co mam na myśli? Dzieci. Założę się, że to jeszcze dziewice.

-Pomocy! - krzyczała Laura. - Nie mogę oddychać! - Alice i Erica ochlapwały ją wodą. Laura chwyciła gałąź i próbowała wyjść ze stawu, lecz Alice zanurkowała, ściągając ją za nogi z powrotem do wody.

-Topię się! Przestańcie! - wrzasnęła Laura z nie-udawanym strachem w głosie. Nie zważając na prośby koleżanki, Alice i Erica dręczyły ją, pływając dokoła jak rekiny. Kara śledziła sytuację z szerokim uśmiechem na twarzy. Anna natychmiast rozpoznała ten uśmiech, gdyż widziała go już przedtem, kiedy Adler wywlekał z koszar kędzierzawą dziewczynę. Zrozumiała, że Kara lubi przemoc.

Wreszcie Laura wydostała się z wody i usiadła na brzegu. Jej płaska pierś falowała, oczy miała wytrzeszczone bardziej niż zwykle.

-Mało mnie nie utopiłyście!

-To tylko żarty - zawołała z wody Erica. - Co z ciebie za beksa.

-No właśnie! Laura, ty laluniu!

Laura podniosła się ze złością i weszła wyżej, jakby w obawie, że woda wystąpi z brzegów i ją pochłonie. Alice i Erica szeptem wymieniły uwagi na jej temat, zanosząc się od śmiechu.

Laura zignorowała je.

-Jestem głodna - oznajmiła Kara. Z chwilą gdy szarpanina dobiegła końca, straciła całe zainteresowanie sytuacją w wodzie. - Zjadłabym coś prawdziwego, na przykład sałatkę z tuńczyka i tarte.

Anna też była głodna, lecz miała ochotę na niezdrowe, kaloryczne jedzenie, którego tak starannie unikała w domu. Gdyby tak miała lody z wiórkami czekoladowymi, pomyślała. Od razu poczułabym się lepiej. Na kolano spadła jej kropla wody; dziewczyna uniosła głowę i spojrzała na skrawek nieba widoczny między gałęziami. Miało złowieszczą, szarozielonkawą barwę; drzewa zakołysały się na wietrze. Po chwili lunął deszcz.

Ulewa zamieniła się w potok i dziewczęta uciekły pod skalny występ, skąd obserwowały żywioł. Na zewnątrz pozostała tylko Maria, która siedziała na skale i mokła, przyjmując to z wyraźnym zadowoleniem. Anna martwiła się o Stacey. Miała nadzieję, że deszcz i pociemniałe niebo nie zakłócą orientacji dziewczyny.

-Co za granda - powiedziała Laura. - Nienawidzę burzy. - Nadal dąsała się z powodu zajścia w wodzie. Dziewczęta oparły się o śpiwory i plecaki, obserwując przemoczoną Marię.

-Czy ona jest nienormalna? - spytała Alice. - Kto tak przesiaduje na deszczu? I dlaczego nie mówi?

Kara uśmiechnęła się drwiąco.

-Może nie zna angielskiego, nie przyszło ci to do głowy?

-No, jak Valentina, służąca mojej mamy - wtrąciła Laura. - Mieszka w Stanach od piętnastu lat i wciąż nawija tylko po meksykańsku. Co za kretynka.

Sama jesteś kretynka, pomyślała Anna, lecz nie powiedziała tego głośno. Jeszcze nie mogła sobie pozwolić na lekceważenie wobec tych dziewcząt.

-Dziecko dżungli - powiedziała Alice pod adresem

Marii i wybuchnęła śmiechem. Anna patrzyła na gęstą płachtę deszczu, zastanawiając się nad ironią swego położenia. Tak bardzo chciała się wyrwać z obozu, a kiedy to nastąpiło, nie miała dokąd pójść. Rozmyślała o Stacey; miała nadzieję, że niedługo uda jej się wrócić. Stacey była jedyną dziewczyną z całej siódemki, do której Anna czuła jakąkolwiek sympatię. Pewnie dlatego, że w przeciwieństwie do pozostałych Stacey miała równo pod sufitem.

Nie upłynęło dużo czasu, kiedy wypatrywana koleżanka wybiegła zza drzew po lewej stronie i dołączyła do reszty. Przemokła do suchej nitki, włosy wisiały jej w mokrych strąkach, w drobnej twarzy świeciły ogromne oczy. Wyglądała na śmiertelnie przerażoną.

-Co jest, mała? - spytała lakonicznie Kara.

Stacey usiadła i oplótłszy ramionami kościste kolana, z trudem łapała oddech. Biegła ile sił w nogach i na jej spodniach widniały plamy błota.

-Widziałam go - wydusiła. - Mężczyznę. Tam, w lesie.

Zapadła cisza i dziewczęta wymieniły niespokojne spojrzenia. Stacey dygotała, ale nie z zimna.

-Rysowałam mapę - podjęła, gwałtownie wyrzucając słowa. - Właśnie miałam wracać do was. Chyba mnie nie widział.

-Coś ci się zdawało - oznajmiła głośno Kara. - Przestraszyłaś się burzy. - Bez skutku usiłowała nadać głosowi lekceważący ton.

Stacey wysunęła podbródek.

-Wiem, co widziałam. To był on.

-Czyli nikt - wtrąciła Erica. - Daj spokój, Stacey. Przestań nas straszyć.

-Wcale nie chcę was straszyć, po prostu mówię, co widziałam. Siedział na drzewie, odwrócony do mnie plecami. Zupełnie jakby coś obserwował.

-Może to Indianin? - podsunęła Alice. - Czy oni nie mieszkają na drzewach?

-Nie. Zresztą był biały.

-Może myśliwy.

-Właśnie. A jeśli to był myśliwy i mógł nas uratować? - podchwyciła Kara. - Pokpiłaś sprawę.

-A jeśli to był morderca Adlera? - Stacey odgarnęła z oczu mokre włosy. - Wyglądał dziwnie, jakby coś było z nim nie tak. Wolałam nie ryzykować.

-Może to zboczeniec - mruknęła Laura, blednąc jak ściana. - Może nas znajdzie i zgwałci.

-Chryste, odbiło ci? - zawołała ze złością Erica.

-Słuchajcie - powiedziała Kara. - Nie siejmy paniki. Dopóki ktoś tam siedzi na drzewie, nie możemy się stąd ruszyć. Stacey, jesteś pewna, że cię nie widział?

Kiwnęła głową.

-Raczej tak.

-Wobec tego zostajemy tu na noc, tak jak zaplanowałam. Zresztą i tak pada. Dla pewności będziemy trzymać wartę. Rano wyruszymy w stronę wybrzeża. Nic nam nie grozi, musicie tylko przestać się mazać i zachować spokój.

Anna nie czuła takiego strachu od nocy spędzonej samotnie w lesie. W puszczy czaił się nieznajomy mężczyzna. Deszcz zagłuszał wszelkie odgłosy; nie usłyszałyby, gdyby ktoś próbował się podkraść. Ogarnęła ją złość, że dała się w to wszystko wpakować. Mogła w porę przestać imprezować, ograniczyć picie i prochy... Ale przecież musiała jakoś uciszyć ból. Gdyby tylko ojciec nie był taki podły i nieugięty, na pewno znalazłoby się jakieś wyjście. Gdybym zginęła, miałby za swoje, pomyślała niewesoło. Wtedy dopiero byłoby mu przykro.

Usłyszała zduszony odgłos i zrozumiała, że Laura płacze.

-Przestań - wypluła Kara. - Masz dwanaście lat, a nie dwa.

-Zginiemy - załkała Laura, splatając ramiona. - Nigdy nas nie znajdą. Ja chcę do mamy.

-Nie możemy tracić głowy - odparła Kara.

-Wszystkie się boimy - dodała Stacey.

-Przypuśćmy, że tam naprawdę ktoś jest - rzuciła Erica. - Co zrobimy, jeśli nas znajdzie? Potrzebny nam plan.

-Tu jesteśmy bezpieczne - powiedziała Anna, chcąc zagłuszyć lęk. Nie wierzyła we własne słowa. -Pada i pełno tu skał. Nie zauważy nas. Zobaczymy go pierwsze i zdążymy uciec.

-No - dorzuciła Alice.

-Przed kulą nie uciekniesz - odparła Laura, wycierając oczy rękawem. Nikt nie odpowiedział. Naraz Anna uświadomiła sobie, że o kimś zapomniały.

-Hej, a gdzie jest Maria? - zapytała. - Nie widzę jej. - Dziewczęta wyjrzały na zewnątrz, ale po Marii nie było śladu.

-Przed chwilą tam siedziała - stwierdziła ze zdumieniem Erica. - Na tamtym kamieniu.

-Nie ma jej.

-Cholera.

-Na pewno nic jej nie jest - oświadczyła Kara. -Nie panikujmy. Tak jak Alice powiedziała, pewnie czuje się w dżungli jak w domu. Poszła zrobić siku albo nazbierać kokosów.

-A jeśli coś jej się stało? - spytała drżącym głosem Laura. - A jeśli ją schwytał?

-Marudzisz - burknęła Kara.

-A jeśli obserwuje nas z ukrycia? - ciągnęła Laura, puszczając jej uwagę mimo uszu. - I czeka na odpowiedni moment, żeby wyłapać nas, jedną po drugiej? Albo jeśli...

-Jeśli, jeśli - powtórzyła szyderczo Alice. Siedziała tuż za Laurą i kopnęła ją z całej siły w plecy, co sprawiło, że dziewczyna rozszlochała się jeszcze bardziej.

-Histeryzujesz, Laura - stwierdziła Kara. - Nie możemy postępować jak zgraja głupich małaolat, które trzęsą portkami i boją się własnego cienia. Jeśli nie przestaniesz, wyjdiesz i postoisz sama na deszczu.

-Nie wyjdę! Nie zmusicie mnie!

-Ależ zmusimy - odparła Alice. - Dlatego lepiej się przymknij.

Laura nie umilkła całkowicie, jednak ściszyła głos i tylko pochlipywała. Anna odczuła pewną ulgą wyjrzała na, zewnątrz, lecz Maria przepada ja: kamień w wodę. Annie doskwierało jej zniknięcie ale nie miała zamiaru nikogo szukać w takiej ulewie. Złowieszcze słowa Laury dźwięczały jej w głowie. Po co ktoś chciałby je skrzywdzić? Wolałaby wiedzieć, co tu chodzi, gdyż rola biernej i bezradnej ofiary zupełnie jej nie odpowiadała. Zarówno ojciec, jak i pan Spate, żerowali na tych skłonnościach i Anna miała tego powyżej uszu. Tamci siedzieli bezpiecznie w domu, podczas gdy ona tkwiła w głuszy, zdana na łaskę szalonego snajpera.

Dziewczęta spędziły resztę deszczowego dnia w skalnej kryjówce. Maria nie dawała znaku życia podobnie jak mężczyzna z bronią. Zapadła noc nie przynosząc kresu ulewy. Rankiem las był mroczny ponury, zupełnie jakby słońce postanowiło w ogóle nie wstawać. Anna prawie nie zmrużyła oka, bolał ją kark i plecy. Wszystko przesiąkło wilgocią, jej ubrani, śpiwór, a nawet skóra. Zadrapania na twarzy i ciele Anny nie miały zamiaru się zagoić i pofałdowały się na brzegach. Anna ze zgrozą myślała o możliwej infekcji oraz bliznach. W życiu nie czuła się tak podle. Z głodu łapały ją skurcze żołądka, jakby ktoś dźgał tai nożem; miała paskudny smak w ustach. Śmierdziała; wiedziała też, że czuć jej z ust. Za połamanymi paznokciami widniała czarna obwódka brudu.

Siedziały pod skałami w niewesołych nastrojach, obserwując deszcz. Nikt nie wspominał o Marii. Anna zauważyła, że jedynie Kara wygląda nienagannie i świeżo, tak jakby funkcjonowała w innym wszechświecie. Typowe, pomyślała. Może Kara rzeczywiście pochodzi z obcej planety. I na pewno nie zawdzięczała świetnej figury żadnym specjalnym zabiegom

- Naturalnie idziesz z nami? - spytała Ann. - Jak tylko przestanie padać, wyruszamy na wschód



Anna kiwnęła głową.

-Pójdę z wami. - Odkąd Stacey zobaczyła nieznajomego, wszystko uległo zmianie i Anna ostatecznie odstąpiła od zamiaru pozostania przy stawie.

-A ty, Stacey? - zapytała Kara.

-A jeżeli Maria wróci? Czy nie powinniśmy na nią zaczekać?

-A jeżeli nie wróci? Kto wie, dokąd poszła? Nie możemy zostać ze względu na nią.

Stacey zastanowiła się przez chwilę.

-Cóż, na pewno nie zostanę tutaj sama – odrzekła wreszcie. -To nie miałyby sensu. Pójdę z wami, choć ze statystycznego punktu widzenia najlepszym wyjściem byłoby pozostać. Mamy schronienie i wodę. Poza tym nie zanoszę się na łatwą wyprawę.

Anna rozumiała kapitulację koleżanki. Sama nie zostałaby tu za żadne skarby, nawet jeśli istotnie było to rozsądne wyjście. Deszcz i groźba pojawienia się nieznajomego sprawiły, że zniechęciła się do staw i jego otoczenie. W obliczu grożącego im niebezpieczeństwa idylliczna sceneria wydawała się rażąco nie na miejscu. Kara miała rację. Jeśli rzeczywiście ktoś ich szukał, robił to nie tam, gdzie trzeba.

-Do wieczora na bank będziemy w domu - oznajmiła Kara. - Najpóźniej jutro rano.

-Obyś miała rację - odrzekła Stacey, choć jej ton świadczył, że wcale w to nie wierzy.

Kiedy wreszcie deszcz zelżał, przechodząc w mżawkę, dziewczęta napełniły manierki, spakowały plecaki i zrolowały śpiwory. Pozostawiwszy za sobą staw, ruszyły przez labirynt drzew, kierując się na wschód. Anna była przekonana, że zmierzają w dobrym kierunku, choć polegała w tym względzie na opinii Stacey i Kary.

Boże, mam nadzieję, że wkrótce się stąd wydostaniemy, pomyślała. Wiedziała, że mogą błądzić po lesie jeszcze co najmniej kilka dni. Zastanawiała się, czy pozostałe dziewczęta również się denerwują. Kara nie dawała nic po sobie poznać.

- Musimy trzymać tempo - zawołała. Jej słowa zabrzmiały jak echo komendy panny Richards. Jednak gęsta plątanina drzew i zarośli nie pozwalała poruszać się zbyt szybko.

Posuwały się wolno przez kilka godzin. Deszcz znowu lunął i dziewczęta niebawem zaczęły ociekać wodą. Nie pozostawało im nic innego, jak kontynuować wędrówkę. Anna brnęła przed siebie i marzyła o jedzeniu, pełna nadziei, że wkrótce ktoś je odnajdzie.

## 6

# JASKINIE

Wreszcie marsz został przerwany i dziewczęta zbiły się w gromadkę, chroniąc przed ulewą. Deszcz zaciął z ukosa, w lesie panował mrok jak o zmierzchu. Drzewa falowały na wietrze, szczerze sypiąc liśćmi.

-Musimy się gdzieś schować! - wrzasnęła Erica, obwieszczając rzecz oczywistą. Huknął grzmot i dziewczęta nerwowo uniosły głowy.

-Chcę wracać nad staw - jęknęła Laura. - Już nie mogę, mam dosyć tego deszczu i lasu. - Zadrżał jej głos.

Alice szyderczo wyszczerzyła zęby.

-Dzidzia się boi?

-Nie.

-Kłamczucha.

-Przestańcie! - rozkazała Kara. - Musimy coś postanowić.

-Właśnie, dajcie spokój - poparła ją Erica, lecz Alice nie dawała za wygraną.

-Znowu zaczniesz beczeć? - zaatakowała Laurę. -Bojący dudek, bojący dudek.

Twarz Laury przeciął grymas.

-Dlaczego tak mi dokuczasz? - Strzepnęła krople padające na jej nieskazitelny nos. - Odczep się wreszcie! Pewnie, że się boję!

-Mięczak z ciebie.

-A z ciebie świnią!

-Musimy się wspierać... - zaczęła Stacey, wówczas jednak Alice podeszła bliżej i z całej siły popchnęła Laurę, która runęła w błoto.

-Kretynka - oznajmiła Alice. Dziewczęta spojrzały na nią bez słowa. Wytarła oczy i splunęła.

- No co?

-Dlaczego to zrobiłaś? - zapytała Stacey, przekrzykując deszcz. - Laura w niczym ci nie zawiniła.

-Bo miałam ochotę.

Laura nawet nie próbowała wstać. Płacząc, leżała wśród liści i połamanych gałęzi. Deszcz rozmazywał jej brud na twarzy.

-Pęka - zauważyła Erica. - Alice, to było niepotrzebne.

-Beksa. Mięczak, sama sobie zasłużyła. Niech się cieszy, że nie dostała w gębę, kretynka.

Laura wciąż płakała. Łzy lały się spod jej zaciśniętych powiek.

-Laura - powiedziała Kara. -Wstawaj. Musimy znaleźć jakieś schronienie. Jestem cała mokra.

Laura nie odpowiedziała. Stacey uklękła obok niej.

-Głowa do góry, Laura. Wyjdziemy z tego. Alice nie chciała, po prostu też się boi.

-Nieprawda! - wrzasnęła Alice. - Wcale się nie boję!

Laura ucichła, lecz w dalszym ciągu nie otwierała oczu. Anna odniosła wrażenie, że dziewczyna załamała się nerwowo, podobnie jak wcześniej niebieskowłosa. Pomimo współczucia czuła narastającą frustrację, ponieważ lało jak z cebra i mokry stanik boleśnie ocierał jej skórę.

-Idziemy - mruknęła.

Laura otworzyła oczy i popatrzyła na koleżanki.

-Nie pójdę. - W huku ulewy jej słowa zabrzmiały prawie niedosłyszalnie.

-Co mówisz?

-Dłużej nie dam rady. Kara westchnęła.

-Dlaczego ją popchnęłaś? - spytała, zwracając się do Alice. - Zobacz, co narobiłaś. - Alice nie odpowiedziała. Kara była jedyną dziewczyną, która najwyraźniej budziła jej respekt.

-Musimy iść! - zawołała do Laury Erica. - Szybciej dotrzemy do wybrzeża i wszystko dobrze się skończy. Nie możesz się teraz poddać.

Laura przyjęła argumenty Eriki z bladym uśmiechem.

-Wiecie co? - powiedziała. - Dziś dostałam okres. Trzeci w życiu. Pobrudziłam spodnie, ale nie chciałam nic mówić. Napchałam sobie papieru toaletowego.

Alice zachichotała jako jedyna. Nawet Stacey nie wiedziała, co powiedzieć. Deszcz padał bezlitośnie.

-Boli mnie brzuch, głowa i nogi - ciągnęła Laura. -Nie zrobię ani kroku dalej. Jestem taka zmęczona, że dłużej nie wytrzymam.

-Wszystkie potrzebujemy odpoczynku - odparła Kara. Woda spływała jej po twarzy, kapąła z podbródka. - Nie możemy się poddać, już niedługo. Dam głowę, że jesteśmy parę godzin drogi od wybrzeża.

Laura ponownie przymknęła oczy.

-Zostanę tu trochę. Idźcie beze mnie.

-Wykluczone! - zawołała Anna. - Nie w taką pogodę. Zachorujesz. A snajper?

Kara wytarła twarz i popatrzyła na Laurę.

-Wiesz, że nie możemy z tobą zostać. Musimy iść dalej i znaleźć jakąś kryjówkę. Naprawdę cię tu zostawimy.

-No właśnie, nie bądź głupia - dorzuciła Alice, po czym zamilkła, speszona wściekłymi spojrzeniami koleżanek.

-Dogonię was później - powiedziała Laura. - Muszę tylko trochę odpocząć.

Annę ogarnęła bezsilna rozpacz. Laura dała za wygraną.

-To idiotyczne. Zgubisz się i nigdy nie znajdziesz drogi. Naszą jedyną nadzieją jest pozostać razem.

-Na miłość boską, przecież nie zmusimy jej, jeśli nie chce - stwierdziła Kara i niestety miała rację. Wędrówka przez las kosztowała je dużo wysiłku i nie mogły nieść nawet kogoś tak drobnego jak Laura.

Stacey wstała.

-Nie możemy jej zostawić. To oznacza pewną śmierć.

Znowu to samo, pomyślała Anna. Stacey kontra Kara.

-Głosujmy - odrzekła Kara. - Mamy demokrację, nie? Gdyby nie burza, mogłybyśmy zrobić postój, ale musimy poszukać schronienia. Możemy wrócić po Laurę, kiedy przestanie padać.

-Jeśli nadal tu będzie - rzuciła z powątpiewaniem Stacey. - I zdołamy ją znaleźć.

Na niebie błysnęło, huknął kolejny grzmot.

-Idziemy! - wrzasnęła Alice. - Laura jest głupia! Po co na nią czekać?

Deszcz chłostał je niemal do bólu.

-Jestem za tym, żeby iść dalej - krzyknęła Erica. - Zaraz utonę!

-Dobrze - odparła Kara, przekrzykując deszcz. - Wobec tego idziemy. - Nachyliła się nad Laurą. - Wrócimy po ciebie, mała.

-Przepraszamy, Lauro - zawołała Erica. - Do zobaczenia.

-Wybacz - mruknęła Anna.

Tylko Alice nie rzekła ani słowa.

Stacey wyjęła jedną manierkę oraz garść jagód i położyła je obok Laury. Następnie pochyliła się i szepnęła coś koleżance do ucha.

Zostawiły Laurę samą, na deszczu.

-Nic jej nie będzie - krzyknęła do Anny Erica, kiedy mozolnie brnęły przed siebie. - No nie? Musi tylko iść na wschód, a wszystko będzie dobrze.

A którądy na wschód, pomyślała Anna. Nie miała pojęcia. Zrozumiała, że pozostawienie Laury stanowiło punkt zwrotny, sprawdzian, którego żadna z nich nie przeszła pomyślnie. Wmawiała sobie, że to wina Laury, jej słabości, lecz grupa skurczyła się do pięciu osób, podczas gdy jeszcze dzień wcześniej było ich siedem. Ciekawe, ile zostanie na końcu, pomyślała.

Wierzyły, że idą na wschód, chociaż nie było słońca, które mogłoby im wskazać kierunek. Jak okiem sięgnąć, miały wokół siebie jednolitą ścianę drzew. W pewnej chwili wzrok Kary przykuł stos szarych, urwistych skał podobnych do tych, które oglądały przy stawie.

-Zobaczcie! - wrzasnęła. - Widzicie?

-Gdzie?

-Tam? Widzisz?

-Sprawdźmy!

Anna ujrzała, jak Kara kieruje się ku skałom majaczącym za drzewami. Może dotarliśmy do kolejnego stawu, pomyślała. Niebawem okazało się, że nie miała racji. Zobaczyły stos kamieni przypominający kopiec. Po jednej stronie sterczała krawędź przywodząca na myśl wejście do amfiteatru. Widniejący pośrodku lej prowadził w głąb ziemi.

-To wejście do jaskini - zawołała Stacey.

-Jasne! - odrzyknęła Erica. - Wchodzimy!

Wspięły się na skraj leja osłoniętego przed deszczem skalnym pułapem. Zajrzawszy do jaskini, Anna stwierdziła, że wejście prowadzi głęboko pod ziemię, nachylone łagodnie niczym tunel. Poczuła ukłucie niepokoju, lecz jej towarzyszki rozprawiły wesoło, zachwycone nieoczekiwanym odkryciem.

Kara próbowała zachować pozory władzy.

-Poczekajmy tu, aż przestanie padać.

-Chcesz powiedzieć, jeśli przestanie – odparła Stacey. - Wiosenne burze na Andros mogą trwać nawet do czterech dni. Istnieje prawdopodobieństwo, że utkniemy tu na dłużej.

-Przynajmniej nie musimy się martwić o wodę - zauważyła Anna. Deszcz lał tak obficie, jakby nigdy nie miał przestać. - Powinniśmy wystawić manierki do na pełnienia.

Stacey kiwnęła głową.

-A jak przestanie padać, pójdziemy po Laurę.

Alice wstała i obesła ciasną przestrzeń. Nie miała komu dokuczyć i chyba jej się nudziło.

Woda przedostawała się do jaskini, dlatego dziewczęta weszły głębiej w poszukiwaniu suchego miejsca. Skalne ściany ociekały wilgocią; ich powierzchnię znaczyły białe żyłki nadające im wygląd befsztyka. Każde słowo odbijało się donośnym echem, słyszalnym pomimo huku ulewy. Niestety dach kryjówki był nieuszczelny i dziewczętom kapało na głowy.

-Hej, zamknijcie się! - zawołała Stacey, przerywając paplaninę podekscytowanych koleżanek.

- Zamknijcie się na chwilę!

-Sama się zamknij - odburknęła Alice.

-Mówię poważnie. Chyba coś słyszałam. Dziewczęta umilkły, wyęzając słuch.

-Nerwy cię zawodzą - stwierdziła Kara.

-Słuchajcie - upierała się Stacey. -To brzmiało zupełnie jak krzyk.

-Nic nie słyszę. - Alice kopnęła w ścianę, odrywając kamień, który stuknął o skalne podłoże.

-Przestań.

Stacey miała rację. Po chwili Anna usłyszała odgłos będący niewątpliwie okrzykiem przerażenia bądź bólu.

-Co to ma być, do cholery? - szepnęła Erica. - Czy to Laura?

-Chryste, ja nie wiem.

-Przymknijcie się!

Naraz z oddali dobiegł huk wystrzału. Dziewczęta wymieniły przerażone spojrzenia. Krzyk uciął jak nożem uciąż.

Anna mało nie straciła przytomności. W jednej chwili sprawdziły się jej najgorsze obawy. Mężczyzna istniał naprawdę, deptał im po piętach i znajdował się gdzieś w pobliżu. Właśnie zastrzelił Laurę. Erica oburącz chwyciła Annę, która odpowiedziała jej równie mocnym uściskiem.

-O nie - szepnęła Erica. Dziewczęta popatrzyły na ścianę drzew.

-Ktoś nas ściga! - powiedziała Alice. Wydawała się zdumiona własnym strachem albo nie wyobrażała sobie, że ktoś mógł ścigać kogoś takiego jak ona.

-Nie wiemy, co to było. Nie panikujcie - odparła Kara przerażonym głosem. - Może to zwykły myśliwy.

-Słuchajcie - szepnęła Stacey. Dziewczęta zwróciły się w jej kierunku. - Lepiej nie ryzykować. Musimy wejść głębiej do jaskini. Jeśli to snajper, tu nas nie znajdzie. Może nawet nie wie, że tu jesteśmy. Trzeba się ukryć, nic innego nam nie pozostaje.

Anna skinęła głową, Kara też.

-Dobrze - wyszeptały.

Trzymając się za ręce, dziewczęta ruszyły tunelem prowadzącym w całkowitą ciemność. Anna drżała na myśl o zapuszczeniu się w te nieznane rewiry, jednak bardziej przerażała ją bliskość mężczyzny z bronią. Pewnie Laura nie żyje, pomyślała. A zatem była to sprawa życia lub śmierci. Wielokrotnie słyszała ów wyświechtany frazes, lecz nigdy nie dotarł do niej jego sens. Obecnie budził w niej grozę i mógł oznaczać absolutnie wszystko. Powoli ruszyła za koleżankami w głąb jaskini.

Tunel był na początku wąski, ale niebawem się rozszerzył. Anna nie widziała koleżanek, lecz gdy spoglądała na siebie, jej oczom ukazywała się docierająca z zewnątrz szara smuga światła. Stała w miejscu, czując lekki zamęt w głowie. Opoдал ktoś zakaszał.

-Kto tam? - szepnęła.

-Ciii - usłyszała i poczuła, jak Stacey ściska jej palce.

-Jesteśmy wszystkie? -To Kara. -Tak.

-Co się stało? - spytała Erica.

Kiedy oczy Anny przyzwyczyły się do ciemności, dostrzegła niewyraźny zarys postaci koleżanek. W jaskini panował mrok i wilgoć, wokół unosiła się stęchła woń. Serce Anny waliło jak młotem. Nadal słyszała odgłosy ulewy oraz sporadyczny huk grzmotu.

Dziewczęta znieruchomiały na skraju jaskini, obserwując szary prostokąt światła docierającego z wejścia do tunelu. Nagle ktoś krzyknął i Anna odwróciła się zdezorientowana. Zaczęły przekrzykiwać się nerwowo, jedna przez drugą.

-Kto tam?

-Kurwa!

-Co to było?

-Dobrze, już dobrze, to tylko ja - przyznała z zakłopotaniem Erica. - Coś wlało mi na rękę. Chyba pajdak.

Anna machinalnie przejechała ręką po włosach, chociaż nic tam nie było.

-I co robimy? - zapytała Alice. Zabrzmiało to niemal jak pytanie filozoficzne. Anna popatrzyła na koleżanki, prawie niewidoczne w mroku.

-Czekamy - odparła Kara.

-Jak długo?

-Nie wiem. Tyle, ile będzie trzeba.

-Cholernie wkurza mnie myśl, że ktoś depcze nam po piętach - stwierdziła Erica.

-Nie wiemy, o co tu chodzi.

Anna zaczęła się zastanawiać, czy wystrzał nie był efektem zbiorowej halucynacji. Z góry znała odpowiedź. Był głośny i niezaprzeczalny.

-No to czekajmy.

Jedna z dziewcząt schyliła się, patrząc na ziemię.

-Cały czas po czymś depczę - zabrzmiał głos Kary. -Coś tu leży. -Anna usłyszała szelest, a następnie trzask. Pomieszczenie zalało jasnożółte światło latarki.

-Ojej... - wydusiła.

-Ale odjazd! - zawołała Erica. - Zobaczcie.

Latarka Kary oświetlała wnętrze jaskini. Anna osłupiała. Znajdowały się w ogromnym pomieszczeniu, które miało mniej więcej trzydzieści na dwadzieścia stóp. Sufit wisiał nisko nad głowami. Naprzeciw wąskiego tunelu, którym przyszły, widniały cztery otwory prowadzące do dalszych katakumb. Wyglądało na to, że dziewczęta mają przed sobą skomplikowany system jaskiń. Jednak najbardziej szokujący okazał się fakt, że jaskinia najwyraźniej miała lokatora.

-Boże - powiedziała Kara. - Ktoś tu mieszka. - Błysnęła latarka, oświetlając poszczególne przedmioty. - Spójrzcie na to. Niewiarygodne. - Zobaczyły coś, czego w żadnym wypadku nie spodziewały się tu zastać.

Pod ścianą, obok drewnianego stolika, na którym stała lampa na baterie, na plastikowej podkładce spoczywały dwa czerwone śpiwory. Na kartonowym pudle, tuż obok stosu książek w miękkich okładkach, widniała sterta poduszek. Przy posłaniach stał duży, plastikowy pojemnik z żywnością, a za nim rząd puszek ustawionych równo pod ścianą. Dalej dziewczęta ujrzały butelki z wodą, piwo oraz kolejne plastikowe pojemniki. Obok śpiworów znajdowała się przenośna kuchenka, przed którą stały dwa białe krzesła ogrodowe.

-I co robimy? - spytała Anna.

Nim ktokolwiek zdążył zareagować, Alice podeszła do pojemnika z jedzeniem.

-Sprawdzę, co jest w środku. - Zerwała plastikową pokrywkę.

-Nie, zaraz, musimy pomyśleć - odrzekła Stacey, lecz Erica podążyła w ślady Alice. Zapach jedzenia sprawił, że ślina napłynęła Annie do ust. Dziewczęta obsiadły pojemnik i łąpczywie rzuciły się na zawartość, zbyt wygłodzone, by się opanować.

-Wszystko świeże! Pomarańcze i jabłka! Chleb!

-Snickersy i wafle w czekoladzie!

Znalazły otwieracz i otworzyły kilka puszek, po czym opróżniły ich zawartość jak bulimiczki w piątkowy wieczór. Wszystko smakowało wybornie. Jedyne Stacey wykazała pewną



wstrzemięźliwość, poprzestając na paczce herbatników. Zapaliła lampę i w jaskini zrobiło się całkiem jasno, choć w zakamarkach nadal panował mrok.

-Niesamowite - wydusiła Erica, zapychając się czekoladowymi paczkami z pudełka. - Jak myślicie, kto tu mieszka?

-Może to noclegownia myśliwych - podsunęła Stacey. - Albo kłusowników. - Urwała. - Oczywiście zdajecie sobie sprawę, że być może trafiłyśmy do kryjówki snajpera.

Rzuciła to od niechcenia. Anna żywiła podobne obawy.

-Może nie powinnyśmy były tego jeść.

-Za późno.

-Moim zdaniem to miejsce należy do rybaków -oświadczyła Kara. - Co może oznaczać, że dotarliśmy w pobliże wybrzeża.

-Ktokolwiek tu mieszka, wyszedł - stwierdziła Alice.

- Nie ma się czym przejmować.

Stacey westchnęła.

-Cóż, jeśli to kryjówka snajpera, wróci tu prędzej czy później. Chyba jesteście tego świadome.

-Przecież nie możemy wyjść - zaoponowała Kara. -Trzeba zrobić użytek z tego, co mamy. Utknęłyśmy, tak czy siak.

-Bynajmniej. Musimy zajrzeć do tych tuneli. - Stacey wskazała na cztery korytarze. - Jeśli ktoś przyjdzie, możemy ukryć się w którymś z nich. Może nawet prowadzą do innego wyjścia. - Dziewczęta popatrzyły z obawą na ciemne otwory.

Ja nie wejdem, pomyślała Anna. Wiedziała, że takie miejsca zamieszkują nietoperze i pająki. Kiedy dziewczęta najadły się do syta, postanowiły zajrzeć do środka tunelu. Żadna jednak nie kwapiła się tam wejść, toteż poprzestały na oświetleniu korytarzy latarką. Groty okazały się puste, dwie z nich zaś miały otwory prowadzące dalej w głąb. Anna podejrzewała, że jaskinie były bez końca i wiodły do samego serca wyspy. Owo podejrzenie przyprawiło ją o dreszcz.

Dziewczęta przeniosły z powrotem uwagę do głównej groty. Pozostawiły po sobie bałagan, który uprzątneły za namową Stacey, tak aby było możliwie jak najmniej śladów ich bytności. Następnie rozłożyły spiwory, chcąc trochę odpocząć. Stacey znalazła karton z grubymi, białymi świecami; Anna i Kara zapaliły pięć z nich, ustawiając cztery po bokach i jedną pośrodku. Cienie tańczyły na skalnych ścianach. Anna miała nadzieję, że zdobyte zapalki umożliwią im po deszczu rozpalenie ogniska. Może to zwróci wreszcie uwagę ratowników.

Usiadły w kręgu wokół centralnej świecy i zastanawiały się nad swoim następnym posunięciem. Ustaliły, że w razie jakichś niepokojących odgłosów albo powrotu stałego

lokatora złapią latarki oraz świece i uciekną jak najdalej do jednego z tuneli. Ich wybór padł na korytarz po lewej stronie, największy ze wszystkich. Myśl o ukryciu się w jego mrocznych czeluściach była niezbyt krzepiąca, lecz nie pozostawało im nic innego.

Rankiem, jeśli przestanie padać, spróbują opuścić jaskinię i ponownie skierować się na wschód w nadziei, że nocą snajper zgubi trop.

Anna zwinęła się w śpiworze obok koleżanek, czerpiąc otuchę z planu. Stacey pierwsza trzymała wartę, skrobiąc coś przy świecy w swoim notesie. Zgasiła lampę, żeby zaoszczędzić baterie, ale świece nadal płonęły, napełniając grootę ciepłym, żółtym światłem. Anna zmartwiła się, że snajper mógłby coś zauważyć, po czym nabrała otuchy na myśl, że za skałami były niewidoczne.

Podczas gdy Kara i Erica rozmawiały o tym, co zrobią po powrocie do domu, Anna przewróciła się na drugi bok i zapatrzyła na białe żyłki biegnące wzdłuż sufitu. Były lekko połyskliwe, co nadawało im wygląd pajęczyn. Kolejne stracone zdjęcie, pomyślała. Zastanawiała się nad techniką potrzebną do jego zrobienia. Do uchwycenia kontrastu cieni potrzebowałyby szerokiej przysłony oraz wolnej migawki, a może i filtra gęstości. W przeciwieństwie do reszty nauczycieli pan Spate przynajmniej ją czegoś nauczył. Cóż, na pewno zbyt dużo, i to rzeczy, których młoda uczennica znać nie powinna, ale to całkiem inna historia.

Czy sama się o to prosiła? Bez wątplenia wszyscy uznaliby zgodnie, że nosiła zbyt obcisłe dzinsy i za krótkie spódnice. Ciekawe, czy choć częściowo miałiby rację. Może rzeczywiście pan Spate od początku wpadł jej w oko, choć ona miała na ten temat odmienne zdanie. Jej wspomnienia plątały się z emocjami; nie potrafiła oddzielić jednych od drugich. Dziwne, że nadal myślała o nim „pan Spate”. Zawsze kazał nazywać się Greg, ale w jej świadomości niezmiennie istniał jako „pan”.

Tego dnia, kiedy pocałowali się po raz pierwszy, przebywali we dwójkę w szkolnej ciemni. Było leniwe wtorkowe popołudnie; została dłużej, aby popracować nad zdjęciem na szkolną wystawę. Pan Spate pomagał je wywoływać. Twierdził, że to jej najlepsze dzieło; podobno wskazywało, że ma oko do szczegółów.

Anna nie była pewna, czy podzielać jego zdanie. Zdjęcie przedstawiało zachód słońca nad rzeką Lilac, dwie przecznice od jej domu. Zrobiła je w kolorze, lecz dopiero uczyła się wywoływać na czarno-białym papierze i fotografia sprawiała wrażenie mglistej i zamazanej.

Owego wtorkowego popołudnia pan Spate stał za Anną w czerwonej poświacie ciemni i nadzorował jej poczynania. Poczwała jego dłoń na ramieniu, lekki dotyk, który wywołał jej

głębokie zdumienie. Odwróciwszy się, dostrzegła jego uśmiech. Stał tuż pod czerwoną żarówką, skąpany w jej świetle i jakże przystojny.

-Anno, muszę ci coś powiedzieć - zaczął - ale nie bardzo wiem jak. - Serce zabiło jej mocniej. Odwróciła się z powrotem do zdjęcia. Jeszcze chwila, i trzeba będzie przenieść je do utrwalacza.

-Daj spokój - dodał na widok jej zaangażowania. -Zrobimy drugie. - Uścisk na ramieniu przybrał na sile. - Nie mogę dłużej skrywać swoich uczuć. Doprowadzają mnie do obłądu. Domyślam się, że czujesz to samo.

Anna z wrażenia prawie nie mogła oddychać.

-Anno?

-Tak? - odrzekła wreszcie, rzucając mu kolejne spojrzenie. Na jego twarzy malował się wyraz powagi, patrzył na nią otwarcie i ciepło.

-Chyba się w tobie zakochałem.

Tak właśnie powiedział. Wiedziała, że coś do niej czuje, lecz nie podejrzewała, że to miłość. Przyszło jej do głowy, że zaraz zemdleje. Czy nie należało tak właśnie postąpić? Musiała coś odpowiedzieć.

-Ja... ja... - wydusiła, szukając odpowiednich słów.

Nie umiała określić tego, co czuła. Wrażenie było dziwne i niesprecyzowane. Czy na tym właśnie polega miłość?

Teraz, patrząc wstecz, doszła do wniosku, że chyba jednak nie. Uważała pana Spate'a za atrakcyjnego; emanował urokiem innym niż chłopcy w jej wieku, nawet Ryan. Miał prawie trzydzieści pięć lat, dzięki czemu wiedział mnóstwo nie tylko o fotografii, lecz życiu w ogóle. Jako dwudziestokilkulatek robił reportaże, podróżując po świecie; jego zdjęcia ukazywały się w gazetach i czasopismach. Następnie przez parę lat próbował sił w fotografii artystycznej, ale nic z tego nie wyszło. Twierdził jednak, że pracuje w szkole z upodobania, a nie przymusu.

~ Ja też się w pana zakochałam - powiedziała wtedy Anna. Patrzyli na siebie w czerwonym świetle, a potem ją objął. To było niesamowite. Pocałował ją delikatnie w usta, a ona odwzajemniła pocałunek.

Pocałunek stanowił kulminację kilkutygodniowego flirtu oraz początek wszystkiego, co wydarzyło się później. Leżąc w jaskini na Andros, Anna żałowała, że pozwoliła na więcej niż ów miły incydent. Przez następne tygodnie spotykali się w ciemni, samochodzie pana Spate'a czy wreszcie jego mieszkaniu w zachodniej części miasta. Pokazał jej rzeczy, o których

przedtem nie miała pojęcia. Wiedziała, że robią coś zakazanego, co przydawało sytuacji dodatkowego smaczku.

Próbując zapomnieć, przewróciła się na drugi bok, w nadziei że przyjdzie sen. To niesprawiedliwe, że musiała zapłacić za błędy, które oboje popełnili. Czy wszyscy mężczyźni to takie świnię?

Stacey trzymała wartę i Annę ogarnęło błogie poczucie bezpieczeństwa. Dziwiła się, że - pomijając ojca i pana Spate'a - w ogóle nie rozmyślała o świecie, który pozostawiła daleko za sobą. Przymknęła oczy i chyba musiała zasnąć, bo gdy otworzyła je ponownie, spostrzegła, że trzy świece wypaliły się do połowy, pozostałe zaś dwie zgasły. Zastanawiała się, czy to już jej kolej. Spojrzała w stronę wyjścia, chcąc sprawdzić, kto stoi na warcie, po czym z przerażeniem uświadomiła sobie, że otwór prowadzący do tunelu jest pusty.

-Anna? - zabrzmiał szept. - Cicho. Nie ruszaj się. -To była Stacey, przyczajona w cieniu pomiędzy Anną a ścianą.

-Moja kolej? - odszepnęła Anna zbита z tropu. Pozostałe dziewczęta spały skulone w swoich śpiworach.

-Chyba usłyszałam coś na zewnątrz.

-Co?

-Kroki.

Anna poczuła, jak jeżą jej się włoski na karku.

-Jesteś pewna?

-Nie.

Anna wyteżyła słuch. Wokół panowała niezmacona cisza.

-Nadal je słyszysz?

-Ucichły, zanim cię obudziłam.

-Może to jakieś zwierzę.

-Może - odrzekła z powątpiewaniem Stacey. - Możliwe, że słuch zaczyna płać mi figle.

-Co robimy?

-Nie chcę nikogo przestraszyć, ale uważam, że powinniśmy obudzić pozostałe.

-Masz rację.

-Wolałabym tylko, żeby nie marudziły i nie hałasowały.

Anna skinęła głową. Nerwowo odgarnęła włosy. Senność minęła jak ręką odjął.

-Obudźmy je kolejno.

-Dobry pomysł.

Anna wypełzła ze śpiwora i przykucnęła obok Stacey na zimnej podłodze.

-Tak trzeba, prawda? Nawet jeśli to fałszywy alarm.

-Tak mi się wydaje. Najwyżej odetchniemy z ulgą. Urządzimy imprezę. Zagramy w butelkę. Anna z wysiłkiem stłumiła śmiech. Stacey nieczęsto pozwalała sobie na żarty.

-Zaczynamy.

Wstały i podeszły cicho do koleżanek, budząc je delikatnie. Niebawem wszystkie siedziały na śpiworach, wpatrzone w wejście do tunelu. Mijały nerwowe minuty. Po pewnym czasie, wobec przedłużającej się ciszy, niepokój ustąpił miejsca znużeniu.

-Idę spać - wymamrotała Alice.

Erica z westchnieniem wlała do śpiwora.

-Chyba fałszywy alarm.

-Jak to się dzieje, że Stacey zawsze coś słyszy? -marudziła Kara, nurkując w śpiworze.

Niemal natychmiast po jej słowach na zewnątrz donośnie trzasnęła gałąź i Kara wróciła do pozycji siedzącej. Ktoś lub coś stało przed jaskinią. Dziewczęta wymieniły przerażone spojrzenia.

Błagam, żeby to nie był snajper, modliła się w duchu Anna. Wszystko, byle nie on, prosiła, po czym pomyślała, że nie życzy też sobie spotkania z wilkiem ani niedźwiedziem. Żywiła nadzieję, że wyspy nie zamieszkiwały równie niebezpieczne drapieżniki. Jednak odgłos kroków nie pozostawiał wątpliwości, że na zewnątrz coś się dzieje.

-Słyszycie przecież! - szepnęła Stacey. - Ktoś tam chodzi. I co, zadowolone, że was obudziłam?

-O rany - jęknęła Erica, ale Kara kazała jej się zamknąć.

-Tunel - powiedziała Stacey. -Ten po lewej, tak jak planowałyśmy. Ja mam latarkę.

-Zabierzmy świece - dodała Anna, chwytając tę stojącą najbliżej niej. Roztopiony wosk spływał w dół i wyglądał jak zamarznęty wodospad.

Dziewczęta wstały i tłumiąc panikę pośpieszyły w stronę tunelu. To nic, powtarzała w duchu Anna. Pewnie wiewiórka albo inny futrzak. Na pewno nie snajper.

Zostawiły śpiwory i plecaki; nie starczyło czasu, aby je zabrać. Anna pomyślała, że mieszkaniec jaskini bez trudu odkryje ślady bytności intruzów. I jeśli miał choć odrobinę oleju w głowie, od razu znajdzie ich kryjówkę. Nie pozostawało jej jednak nic innego, jak pobiec za resztą. Po chwili dziewczęta przycupnęły w mrocznym wnętrzu sąsiedniej jaskini.

Stacey zgasiła latarkę, zapalona świeca Anny niemrawo rozpraszała mrok. Grota okazała się mniejsza niż poprzednia; dookoła widniały prowadzące dalej otwory skąpane w bezdennej ciemności. Pomieszczenie było tak niskie, że Anna nie mogła stanąć prosto. Tylko Stacey nie musiała się schylać.

Zabawne, pomyślała Anna. W półmroku wszystkie dziewczęta wyglądały identycznie. I nikt nie odróżniłby Kary od Stacey, piękności od brzydactwa. Wszelkie różnice straciły znaczenie, gdyż twarz każdej z dziewcząt nosiła ten sam, szarozółtawy odcień.

-Zgaście świece - nalegała Kara. - Nie chcemy, żeby nas zauważył.

Anna zdmuchnęła świecę. Zaległa ciemność. Wychyliwszy się, mogły dostrzec migotanie świecy pozostawionej na środku dużej jaskini. Mogły ogarnąć wzrokiem znaczną jej część, nie ryzykując, że same zostaną zauważone.

Anna przykucnęła na wilgotnej podłodze i nerwowo wyteżyła wzrok, w nadziei że ich przezorność okazała się przedwczesna i zaraz będą mogły wyjść.

-Jeśli to snajper, będziemy musiały wejść głębiej -szepnęła Stacey.

-Przecież jest za ciemno - zaprotestowała Erica. -Kto wie, co się tam kryje?

Anna odczuła klaustrofobiczny niepokój. Nie wiedziała, jak długo wytrzyma. Odnosiła wrażenie, jakby ściany groty napierały na nią ze wszystkich stron. Uniosła ręce do skroni i potarła oczy.

-O kurwa - powiedziała Erica. Anna poczuła, jak serce wędruje jej do żołądka.

Zobaczyła mężczyznę, który wychynął z cienia niczym wytwór ich pobudzonej wyobraźni. Wyszedł z tunelu i znieruchomiał. Ledwo widoczny w blasku jednej płonącej świecy, wyglądał na wielkoluda. Anna bała się nawet przełknąć ślinę, żeby nie usłyszał.

-Czy to on? - szepnęła Alice.

-Trudno powiedzieć - odszepnęła Stacey.

-Ciii - ostrzegła Kara. - Nie wie, że tu jesteśmy.

Mężczyzna skierował się w stronę zapalanej świecy pośrodku jaskini. W półmroku i z oddali Anna nie widziała dokładnie jego twarzy, przysłoniętej dodatkowo czapką baseballową. Zdjął zielone poncho i rzucił na ziemię. Był wysoki, ale przynajmniej nie nosił broni, co wzięta za dobry znak.

Patrzyła, jak ogląda porzucone przez nie przedmioty, śpiwory, ubrania. Stopy skostniały jej na mokrej podłodze. W pośpiechu zapomniała o butach. Oprócz zapobiegliwej Stacey wszystkie dziewczęta były bose.

Mężczyzna wyglądał na zaskoczonego. Odwrócił głowę w kierunku, skąd przyszedł, po czym omiół spojrzeniem wejścia do pozostałych grot. Zmrużył oczy, usiłując przeniknąć wzrokiem ciemność.

Następnie podszedł do zapalanej świecy i podniósł ją. Dziewczęta zobaczyły go wyraźniej. Miał na sobie kurtkę khaki oraz ciemne spodnie. Był tęgi i niechlujny; spod zielonej czapki

sterczały czarne, posklejane włosy. Anna nie widziała jego oczu. Czy miała przed sobą mordercę? Osławionego snajpera? Nie sposób było tego stwierdzić. W każdym razie zdecydowanie nie wyglądał na wybawcę.

Może to tylko nieszkodliwy pustelnik, pomyślała optymistycznie Anna. I z radością wybawi je z opresji. Jednak z całą pewnością nie miał radosnej miny. Prawdę mówiąc, budził strach.

-Myślicie, że po prostu sobie pójdzie? – wyszeptwała Alice.

-Nie.

-Zamknijcie się, bo was usłyszy.

Mężczyzna w dalszym ciągu lustrował wejścia do grot. Czynił to niespiesznie, jakby dysponował nieograniczonym zasobem czasu.

-A co, jeśli tu przyjdzie? - spytała Erica.

-Wejdziemy głębiej.

Mężczyzna popatrzył na pojemnik z żywnością oraz stos puszek.

-Co on robi?

Anna modliła się, żeby przestały gadać, gdyż mężczyzna mógł usłyszeć szepty, a wtedy koniec. Ogarnęła ją niezbita pewność, że zaraz je znajdzie. Stacey musiała pomyśleć o tym samym, gdyż Anna poczuła, jak przyjaciółka ciągnie ją za koszulkę.

-Chodźmy. Musimy wejść głębiej. Szybko.

-Dobra.

Dziewczęta spróbowały przenieść się bezszelestnie do jednego z większych otworów w tyle groty, lecz ciemność ograniczała ich manewry. Anna wolała nie zapalać świecy w obawie, że mężczyzna dostrzeże światło. Poza tym uświadomiła sobie, że w swojej bezmyślności zapomniała o zapalkach, a blask latarki za bardzo rzucałby się w oczy. Dziewczęta zbiły się w gromadkę i dalej obserwowały nieznanego.

Włączył zasilaną bateriami lampę i lustrował uszczuplone zapasy. Przez chwilę trzymał puszkę, którą przrzucał z ręki do ręki. Następnie sięgnął po otwieracz. Sprawiał wrażenie człowieka, który głęboko się nad czymś zastanawia. Popatrzył w kierunku ich groty i postąpił krok do przodu.

On dokładnie wie, gdzie jesteśmy, uświadomiła sobie z nagłą jasnością Anna. Mieszka tu, zna jaskinie od podszewki.

I rzeczywiście, mężczyzna stanął tuż na wprost wejścia do ich groty. Anna przyłgnęła do ściany, desperacko próbując wymacać jakąkolwiek wnękę. Na próżno.

Wówczas nieznamy zrobił coś bardzo dziwnego. Ukłękł przed ich jaskinią, w odległości kilku jardów od miejsca, gdzie się ukrywały. Zamachnął się jak przy grze w kręgle i wturlał

puszkę do grotu. Puszka zatrzymała się o krok od bosej stopy Anny. Dziewczyna słyszała swój urywany oddech i próbowała go stłumić. W ślad za puszką powędrował otwieracz.

Dziewczęta stały jak skamieniałe. Mężczyzna znajdował się bardzo blisko, lecz z powodu mroku nie mógł ich widzieć. Panowała nieznośna cisza. Anna zastanawiała się, co teraz. Jeśli istotnie miały przed sobą mordercę, dalszy ciąg nie pozostawiał wątpliwości. Jeśli zaś był tylko zwariowanym pustelnikiem albo kłusownikiem, fakt, że naruszyły jego terytorium, stanowił wystarczający powód do gniewu. Trudno przewidzieć, co zrobi rozjuszony mężczyzna, znalazłszy się sam na sam z pięcioma nastolatkami. Pożałowała, że nie mają ze sobą broni.

Mężczyzna stał, zaglądając w ciemność. Anna wiedziała, że miał nie tylko świece i lampę, ale pewnie i zapasową latarkę. Zastanawiała się, dlaczego jeszcze nie wkroczył do jaskini. Całkiem jakby rozmyślnie dręczył intruzów, przetrzymując ich po ciemku.

Naraz podrapał się po brzuchu i wybuchnął śmiechem. Podparł rękami biodra i tak się śmiał, że aż zaczął kaszleć. Następnie przemówił.

Whiskens



## POCZĄTEK

- Dziewczynki! - zawołał. Mówił ochryłym, powolnym głosem, jakby niegdyś zwalczył jąkanie, starannie naśladowując prawidłową mowę. - Nie podziękujecie za prezent? - Zachichotał pod nosem. - Wiem, że tam jesteście, samotne i przestraszone. Nie lubicie brzoskwiń? Jedna mała puszka na pięć dziewcząt to niewiele. - Kichnął. - Na zdrowie. Pewnie jestem uczulony na wasze perfumy.

Niezdarnie usiadł na podłodze przed ich grotą.

- Widzę, że poczęstowałyście się moimi zapasami. Nic nie szkodzi. Pomyślałem, że brzoskwinie będą w sam raz na deser. A tak w ogóle, stamtąd nie ma wyjścia. Korytarze z tyłu to ślepe zaułki. Musicie wyjść tą samą drogą, którą weszłyście. - Ponownie kichnął i wytarł nos rękawem. - Możecie to zrobić w każdej chwili. Nic wam nie zrobię. Mam na imię Leod. To nie jest moje prawdziwe imię, ale wszyscy tak mnie nazywają. Mieszkam tu od jakiegoś miesiąca. Jak widzicie, wcale mi nie przeszkadza, że przyszłyście bez zaproszenia. - Prychnął śmiechem. - Nie jestem zły. Serio. Od dawna nikt mnie nie odwiedzał.

Strach Anny narastał z każdym słowem wypowiedzianym przez mężczyznę. Perorował jak obłąkany bezdomny w niekończącym się dialogu z samym sobą. Zastanawiała się, co myśla pozostałe.

Mężczyzna wstał.

-Wyjdźcie, jak będziecie gotowe. Mam zamiar coś upitrasić, bo jestem głodny. - Powoli przeszedł na drugą stronę jaskini.

-I co my do cholery zrobimy? - szepnęła Erica. -To jakiś wariat.

-Co nie musi oznaczać, że jest niebezpieczny - odparła Stacey. - Musimy przeanalizować sytuację.

-Skąd wie, że jest nas pięć?

-Śledził nas - stwierdziła Kara. - To pewnie on strzelał.

-Cicho. Słyszycie?

Mężczyzna podśpiewywał pod nosem, przygotowując posiłek.

-Pięć małych dziewczynek - zanucił. Jego niepokojący niski głos poniósł się echem.

-Dziwoląg - zawyrokowała Erica. Alice oglądała go podejrzliwie.

-Gada jak jakiś debil.

-Potrzebny nam plan - powiedziała Stacey. - Debil czy nie, myśli, że ma nas w garści.

-Ty i te twoje plany.

-Mogłybyśmy wypaść na niego z zaskoczenia - podsunęła Erica.

-Jest potężny. Chcecie ryzykować? Mógłby zrobić nam krzywdę, gdyby chciał.

-Lepiej go nie drażnić - wtrąciła Anna. Cały czas myślała intensywnie. Mężczyzna nadal podśpiewywał i mamrotał pod nosem jak umysłowo chory. Dotąd nic im nie zrobił, ale kto wie, co mu chodzi po głowie? Atak mógłby wyzwolić potencjalną agresję. - Chce, żebyśmy zostały - dodała - co nie znaczy, że coś nam grozi.

Kara zmarszczyła brwi.

-Skąd wiesz?

-Na razie nic nie wskazuje, żeby miał złe zamiary. Dał nam brzoskwinie. I tak wie, gdzie jesteśmy, więc nie ma sensu się ukrywać. Uważam, że powinniśmy wyjść i uczciwie postawić sprawę.

-Zwariowałaś, kretynko? - szepnęła Erica, ale Stacey pokiwała głową.

-Posłuchajcie - rzekła. - Nie ufam temu gościowi za grosz, lecz pomysł Anny jest całkiem niegłupi. Jeśli wyjdziemy, może zdołamy go minąć i uciec do lasu. Jest wielki, więc raczej przegonimy go z łatwością.

-Chyba że ma broń i zacznie strzelać.

-Moim zdaniem powinniśmy zaryzykować. Tutaj też stanowimy łatwy cel, nie?

-No to wychodzimy - zakomenderowała Kara, tak jakby pomysł wyszedł od niej. - W sposobnej chwili spróbujemy uciec.

-Dobra.

-Niech będzie.

Nawet Alice skinęła głową.

Mężczyzna wciąż stał odwrócony plecami, szykując posiłek. Chyba robił kanapkę. Anna usłyszała syk otwieranej puszkę z napojem.

-Tak po prostu - spytała Erica - wejdziemy do jaskini i przed nim staniemy?

-Na to wygląda.

-Policzmy do pięciu.

-Zgoda.

-Gotowe?

Dziewczęta zaczęły odliczanie. Gdy doszły do pięciu, Stacey zapaliła latarkę i gęsiego opuściły kryjówkę.

Mężczyzna odwrócił się twarzą do nich. Nie wyglądał na specjalnie zdziwionego. W jednej ręce trzymał kanapkę, a w drugiej puszkę piwa korzennego. Dziewczęta stanęły i popatrzyły na niego z bezpiecznej odległości.

-Cześć - powiedział. Anna spostrzegła, że miał coś nie tak z twarzą. Na jego czole widniało osobliwe wgłębienie, którego nie zdołał zasłonić czapką. Zauważyła też, że lewa strona jego ciała zdaje się sztywna i niezdarna, tak jakby nie doszedł do siebie po wylewie.

-Mam na imię Leod - powtórzył. - Ale chyba już wam mówiłem. - Stał sztywno, ze wzrokiem utkwionym w dziewczęta. Odpowiedziały mu niepewnym spojrzeniem. Anna zrozumiała, że nikt nie kwapi się uczynić pierwszego kroku. Leod ugryzł kanapkę i przeżuł ją powoli. -To miło, że same postanowiłyście wyjść. Spodziewałem się tego. Powiedzcie coś, dziewczynki. Nie wstydźcie się. - Jego spojrzenie padło na Karę, zawisło na jej piersiach, po czym powędrowało na nogi.

-Potrzebujemy twojej pomocy - powiedziała. -Zgubiłyśmy się.

Leod popatrzył jej w oczy.

-Wiem. Mało kto przychodzi tu z własnej woli. Oczywiście, że się zgubiłyście. - Miał permanentnie rozbiegane oczy, tak jakby pękło mu coś wewnątrz czaszki. Kiedy ktoś taki przysiadł się w autobusie, człowiek natychmiast zmieniał miejsce. Odrażający typ, pomyślała Anna.

-Możesz nam pomóc? - zapytała Stacey.

-Jasne, jasne - odparł z przejęciem Leod, nie odrywając zachwyconych oczu od Kary. Ponownie ugryzł kanapkę i popił ją solidnym łykiem piwa. - Pomogę wam jak należy.

Anna i Stacey wymieniły niespokojne spojrzenia.

-Masz telefon? - spytała Kara. - Musimy zadzwonić na 997.

-Na Andros nie ma takiego numeru - odrzekł Leod. - Zresztą i tak nie mam telefonu. Na co mi on?

-Musimy dotrzeć do wybrzeża i poszukać pomocy -zaryzykowała Anna. - Błąkamy się po lesie od soboty.

Leod przysunął się o krok, przez co wydał się jeszcze większy.

-Od soboty? Rany, to naprawdę długo. Pomogę wam, wiem, gdzie leży wybrzeże. To daleko stąd, ale wiem, jak tam dotrzeć. Skąd jesteście?

-Z obozu - odparła pospiesznie Stacey, zanim ktokolwiek zdążył się odezwać. - Byłyśmy na wycieczce.

-Aha. - Odpowiedź wyraźnie zadowoliła Leoda. Ukradkiem podszedł jeszcze bliżej i znów pociągnął łyk z puszki.

Anna zrozumiała, że ich plan miał istotne luki. Niemożliwością było przedrzeć się obok tej zwalistej postaci i wymknąć wąskim tunelem do lasu. Nie wzięły pod uwagę gabarytów męzczyzny.

-Pomożesz czy nie? - spytała Kara. – Potrzebujemy pomocy zaraz, natychmiast.

Twarz Leoda pociemniała, na jego okaleczonym czole powstała głęboka zmarszczka.

-Na razie nic nie mogę zrobić! - warknął. – Muszę poczekać na Jume'a. Myślałem, że to jasne. On tutaj podejmuje decyzje.

Dziewczęta cofnęły się przerażone. Leod westchnął.

-Przykro mi. Myślałem, że wiecie, ale chyba zapomniałem wam powiedzieć. - Wyglądał na zirytowanego. - Jume to mój najlepszy przyjaciel.

-A kiedy wróci? - zapytała ze złością Alice. Anna stwierdziła, że koleżanka stanowczo wybrała niewłaściwy ton. Leod wydawał się rozjuszony, poza tym najprawdopodobniej to on był snajperem.

-Chodzimy po lesie od kilku dni. Musisz nam pomóc - dodała Kara i Leod znowu spochmurniał. Wgryzł się w kanapkę i przeżuł energicznie. Wreszcie uśmiechnął się szeroko. Jego twarz przypominała zmienne oblicze dziecka.

-Jume niedługo wróci. Musi tylko czegoś dopilnować. Głowa do góry.

-I wtedy nam pomożesz?

-Pewnie, jeśli będzie sobie tego życzył. On tu jest od myślenia. Mnie to nie wychodzi na dobre. Jak macie na imię, dziewczynki? Nawet się jeszcze nie przedstawiłyście.

Zaczynając od Kary, dziewczęta kolejno podały swoje imiona. Anna chciała wymyślić sobie jakiś pseudonim, ale stwierdziła, że to bez znaczenia.

-Wszystkie nosicie ładne imiona, ale Kara jest najładniejsze - zawyrokował Leod. Nie mógł oderwać od niej oczu. - Kara to naprawdę śliczne imię. - Omiótł tęsknym spojrzeniem jej biust. - Ile masz lat, dziewczynko?

-Piętnaście.

Nie odpowiedział, ale wydawał się zadowolony. Popatrzył na pozostałe dziewczęta i Anna pospiesznie odwróciła wzrok. Wiedziała, o czym myślał, czego chciał.

-Wiecie co? - zawołał swoim dziwnym głosem. - Dam głowę, że padacie z nóg. Na pewno przeszkodziłem wam w drzemce. Możecie się położyć.

Była to mało kusząca propozycja.

-Nie jesteśmy zmęczone - zaproponowała Stacey. - Poza tym jest już prawie rano.

Leod zmarszczył brwi.

-Właśnie, że nie.

-Ależ tak.

Leod był wyraźnie zbity z tropu. Podniósł rękę, jakby zamierzał pociągnąć łyk z puszki, ale zaraz zmienił zdanie i ramię powędrowało w dół. Wreszcie spogodniał.

-Jeśli jest rano, na pewno macie ochotę na śniadanie! Jajka na bekonie, a nie jakieś tam brzoskwinie!

-Właściwie to jesteśmy najedzone - odparła Kara. - Chciałybyśmy tylko łyknąć trochę świeżego powietrza. Strasznie tu ciemno i zimno, chętnie popatrzyłybyśmy na słońce. Nie pogniewaj się, ale opuścimy cię na minutkę.

-No - dodała Alice. Anna podziękowała jej w myślach.

-Świeże powietrze - powtórzył Leod, obracając słowa językiem jak cukierka. - Raczej nie. Słońce jeszcze nie wstało i wciąż pada. Poczekajmy na Jume'a. Będzie wściekły, jeśli przegapi waszą wizytę.

-Ale my naprawdę chcemy wyjść.

Leod okazał zdenerwowanie.

-Ale ja nie mogę was puścić. Nie przed powrotem Jurne'a.

-Leod, muszę się załatwić - powiedziała kategorycznie Erica. - Chyba nie chcesz, żebym popuściła na podłogę, co? Muszę wyjść, nie ma rady.

Leod tylko się uśmiechnął.

-Pierwsza jaskinia po prawej. Moja ubikacja. Dobrze, że jej nie wybrałyście. Fuj. Korzystam z niej, kiedy pada. Nawet mam tam papier.

Anna poczuła bezsilną rozpacz. Planowały ucieczkę, lecz bliskość mężczyzny całkowicie wykluczyła tę opcję. Która pobiegłaby pierwsza? Pewnie nawet nie zdążyłyby dobiec do wyjścia.

-Nie masz prawa - powiedziała Alice, występując do przodu.

-Przymknij się, Alice - szepnęła Erica. - Nie mów tak do niego.

-Zachowujesz się jak idiota - ciągnęła Alice, podchodząc do Leoda. Była albo bardzo odważna, albo bardzo głupia. Anna wiedziała, który wariant wybrać. - Jesteś nienormalny czy co?

Anna nie wierzyła własnym uszom i zastanawiała się, czy Alice przypadkiem nie straciła rozumu.

-Alice... - zaczęła Stacey, ale było już za późno. Alice rzuciła się do wyjścia. Leod wykonał nagły zwrot, znacznie szybciej, niż wskazywałaby na to jego budowa oraz pozorna niezdarność, i rzucił na wprost zjedzoną kanapkę.

Alice biegła i wydawało się, że dopnie swego, lecz Leod błyskawicznie zastąpił jej drogę. Korzystając z zamieszania, pozostałe dziewczęta również puściły się biegiem, ale mężczyzna szarpnął Alice i postawił ją przed sobą, skutecznie odcinając im jedyne wyjście. Anna uskoczyła pod ścianę, byle jak najdalej od Leoda. Potknęła się o własne buty i niewiele myśląc, porwała je z podłogi. Dziewczęta darły się jedna przez drugą, podobnie jak Leod.

Alice próbowała atakować, a wtedy mężczyzna uderzył ją pięścią w czubek głowy. Zrobił to tylko raz, lecz głuchy odgłos potoczył się po jaskini donośnym echem i Alice padła na ziemię twarzą w dół, trzymając się oburącz za głowę.

-Mówiłem, żebyście się stąd nie ruszały! - wrzasnął. Dziewczęta zamarły bez ruchu, spoglądając na niego z mieszaniną obrzydzenia i strachu. - Nie rozumiałyście? - Alice wiała się na podłodze. Leod potoczył wzrokiem po pozostałych dziewczynach. - Widzicie, do czego mnie zmuszacie?

-Zrobiłeś jej krzywdę - wymamrotała z przerażeniem Stacey.

-Ostrzegałem ją - odparł Leod. - Gdyby mnie posłuchała, nic by się nie stało. Po co próbowała uciekać? Jurne będzie wściekły.

Anna zrozumiała, że wpadły w łapy szaleńca, który nigdy nie pozwoli im odejść. Nikt nie wiedział, gdzie są, dlatego nie miały co liczyć na pomoc. Uświadomiła sobie, że snajper mógł to wszystko od początku zaplanować i zastrzelił Adlera, żeby je następnie wytropić, jedną po drugiej, jak zwierzynę.

Alice podczołgała się po podłodze w kierunku śpiworów i porzuconej odzieży. Kiedy dotarła do ściany, Stacey uklękła obok, aby jej pomóc. Leod nerwowo przestąpił z nogi na nogę.

-Nic jej nie jest - powiedział niepewnie.

-Mogłeś ją zabić - odparła Stacey. Głos drżał jej lekko, z trudem kryła strach. Anna nie mogła się nadziwić, że w ogóle coś powiedziała.

- Do wesela się zagoi. - Leod popatrzył na rozlane piwo. - Ty, z tatuażem - rzucił zniechęcająco, spoglądając na Ericę. - Nie pamiętam imienia.

-Erica.

-Właśnie. Przynieś mi drugie piwo. Wiesz, gdzie jest. - Było oczywiste, że nie zamierza się ruszyć z przejścia. - Jazda.

Erica z ociąganiem podeszła do stosu puszek i wzięła jedną.

-Przynies - powtórzył Leod. - Nic ci nie zrobię.

Erica podeszła do Leoda i podała mu piwo. Leod otworzył puszkę, a dziewczyna uciekła z powrotem pod ścianę. Mężczyzna wypił łyk i oblizał usta, po czym jego spojrzenie znów spoczęło na Karze. Anna cieszyła się, że nie padło na nią; zawarty w nim komunikat był aż nadto czytelny. Ukradkiem wciągnęła buty.

-Bardzo mi przykro, że uderzyłem twoją koleżankę - powiedział do Kary. - Naprawdę nie chciałem. Musisz poprawić mi humor. Chodź tutaj i pocałuj mnie. - Rzucił to tak nonszalancko, iż Anna myślała, że się przesłyszała.

Kara musiała pomyśleć to samo.

-Co?

-Chcę pocałunek na poprawę humoru. Od ośmiu lat nie całowałem dziewczyny. Teraz ty mnie pocałujesz, i to w usta.

-Nie ma mowy - odparła bez namysłu Kara. Zaraz pożałowała swej kategorycznej odmowy, ale było już za późno.

Twarz Leoda przeciął grymas bólu.

-Tak! Pocałujesz! I to zaraz! - Lewa dłoń zwinęła się w pięść.

-Hej, Leod - zawołała Stacey, próbując odwrócić jego uwagę.

Zerknął w jej kierunku.

-Co tam?

-Co powiesz na małą wymianę?

Anna zastanawiała się, co Stacey zamierza. Była mądra, prawdopodobnie najmądrzejsza z nich wszystkich. I jeśli w ogóle zdołają opuścić jaskinię, to na pewno dzięki niej.

-Zamieniam się w słuch.

-Jeśli my zrobimy coś dla ciebie, może ty mógłbyś zrobić coś dla nas. - Jej ciemne oczy rozbliły.

-Co masz na myśli?

-Cóż, jeśli chcesz pocałunek, może mógłbyś się za niego odwdzińczyć.

-Ty nie będziesz mnie całować. Jesteś brzydka, a w dodatku za chuda.

-Chcesz pocałunek od Kary. Co dla nas zrobisz, jeśli Kara pocałuje cię w usta?

Kara wyglądała, jakby zaraz miała zwymiotować.

-W życiu - szepnęła do Stacey, nim Leod zdążył odpowiedzieć. - Wybij to sobie z głowy.

Leod usłyszał i zrobił minę skrzywdzonego. W blasku świecy zmarszczona brew uwydatniała wgłębienie na czole.

-Zastanów się, Kara - powiedziała Stacey tym samym łagodnym tonem. - Jeśli wyświadczysz Leodowi przysługę, on odpowie nam tym samym. - Mówiła głośno i wyraźnie, tak aby Leod zrozumiał. Skulona Alice pojękiwała w kącie, lecz dziewczęta nie zwracały na nią uwagi.

-Czy to nie byłoby miłe? - ciągnęła Stacey. - Co mógłbyś dla nas zrobić, Leod? Nie wypuściłbyś nas na chwilę? Dosłownie na minutę lub dwie?

Leod pograżył się w głębokim namyśle.

-Wymiana, powiadasz. To jakaś gra, tak? Dobry pomysł, ale żeby was wypuścić, potrzebuję czegoś więcej niż pocałunek. - Urwał. - Dużo więcej.

Anna zobaczyła, jak Karą wstrząsa mimowolny dreszcz.

Stacey nie dawała za wygraną.

-Co chcesz przez to powiedzieć?

-No wiesz. Wszystko.

Anna poczuła falę gwałtownej odrazy.

-Wszystko?

-Seks.

Stacey zachowała kamienną twarz.

-Wtedy nas wypuścisz?

Leod uśmiechnął się z rozmarzeniem.

-Jasne.

-Obiecujesz?

-Macie moje słowo.

-Nie zrobię tego - oświadczyła głośno Kara. - Nie zmusicie mnie. Wołałabym umrzeć. - Anna pomyślała bezlitośnie, że Kara nie wygląda już tak ładnie jak przedtem. Na twarzy dziewczyny malował się zwierzęcy strach. Łza spłynęła jej po policzku; otarła ją ze złością.

Stacey popatrzyła na Karę spode łba, po czym znów zwróciła się do Leoda. Mężczyzna przypominał tłustego, dobrodusznego Budę, który postradał zmysły.

-Jeśli dostanę Karę, wypuszczę was wszystkie -oznajmił. - Jurne zrozumie. Od wypadku nie byłem z kobietą. Nie lubią mnie, bo śmiesznie wyglądam i dziwnie się zachowuję. Wicie, straciłem kawałek mózgu. Lekarze nie dawali mi szans.

-My cię lubimy - odparła Stacey, jakby przemawiała do dziecka. - Ale jeśli Kara nie chce się kochać? Wiesz, seks to dla dziewcząt nie byle co. Może wymyślimy coś innego.

-Nie - odpowiedział zdecydowanie Leod. - Tylko bez wykrętów. Obiecałaś, a ja się zgodziłem. Wezmę ją, czy tego chce czy nie.

Erica wystąpiła do przodu. Dotąd milczała, ale teraz zabrała głos.



-Ja to zrobię, Leod - powiedziała. - Jeśli chcesz. To dla mnie nic wielkiego. - Zignorowała koleżanki, które patrzyły na nią z otwartymi ustami. -I co?

-Leod, musimy porozmawiać - ubiegła go Stacey. -My, dziewczęta. Dasz nam chwilkę?

-Pewnie. - Napił się piwa i zamrugnął czarnymi oczami.

Dziewczęta stanęły po przeciwnej stronie, z dala od Leoda i upragnionego tunelu. Alice wciąż leżała na podłodze. Jej stan był poważny, ale nie było czasu, żeby o tym myśleć.

-Erica, jemu nie można ufać - szepnęła Stacey. - On nie ma zamiaru nas wypuścić. Co ty sobie wyobrażasz?

-Tak, musimy wymyślić coś innego - dodała Anna, starając się nie okazać, jak bardzo wstrząsnęła nią propozycja Eriki. - Może wróci ten cały Jurne i nas uratuje.

-Wy nic nie rozumiecie - odparła Erica. - Chcę uspić jego czujność i dokopać mu w jaja. Zrobiłam tak z jednym gościem, który się przystawiał, i chyba mu coś uszkodziłam. Z Leodem będzie to samo.

-Może się udać. A jeśli ci odda?

-I tak siedzimy po uszy w gównie.

-Mogłybyśmy skoczyć na niego jednocześnie - podsunęła Kara. - Złapać puszki i walnąć go w głowę. I tak nie najlepiej wygląda.

-Musiałybyśmy poczekać na właściwy moment.

-Kiedy na mnie wlezie - nalegała Erica. - Zrobicie to wtedy. Walnijcie go w głowę, kiedy będzie miał odwróconą uwagę, a ja dokopię mu w jaja. Wtedy uciekniemy. - Anna uznała plan za zbyt ryzykowny, ale nie miały czasu wymyślić nic innego.

-Dosyć gadania - zawołał Leod. - Pora na pieśczotki.

-I co powiesz na mnie? - odwrzasnęła Erica. - Omówiliśmy to. Kara uważa cię za brzydala, ale ja nie.

-Nie?

-Nie, moim zdaniem jesteś całkiem rozkoszny. Masz mnie całą. Pasuje? A potem pozwolisz nam wyjść.

-Seks. Z tobą? - Leod wyglądał, jakby rozważał jakąś niestęchanie istotną transakcję. Wreszcie wyszczerzył zęby. - Dobra, dziewczyno z tatuażem. Nie jesteś taka zła. Idziemy na całość, tak?

-Tak. Ale tylko jeśli nas potem wypuścisz.

-Jasne, jasne. Wypuszczę was.

Erica zdjęła koszulkę, ukazując stanik upstrzony plamami potu i błota. Odwróciwszy się, wyszeptała:

- Jak zacznie mnie całować, łapcie za puszki. I walcie ile wlezie. - Następnie uśmiechnęła się sztucznie i podeszła do Leoda.

Anna wiedziała, że ich plan miał niewielkie szanse na sukces, ale nie przychodziło jej do głowy nic lepszego. Musiały dać z siebie wszystko. Nie miała pojęcia, jak zdoła odplacić Erice za jej poświęcenie.

Erica usiadła na śpiworze pośrodku jaskini.

-Podejdz tu, Leod. - Wyprostowała nogi w żalosnej imitacji prowokującej pozy. - I jak ci się podobam? - Rozpięła spodnie i powoli zsunęła je do kostek. Leod podkuśtykał bliżej i popatrzył na nią z góry, zapominając o tunelu. Ukląkł i wielką łapą pogładził Erice po brudnych włosach. Następnie pocałował ją, przygniatając jej ciało swoim cielskiem.

-Teraz - szepnęła Stacey i wszystkie trzy chyłkiem ruszyły w stronę puszek. Alice pozostała na swoim miejscu.

Anna usłyszała za sobą natarczywy szept Kary:

- Patrzcie! - Leod wisiał nad Ericą na czworakach. Wejście do tunelu stało otworem. - Teraz możemy się wymknąć! Uciekajmy!

Anna zrozumiała, że oto spełniają się jej najgorsze obawy: stanęła przed wyborem moralnym, który miał jej uświadomić, jakim tak naprawdę jest człowiekiem. Czuli, że powinna postąpić zgodnie z planem, lecz w gruncie rzeczy prawie nie znała Eriki i jej własne życie wisiało na włosku. Ale czy mogłaby żyć ze świadomością, że opuściła koleżankę?

-Ja idę! - syknęła Kara i nie czekając na odpowiedź, skoczyła ku wyjściu. Wówczas zdarzyło się coś zgoła nieoczekiwanego. Leod musiał dostrzec na ścianie jej cień, gdyż w jednej chwili poderwał się z krzykiem.

-Nie! - wrzasnął i rzucił się za nią. Chwyciwszy dziewczynę za prawą stopę, zbił ją z nóg. Następnie wczołgał się na nią i nie zważając na jej wrzaski, przygniół swoim ciężarem. Była to scena jak z horroru.

-Chodu! - krzyknęła Erica i Anna zrozumiała, że wciąż może uciec. Erica minęła Karę i Leoda, po czym wpadła do tunelu i błyskawicznie znalazła się na ze wnątrz.

Anna poszła w jej ślady. Stacey biegła tuż za nią. Nie wiedziała, co Leod robi Karze i czy Alice była w stanie uciekać, lecz i tak nie mogłaby im pomóc. Czepiając się palcami wapiennych ścian, pędziła wąskim tunelem ku wolności.

Kiedy już, już miała wypaść na zewnątrz, usłyszała krzyk Eriki.

-Anna! Uważaj, tu ktoś jest!

-Jezu! - krzyknęła, po czym straciła równowagę i upadła. Erica zdążyła uciec, lecz Anna nie dała rady w porę wstać. Między drzewami mignęły jej plecy uciekającej koleżanki, po czym na jej drodze wyrósł cień. Nie pozostawało jej nic innego, jak rzucić się z powrotem i wpaść do jaskini, przewracając przy tym nieszczęsną Stacey.

Zobaczyła, że Leod wciąż leży na Karze. Była to koszmarna scena. Dziewczyna miała podarte ubranie i twarz wciśniętą w ziemię. Leod trzymał ją za głowę, usiłując stłumić jej krzyki. Miał zsunięte spodnie; na jego czerwonej twarzy malował się wyraz wzmożonego napięcia. Kiedy dziewczęta wbiegły z powrotem do jaskini, ze zdziwieniem podniósł głowę.

To ci dopiero zdjęcie, pomyślała Anna. W sam raz na szkolną wystawę.

-Leod! - zabrzmiał czyjś ostry głos. Mężczyzna, który uniemożliwił Annie ucieczkę, wyszedł z tunelu i rozejrzał się po jaskini. - Co tu się dzieje, ty kurzy mózdzku? Co tu robią te dziewczyny?

Leod w panice zeskoczył z Kary. Niezdarnie próbował podciągnąć spodnie.

-To nic, tylko się nie wściekaj - rzucił błagalnie. - Trochę zaszałam. Proszę, Jurne. Nie gniewaj się. - Czapka spadła mu z głowy, ukazując liczne wgłębienia, tak jakby czaszka mężczyzny uległa destrukcji, po czym została złożona do kupy. - Przepraszam, Jurne, bardzo przepraszam.

-Ależ wcale się nie gniewam - odparł tamten, zdejmując kurtkę przeciwdeszczową. Był niski, o połowę niższy od Leoda. Musiał mierzyć jakieś pięć stóp i cztery cale. I podczas gdy Leod był rozlazły i sflaczały, nowo przybyły składał się z samych mięśni i ścięgien. Nosił czapkę i był ubrany podobnie jak Leod, w spodnie khaki i taką samą kurtkę. Miał ostre rysy oraz zarosnięty podbródek i policzki. Nie sprawiał miłego wrażenia. Jego wąskie wargi nosiły barwę intensywnej czerwieni, tak jakby pociągnął je szminką.

Popatrzył na dziewczęta i bałagan panujący w jaskini. Następnie przeniósł wzrok na leżącą Karę i Leoda.

-Chyba masz mi coś do wyjaśnienia - powiedział do niego z uśmiechem.



# JURNE

- Próbował ją zgwałcić - powiedziała Stacey, wskazując na Leoda. Kara dźwignęła się na kolana, próbując wstać, płakała. -I zrobiłby to, gdyby pan mu nie przeszkodził.

-To wariat - dorzuciła Anna. - Musi pan nam pomóc.

Jurne podniósł ręce, jakby próbował je uspokoić.

-Ja nic nie muszę - odparł wreszcie. Anna uświadomiła sobie, że jest dużo niższy od niej, nawet w butach. Ale i tak budził jej strach.

-Przyszły tu - powiedział Leod. Odsunął się od Kary. Jego spodnie w dalszym ciągu tkwiły na wysokości kostek. - Sam mówiłeś, że jeśli ktoś przyjdzie, mam go zatrzymać do twojego powrotu. Zrobiłem, co kazałeś.

-Dobra robota - odrzekł sarkastycznie Jurne. - No i zaszalałeś. - Mówił zabawnie, akcentując co drugie słowo, co nadawało wypowiedzi nieco śpiewny ton. Zlustrował dziewczęta od stóp do głów. - Ależ wy wyglądacie. Usmarowane jak nieboskie stworzenia. Skąd wyście się urwały?

-Z wycieczki szkolnej. - Stacey zachowała zimną krew.

Jurne okazał powątpiewanie.

-Na Andros są tylko dwie szkoły, obie dla miejscowych.

-Jesteśmy z obozu - wyjaśniła Stacey. - Z Archstone. Poszliśmy na wycieczkę i zgubiłyśmy się po drodze. Potrzebujemy pańskiej pomocy.

-Kłamiesz. - Ani w głosie, ani w oczach Jurne'a nie było złości. Ścisłe rzecz biorąc, jego oczy wyrażały całkowitą pustkę. Oblicze mężczyzny przypominało maskę stworzoną na podobieństwo ludzkiej twarzy, lecz z pominięciem jakichkolwiek emocji. Miał nieruchome oczy rekina, lśniące złowrogo w blasku świecy. -Czy Leod zrobił komuś krzywdę? - Popatrzył na Karę.

-Oprócz niej.

-Uderzył Alice w głowę.

-Czasami mu odbija. Nie jest w stanie tego kontrolować. Opowiedział wam o wypadku? Mówił, dlaczego tu jesteśmy?

-Nie.

Badawcze spojrzenie.

-Jesteś pewna?

-Mówimy prawdę - wtrąciła Anna. Na domiar złego Jurne był paranoikiem.

Leod wystąpił do przodu.

-Aaron...

-Nie używaj mojego prawdziwego imienia, do cholery. - Jurne nawet nie podniósł głosu. - I bądź łaskaw zapiąć rozporek. - Jurne przeniósł wzrok na dziewczęta i wskazał na Leoda. - Założę się, że powiedział wam dużo niepotrzebnych rzeczy.

Anna i Stacey potrząsnęły głowami.

-Zawsze rozpoznam kłamcę. Zawsze. Podświadomie kieruje wzrok na lewo. Wiecie, czym się tu zajmujemy, prawda? Nie ma sensu ukrywać prawdy.

-Leod nic nam nie mówił.

-Przepraszam - powiedziała Anna, stwierdzając z niezadowoleniem, że jej głos brzmi bardzo piskliwie.

-Czy mógłby pan pomóc nam się stąd wydostać? Nie chcemy sprawiać kłopotu. Musimy tylko dotrzeć na wybrzeże, do miasta. Nie obchodzi nas, co robicie. Chcemy jedynie wrócić do domu.

-Czy ktoś was przysłał?

-Nie. - W głowie Anny roilo się od najczarniejszych scenariuszy. Może ci dwaj byli zbiegami, którzy ukrywali się na Andros? Miała nadzieję, że Erica wkrótce dotrze do wybrzeża i w porę sprowadzi posiłki.

-Nikt nas nie przysłał - powiedziała Stacey. - Po prostu się zgubiłyśmy.

Jak tu przekonać kogoś, kto się uparł, żeby nam nie wierzyć, pomyślała Anna.

-Proszę, wypuście nas. Nie wiemy nawet, jak się nazywacie. Przecież właściwie nie stało się nic złego. Nie piśniemy na wasz temat ani słowa.

-A co z nią? - zapytał Jurne, wskazując na Karę, która siedziała na podłodze i płakała. - I z nią? - Alice cicho leżała w kącie. - Myślicie, że długo będą milczeć? - Zaciśnął usta w wąską kreskę. - Poza tym jedna z was uciekła. Będę musiał ją znaleźć. Nie zna lasu, nie odejdzie daleko. Nie mogę ryzykować, że zaczniecie sypać.

-Mogłybyśmy coś wymyślić - błagała Anna.

-Usłyszycie zbyt wiele pytań. Puśćcie parę.

-Mówiły okropne rzeczy - wtrącił Leod. - Sprowokowały mnie. Nie wściekaj się, Jurne. Tak strasznie mi przykro. Próbowaly mi uciec.

Jurne przygwoździł go wzrokiem. Pomimo różnicy wzrostu budził w towarzyszku paniczny strach.

-I po co nam to było, Leod? - powiedział. - Bracia Mendoza mają tu być za godzinę.

Leod nerwowo załamał ręce.

-Nie było cię. Spóźniłeś się. Nie wiedziałem, co robić.

Bracia Mendoza, pomyślała Anna. Co to za jedni? I cóż to wszystko miało znaczyć?

-Byłem na polowaniu - wyjaśnił Leodowi Jurne. - Polowałem na grubą zwierzynę. Te małe miały szczęście. Dzisiaj wszystko, co się rusza w promieniu trzydziestu mil, dostaje kulkę. - W jego ręku błysnął srebrny pistolet. Anna wytrzeszczyła oczy. Skąd on go wytrzasnął? W jednej chwili dłoń była pusta, po czym ni stąd, ni zowąd pojawiła się broń. Jurne uśmiechnął się na widok jej reakcji.

-Nie musi pan robić nam krzywdy - rzuciła błagalnie Stacey. - Bądźmy rozsądni.

-Krzywdy? - powtórzył Jurne, machając pistoletem. Anna uświadomiła sobie dotkliwie, że to wszystko dzieje się naprawdę. - Niezły pomysł, ale ja mam lepszy. Bracia Mendoza nie znoszą widoku krwi, nie będę ich straszył. Cztery ciała to o cztery za dużo, dlatego na razie pozostawię was przy życiu, ale zostanieie u nas. Posiedzicie w jednej z jaskiń, a Leod was przypilnuje. Jeśli jednak usłyszę choćby szmer, pożałujecie, że w ogóle przyszłyście na świat. Potem zobaczymy, co dalej. - Wskazał na Alice i Karę. - A teraz podnieście te dwie, pronto.

Gdy Alice i Kara stanęły na nogach, podtrzymywane przez Stacey i Annę, zapędzono je do jednej z grot. Była to jaskinia druga po lewej, sąsiadująca z ich niedawną kryjówką. Leod i Jurne szli za dziewczętami, świecąc lampą oraz latarką. Anna przypomniała sobie Adlera dyszącego jej w kark. Tu było podobnie, tylko sto razy gorzej. Czy tamta wycieczka rzeczywiście odbyła się zaledwie cztery dni temu? Niemożliwe.

Anna musiała powtarzać sobie w duchu, że to nie żart ani fragment filmu sensacyjnego. W filmie wszystko miałoby ręce i nogi oraz pomyślne zakończenie, na które tu się niestety nie zanosilo.

Jurne poprowadził je tunelem do kolejnej zagraconej jaskini. Następnie kazał im usiąść wokół lampy na wilgotnej podłodze.

-Pamiętajcie, ani mru-mru. I żadnych ucieczek. Bo od razu będzie po was. Zabicie człowieka to dla mnie pestka, wystarczy tylko pociągnąć za spust. Pif-paf i po krzyku, jasne?

Dziewczęta pokiwały głowami. Kara wytarła oczy.

-Leod was przypilnuje. Ja znajdę waszą koleżankę i oczyszczę teren na przyjęcie gości. - Wychodząc, zerknął na Leoda. - Nie tykaj żadnej z nich, chyba że na to zasłużą.

Dziewczęta znów zostały same z Leodem. Zdane na łaskę szaleńca, pomyślała Anna. Po wyjściu Jume'a Leod ponownie wlepił wzrok w Karę, która siedziała wciśnięta w ścianę, byle jak najdalej od niego. Alice wyglądała na półprzytomną. Istniało prawdopodobieństwo, że doznała wstrząśnienia mózgu. Odkąd otrzymała cios, była niepokojąco cicha. Anna czujnie obserwowała Leoda wpatrzonego w Karę błyszczącymi oczyma. Nikt nie odzywał się przez dłuższą chwilę.

-Rany, Jume jest zły - oznajmił wreszcie Leod. -Nie lubię, kiedy się na mnie wścieka. Jesteśmy przyjaciółmi. - Westchnął. - Nie czuję się zbyt dobrze. -Zwrócił do Stacey okaleczoną twarz. - Możemy zrobić jeszcze jedną wymianę? Pójść na kolejny układ?

-Nie. Koniec z układami - odparła Stacey.

-Dlaczego?

-Bo jesteś nienormalny - wypluła Kara.

-I łamiesz zasady - dodała Stacey.

Leod spłoszył się z lekka.

-Właśnie, że nie. Obiecałyście mi pocałunek. Od Kary.

-Nie, Leod. Dobrze wiesz, że tak nie było. Poza tym połączyłeś się na dużo więcej niż pocałunek, no i uderzyłeś Alice.

-Ale ja nie chciałem.

-Chciałeś - syknęła z bezpiecznej odległości Kara, błyskając wściekle oczami. - Jesteś potworem. Próbowalesz mnie zgwałcić.

-Nie, nie, ja tylko całowałem - upierał się nedorzecznie Leod. Napotkawszy nieustępliwe spojrzenia dziewcząt, odwrócił wzrok. - Bądźcie cicho, bo oberwiecie. Pokażę wam, kto tu rządzi.

-Istny potwór, nie ma co - ciągnęła Kara. -I Jurne o tym wie. Brudny, stuknięty potwór. Dlatego trzyma cię w jaskini, jak jakieś zwierzę.

-Jurne też tu mieszka. On mnie kocha. Kocha i opiekuje się mną. - Leod rozsierdził się na dobre. -Ufa mi. Powiedział, że po wypadku do niczego się nie nadawałem. Zacząłem pracować dla niego. Dawał mi specjalne zadania do zrobienia. Nie rozumiecie?

-Nie.

-Kara, przestań go prowokować - upomniała Stacey. - Zobacz, co zrobił Alice.

-Przynajmniej nie próbował jej zgwałcić! - wrzasnęła Kara. - Potwór!

-Kara, proszę - błagała Stacey, ale było już za późno.

Leod skoczył na równe nogi, waląc głową w niski pułap.

-Jume mnie kocha! Opiekuje się mną! Jestem jego numerem jeden!

Anna usłyszała pospieszne kroki.

-Leod - powiedział Jume. Wyglądał na niemal zasmuconego. - Chodź ze mną. Denerwujesz je. Dziewczęta, wystawicie na próbę moją cierpliwość. Naprawdę nie chcę was skrzywdzić, ale jeśli będę musiał, rozwałę wam głowy. Decyzja należy do was. - Urwał. -

Przy okazji, zająłem się waszą koleżanką.

Anna nie wiedziała, czy Jume mówi prawdę, ale przeraziła się nie na żarty.

-Będziemy cicho - obiecała Stacey.

-Dobrze. Idziemy, Leod. - Jume wyszedł i Leod podążył za nim, oglądając się na Karę. Dziewczęta zostały same.

-Kara, weź się w garść - powiedziała Anna. - Ci faceci to kryminaliści, handlarze narkotyków albo coś jeszcze gorszego. Może terroryści. Musimy uciec, zanim nas zastrzelą.

-Stąd nie ma ucieczki - odrzekła z rozpaczą Kara. -Utkniemy tu na zawsze.

-Moja głowa - wymamrotała Alice. Dziewczęta popatrzyły w jej stronę. -Tak bardzo mnie boli.

-Wyłizesz się - zbyła ją Stacey. Miały teraz ważniejsze problemy. Odwracając się do pozostałych, dodała: -Słuchajcie, gdyby mieli nas zabić, już by to zrobili. Przemysł narkotyków, czy co oni tam knują, to nie to samo co morderstwo z premedytacją.

-Zastrzelił Adlera, nie? I Laure? Może Erice też.

-Nie mamy pewności.

Anna podejrzewała, że nadmierny optymizm Stacey miał po pierwsze zatuszować strach, a po drugie nakłonić je do zachowania spokoju. Nic nie mogło powstrzymać Jume'a od zabicia ich wszystkich i pozostawienia ciał w jaskini.

-Nie mam zamiaru tutaj umrzeć - oświadczyła Stacey, odpierając spojrzenia koleżanek. - Nasze doświadczenia to tylko jeden wielki test. Znacznie trudniejszy od przewidzianego w Archstone, ale wciąż test. Jeśli będziemy trzymać się razem i obmyślimy plan działania, wyjdziemy z tego cało.

-Dzięki za słowa otuchy - odparła sarkastycznie Kara. - Niepotrzebnie się łudzisz. - Jednak uspokoiła się nieco, może za sprawą słów Stacey albo nieobecności Leoda.

-Niedobrze mi - stęknęła Alice, po czym hałaśliwie zwymiotowała w kącie. Smród wymiocin wkrótce wypełnił ciasne pomieszczenie.



Anna słyszała echo głosów Jume'a i Leoda. Chyba coś przestawiali. Kimkolwiek byli bracia Mendoza, raczej nie mogły liczyć na ich pomoc. - Co oni według ciebie tam robią? - spytała, zwracając się do Stacey.

-Pewnie chodzi o przemyt narkotyków, ale nie jestem pewna.

Anna miała ochotę się roześmiać. Sytuacja przypominała scenę z kiepskiego serialu kryminalnego.

-Są za głupi, żeby kierować czymś na szerszą skalę - zauważyła Kara. Powoli dochodziła do siebie po ataku Leoda.

-Sama nie wiem, co myśleć - powiedziała Anna. Na chwilę schowała twarz w dłoniach. Skoro Jurne ich nie zastrzelił, może były mu potrzebne do innych celów.

-Postaw się w ich sytuacji - dodała Stacey. - Morderstwo kosztuje ich więcej zachodu niż pozostawienie nas przy życiu.

Anna nie była przekonana. Chyba tym razem się nie uda, pomyślała niewesoło. Widziała twarze obu mężczyzn i bez trudu opisałyby ich na policji. Czy Jume zechce ryzykować? Wykluczone. Obaj z Leodem na pewno najpierw je zgwałcą, a potem zabiją.

Mijał czas. Ciasna przestrzeń uniemożliwiała zajęcie wygodnej pozycji. Alice leżała na boku, z zamkniętymi oczyma, oddychając płytko. W pewnej chwili głosy w jaskini przybrały na sile i Anna zrozumiała, że nadeszli wyczekiwani goście Jume'a.

Długotrwały strach wprowadził ją w całkowite ośpienie. Mężczyźni zabiją je albo wypuszczą. Nie miała wpływu na rozwój wydarzeń, co dało jej osobliwe poczucie wolności. Podobnie czuła się tuż przed aborcją, kiedy wraz z wujem wysiadła przed kliniką i zobaczyła rozkołtysane transparenty demonstrantów.

Holocaust aborcyjny, głosił napis. Grzesznicy na kolana! Rzeź niewinności! Na niektórych transparentach widniały krwawe ilustracje i zdjęcia. W drodze do kliniki Anna nie mogła powstrzymać się od łez, co prowokowało wuja do dodatkowych złośliwości.

-Mają rację - powiedział, kiedy mijali skandujący tłum. W obawie, że ktoś go rozpozna, włożył ciemne okulary i postawił kołnierz. Ojciec kazał mu towarzyszyć Annie. - Aborcja to straszny grzech, Anno. Być może Bóg nigdy nie wybaczy tobie ani twojej rodzinie. Jeśli trafię do piekła, to będzie twoja wina, tylko twoja.

Miała ochotę wyznać mu prawdę, ale wówczas pan Spate poszedłby do więzienia, Ryan by ją rzucił, a ojciec znalazłby sposób, by zwalić na nią całą winę.

W sali zabiegowej było jasno i zimno, zwłaszcza że Anna miała na sobie tylko cienką, niebieską koszulkę związaną tasiemkami na plecach. Wyniosła pielęgniarka zadała Annie

szereg obcesowych pytań, tak jakby nie miała nawet do czynienia z człowiekiem. W pewnym sensie było to gorsze niż demonstranci.

Kazano jej się położyć i dostała jakieś proszki. Nie wie, co było potem. W drodze powrotnej siedziała z żółtym ręcznikiem na kolanach i wymiotowała przy wtórze fragmentów z Biblii cytowanych przez wuja.

Od tamtej pory towarzyszyło jej potworne poczucie winy, tak jakby spadała w dół bezdennej studni. Nie chciała urodzić dziecka, lecz nie chciała też usuwać ciąży. Nie mogła otrząsnąć się z rozpacz. Zaczęła pić, uciekać z domu, brać narkotyki. Byle zagłuszyć ból.

- Posłuchajcie - szepnęła Stacey, przywołując Annę z powrotem do rzeczywistości. Głosy na zewnątrz przybrały na sile, zdawało się, że jest ich bardzo dużo. Anna pomyślała, że skoro mężczyźni trafili do jaskiń, nieopodal musiała przebiegać ścieżka lub droga. Jeśli kiedykolwiek odzyskają wolność, mogłyby ją znaleźć i wydostać się z lasu.

Usłyszała głos Jume'a, następnie inny, grubszy, a potem jeszcze jeden. Nie wiedziała, czy mówią po hiszpańsku, czy angielsku. Z groty dobiegł śmiech Jume'a. Zniekształcone przez echo słowa brzmiały tak, jakby mężczyźni znajdowali się pod wpływem alkoholu lub narkotyków. Anna wytężyła słuch, gdyż od tego zależało jej życie. Cokolwiek robili, miała nadzieję, że niedługo skończą. Miała serdecznie dosyć przemocy.

Mężczyźni podnieśli głosy; zrozumiała, że się kłócą. Usłyszała trzask, a potem okrzyk bólu. I śmiech.

-Co się dzieje? - szepnęła Kara. Przerażone dziewczęta bały się odpowiedzieć.

Ktoś krzychał; z jaskini dobiegało przenikliwe zawodzenie przypominające wycie rannego zwierzęcia. Naraz padł strzał, a potem drugi, niczym wybuchy petardy. Zwielokrotniony echem huk niemal pozbawił Annę słuchu. Złapała Stacey za rękę.

-Boże - powiedziała mimowolnie na cały głos, lecz nie słyszała samej siebie. Stacey przycisnęła jej rękę do ust. Kara wytrzeszczyła oczy ze strachu. Dziewczęta zamarły bez ruchu.

Odzyskując słuch, Anna usłyszała ściszone głosy. Nie należały do Jume'a ani Leoda. Co się stało? Domyślała się, co teraz będzie. Jeśli nieznajomi przeszukają groty, dziewczęta najprawdopodobniej zginą. Odliczając w napięciu minuty, pożałowała, że nie wierzy w Boga, bo przynajmniej mogłaby się pomodlić. Dotychczasowe przeżycia na Andros niestety tylko utwierdzały ją w ateizmie.

Usłyszała, jak tamci wynoszą coś z jaskini. Zabrział głośny śmiech. Następnie zapadła cisza. Mijały godziny. Dziewczęta siedziały w ciasnej grocie, chcąc się upewnić, że mężczyźni na pewno wyszli.

-I co robimy? - rzuciła niemal bezgłośnie Anna. Kara odpowiedziała jej otepiałym ze strachu spojrzeniem.

-Czekamy - odszepnęła Stacey.

Wreszcie zebrały się na odwagę, aby opuścić kryjówkę i na zdrętwiałych nogach przeszły do głównej jaskini. Tam czekała na nie straszna niespodzianka, istne dzieło przemocy wymalowane na wapiennych ścianach. W pomieszczeniu nadal płonęły świece, nie pozostawiając wątpliwości co do niedawnych wydarzeń.

Leod siedział na plastikowym krześle na wprost nich; większa część jego głowy powyżej oczu przestała istnieć. Anna odwróciła wzrok. Kula musiała wejść od tyłu i rozerwać czoło. Woń palonej gumy i zwęglonego mięsa potęgowała straszliwy efekt.

Mimo że próbowała nie patrzeć, zobaczyła na podłodze ciało Jume'a. Oberwał kilkakrotnie w klatkę piersiową i leżał na wznak, z otwartymi oczami, które zachowały wyraz, jaki miały za życia, przez co mężczyzna nadal budził strach. Spoczywał w kałuży krwi. Na ścianach widniały liczne plamy. W żółtym blasku świec wydawały się niemal czarne.

-Nie żyją - powiedziała Anna. Dzwonienie w uszach nie minęło. - Zabili ich. - Szerokim łukiem ominęła krzesło Leoda.

Stacey przyklękła obok Jume'a.

-Wolę się upewnić.

Anna nie chciała patrzeć na zwłoki, budziły w niej jednak mimowolną fascynację. Czuła, jakby coś w niej pękło, jakby śledziła z góry własne poczynania. Przeszło jej przez myśl, że rozwalona głowa Leoda w sam raz nadawałaby się na kolejną fotkę. Pan Spate zapewne doceniłby symetrię pomiędzy porowatymi ścianami a zgruchotaną czaszką. Anna zastanawiała się, czy nie popada w obłąd. Podeszła do Stacey, która przetrząsała właśnie kieszenie Jume'a.

-Nic. Tamci musieli wszystko zabrać. Liczyłam na mapę lub kompas.

Kara minęła je i skierowała się do wyjścia. Anna podążyła za nią, słysząc za plecami jęk Alice.

Niech Stacey załatwi tę sprawę. Podchodziła do wszystkiego tak racjonalnie, że na pewno sobie z nią poradzi. Jeśli będą musiały zostawić Alice, zrobią to. Gdy znajdą pomoc, od razu kogoś po nią przyślą.

Zobaczyła, jak Kara wychodzi z tunelu. Poszła za nią, zasłaniając oczy przed oślepiającym blaskiem.

Początkowo myślała, że ma uszkodzony wzrok, gdyż wszystko zdawało się rażąco białe, niczym powierzchnia słońca. W jaskini całkowicie straciła poczucie czasu. Deszcz przestał

padać, musiało być późne popołudnie. Gorące powietrze zgęstniało, dokoła brzęczały owady. Ani śladu żywej duszy, nic, nawet odcisku opon na piasku. I ani śladu Eriki. Kara siedziała na ziemi, patrząc przed siebie pustym wzrokiem.

-Jesteśmy bezpieczne - powiedziała Anna z nadzieją, że dzwonienie w uszach wkrótce ustanie. -I całe.

-I nadal w kropce.

Anna usiadła obok Kary. Stacey wyszła z jaskini i dołączyła do koleżanek.

-Alice nie ruszy się z miejsca - oznajmiła. - Mówi, że za bardzo boli ją głowa. Mogłybyśmy ją wynieść, ale tylko byśmy jej zaszkodziły. Zostawiłam przy niej trochę wody i jedzenia.

-Mniejsza z tym - odparła Kara. Potarła kark. -Trudno uwierzyć... - Nie dokończyła zdania.

Las wyglądał dokładnie tak samo jak przedtem. Zupełnie jakby nic się nie stało, a ciała Jume'a i Leoda nie istniały.

-Co z Ericą? - spytała Anna. - Myślicie, że uciekła?

-Nieważne - mruknęła Kara. - I tak wszystkie tu zginiemy.

-Przestań - odparła Stacey. - Weź się w garść. Musimy pomyśleć. Trzeba spakować do plecaków trochę jedzenia i wody.

Anna zastanowiła się od niechcienia, dlaczego Stacey powiedziała „jedzenia i wody”, a nie odwrotnie. Przecież woda była im dużo bardziej potrzebna.

-Czuję się podle - wymamrotała Kara.

Anna obserwowała wiewiórkę wchodzącą na drzewo. Miała nadzieję, że zwierzę spadnie i zginie. Czuła się całkowicie wyczerpana z energii i miała wszystkiego dosyć. Fakt, że spośród siedmiu dziewcząt zostały akurat one trzy, wydawał jej się dziwnie logiczny.

-Nie wiem, czy mam siłę iść dalej - powiedziała.

-Musimy - odparła z naciskiem Stacey. - Po tym, co się stało, lepiej odejść stąd jak najszybciej.

-Może ktoś usłyszał strzały - rzuciła z nadzieją Anna. - Na przykład policja albo ktoś w tym rodzaju.

Kara spojrzała na nią ze złością.

-Nikt nie słyszał, bo nikogo tu nie ma. Jesteśmy na kompletnym zadupiu, nie zauważyłaś?

-Trzeba ruszać w drogę - oświadczyła Stacey. -Trochę odpoczniemy, a potem wrócimy do jaskini, pomożemy Alice i spakujemy plecaki.

Kara zadrżała.

-Nie wejdę tam po tym, co się stało.

-Ja też nie - dodała Anna. Drugi raz nie zniesie widoku zmasakrowanych ciał.

-W porządku. Wobec tego ja pójdę.

Anna popatrzyła na zielone liście drzew. Kto by pomyślał, że skrywają podobne okropieństwa?

-Mam nadzieję, że to się wkrótce skończy.

-Ja też, ale przestań się łudzić - odrzekła Stacey. -Nikt nam nie pomoże, możemy liczyć tylko na siebie. Rozumiesz?

Anna ze znużeniem skinęła głową. Bóg pomaga tym, którzy pomagają sobie. Ojciec na pewno polubiłby Stacey.

-Pokpiłyśmy sprawę - ciągnęła Stacey. - Tylko raz słyszałyśmy helikoptery, przy stawie. Trzeba było tam zostać. Teraz pewnie znajdujemy się poza terenem poszukiwań. Wyspa jest ogromna, nie są w stanie jej całej przeczesać. To jak szukanie igły w stogu siana.

-Wszystko jedno - powiedziała Kara. - Stało się.

Anna przycisnęła palcami powieki.

-Widziałyście głowę Leoda? - spytała bez sensu. Otworzywszy oczy, podchwyciła spojrzenie Stacey.

-Ja widziałam. Najlepiej teraz o tym nie myśleć.

-To było jak koszmar, ale znacznie gorsze - dodała Anna. - Z koszmaru można się obudzić.

Dziewczęta siedziały w milczeniu. Po chwili Stacey wstała i kilkakrotnie obróciła w obie strony, aby naznosić prowiantu i przytaszczyć plecaki. Następnie wyjęła notes i zaznaczyła na swojej mapce położenie Alice. Spakowały plecaki i narzuciły je na ramiona. Anna była tak słaba, że każdy kolejny krok wydawał się torturą.

Ponownie skierowały się na wschód. Anna nie miała pojęcia, czy zmierają we właściwym kierunku. Było jej wszystko jedno. Bolały ją nogi, miała rozpaloną głowę i pomimo częstych odpoczynków doskwierało jej zmęczenie. Kiedy napotkały wąski strumyk, zatrzymały się i usiadły na pieńkach tuż nad brzegiem. Woda była zielonkawa i miejscami mętna.

-Muszę się umyć - oznajmiła Kara. Zaczęła się rozbierać.

-Tutaj? Teraz?

-Tak! - Miała roziskrzony wzrok.

-Ale ta woda jest brudna.

-Nieważne. Muszę się podmyć tam, gdzie mnie dotykał.

-Ale on nie... - zaczęła Anna.

-Nie! Masz rację. Ale próbował. Coś z nim było nie tak i nie mógł mi wsadzić. Nadal czuję się brudna.

Anna ze zrozumieniem skinęła głową.

Kara zdjęła ubranie i przykucnąwszy nad wodą, ochlapała się między nogami. Na jej twarzy malował się wyraz determinacji. Anna odwróciła wzrok. Przypomniała sobie, jak jeszcze kilka dni temu zazdrościła Karze, i ogarnęły ją wyrzuty sumienia.

Pomyślała, że od wybrzeża może ich równie dobrze dzielić sto jardów, jak i sto mil. Opuszczenie stawu było najgłupszą z możliwych decyzji. Przynajmniej oszczędziłyby sobie tych wszystkich przeżyć.

Nienawidziła lasu, nienawidziła drzew, ich obłąkańczej zieleni i powtarzalności. Tęskniła za krzepiącym widokiem betonu i metalu, symbolami dominacji człowieka nad światem naturalnym.

Kara dokończyła mycie i wytarła się koszulką, po czym ruszyły w dalszą drogę. Nie kłóciły się tak jak podczas pierwszych kilku dni. Anna pomyślała, że złośliwość Kary ulotniła się w zderzeniu ze złem reprezentowanym przez Jume'a i Leoda.

Brak wartościowego jedzenia przyprawiał Annę o zawroty głowy; kilkakrotnie traciła równowagę. Odczuwała niedobór białka i marzyła o smażonym kurczaku i ciastkach oraz ociekających masłem kolbach kukurydzy sprzedawanej za dolara w centrum handlowym.

Zatrzymały się i zjadały coś z puszek. Zapomniały otwieracza, więc musiały rozbijać je o kamienie. Zaspokoili pragnienie wodą z butelek i piwem korzennym.

Miały zapalki, świece i latarkę, lecz to nie wystarczyło, aby nocą kontynuować wędrówkę. W lesie panowała zbyt duża wilgoć, żeby rozpaścić ognisko. Zanosilo się na kolejną noc pod gołym niebem. Usiadły na polanie i rozłożyły śpiwory u stóp poszarpanego pnia.

-Dłużej nie dam rady - powiedziała Kara.

-Skoro zaszyliśmy tak daleko, dojdziemy do końca - odparła Stacey. Anna i Kara popatrzyły na nią bez słowa.

-Chcę do domu.

-Ja też.

-Dotrzemy tam, prawda?

-Mam nadzieję.

Tej nocy zasnęły ukołysane odgłosami wyspy. Anna obudziła się ze łzami na policzkach, lecz nie pamiętała żadnych snów.

Rankiem znów podążyły w stronę słońca. Oczy Anny pulsowały bólem, tak jakby miała potwornego kaca. Zostało im tylko kilka puszek z jaskini, potem będą musiały przestawić się na jagody i kokosy. Anna nie miała pojęcia, że w niecały tydzień straciła blisko dwadzieścia funtów.

Wędrowniczka pogłębiała jej dezorientację. Myślała o panu Spate. Uświadomiła sobie, że gniew na rodziców był trochę przesadzony. Ojciec był zimny i nieugięty, lecz pan Spate okazał się bez porównania gorszy. Uwiódł ją, wykorzystując zaufanie, jakie miała do niego jako nauczyciela. Zaczynała żałować, że nie opowiedziała wszystkim, jak było naprawdę.

Groziła, że to zrobi. Kiedy pan Spate usłyszał, że Anna zamierza wyznać ojcu, kto jest rzeczywistym sprawcą ciąży, zaczął płakać.

-Proszę - błagał - zrujnujesz mi życie, Anno. Powiedzą, że to był gwałt, a przecież wiesz, że to nieprawda. Wyrzucą mnie z pracy i pójdę do więzienia za przestępstwo seksualne. To oznaczałoby pożegnanie z zawodem nauczyciela. Uznają, że cię molestowałem. – Wylał oczy chusteczką. - Zniszczą też twoje życie, dobrze wiesz. Co za koszmar.

Niepotrzebnie się nad nim użalała. Rzucił ją zaraz po aborcji, informując, że nie powinni dłużej ze sobą sypiać, choć mogą pozostać przyjaciółmi. Wiedziała, że to bzdury: sama nieraz mówiła to chłopakom. Potem widziała, jak pan Spate poufale rozmawia z Jennifer Ellis, cheerliderką z jej klasy. Zachowywał się tak samo, jak niegdyś wobec Anny, od niechcenia obejmując Jennifer. Anna wylądowała na śmietniku niczym nieudane zdjęcie.

Lecz zamiast iść po rozum do głowy i powiedzieć rodzicom prawdę, nadal go osłaniała. Wciąż nie wiedziała dlaczego. Czy kierowała nią litość? A może nadzieja, że znów będą razem? Albo strach, że nikt nie da wiary jej słowom. Wszyscy uwielbiali pana Spate'a, gdyż w przeciwieństwie do innych nauczycieli był młody i atrakcyjny. I tak ładnie dobierał słowa. Chciałaby wreszcie przestać o nim myśleć. Prześladował ją nawet w głuszy.

Przeszły wiele mil. Czasem rozmawiały, a czasem nie. Najważniejsze było iść naprzód. Kiedy Anna stwierdziła, że nie zrobi ani kroku dalej i będą musiały zarządzić postój, ujrzała pierwsze ślady ludzkiej obecności od czasu jaskini.

-Patrzcie! - krzyknęła. - Spójrzcie na to! – Kara i Stacey podążyły za jej wzrokiem.

-Niewiarygodne!

-To dom!

Przed nimi, niemal całkowicie osłonięta drzewami, widniała polana. Stała na niej niewiele większa od szałas, zrujnowana, drewniana chata, otoczona zarośniętym ogrodem.

-Udało się! Jesteśmy uratowane!

Okrzyk Kary napełnił Annę radością. Uszczęśliwione dziewczęta pobiegły w stronę chaty, jakby dokonały epokowego odkrycia.

## W +4GLU

Podchodząc bliżej, Anna zobaczyła, że dom jest zapadnięty po jednej stronie, a cienkie pnącza oplatają pokaleczone drzewo. Na ziemi leżały dwie stare opony, a zaniedbany trawnik usiany był pogniecionymi puszkami. Na gałęziach ponad dachem wisały plastikowe torby, przywodząc na myśl jakąś toksyczną roślinę.

Obejście wyglądało na dawno opuszczone, dlatego Anna zdumiała się na widok leżącego pod drzewem chudego brązowego kundla w czarnej obroży. Zwierzę miało splątaną sierść i ledwie łypnęło na dziewczynę. Anna miała nadzieję, że w pobliżu zostanie jego właściciela, choć owa myśl napełniła ją niejasnym lękiem.

Tylko powoli, pomyślała. Podobno psy wyczuwają strach i atakują tylko tych, którzy się ich boją. Łudziła się, że to nieprawda, bo inaczej miałyby poważne powody do obaw.

-Ohyda - mruknęła Kara, spoglądając na brudne podwórko. Jeszcze nie zauważyła psa.

-Ostrożnie - ostrzegła Stacey.

-Fuj! - pisnęła Kara. -Ten pies jest chory!

-Tam jest drugi - odparła Stacey, pokazując palcem. Anna ujrzała drugiego kundla o żółtej, cętkowanej sierści, który siedział na piasku obok pogiętej ramy od roweru. Był wychudzony, żebra sterczały mu pod skórą. Rzucił dziewczętom zasmucone spojrzenie.

-A jeśli mają wściekliznę? - syknęła Kara. – Nie chcę się zarazić. Stacey, czy na Andros występuje wścieklizna?

Stacey potrząsnęła głową.

-Nie wiem.

Widok zwierząt nie dodał Annie otuchy. Wydarzenia w jaskini uodporniły ją na straszne niespodzianki, lecz nie spodziewała się napotkać żadnych psów. Na szczęście zwierzęta wydawały się zbyt znużone i niedożywione, by zwrócić na gości jakąkolwiek uwagę.



Stwierdziła, że nikt nie budowałby domu ani nie trzymał psów na całkowitym odludziu, dlatego chyba musiały jednak dotrzeć w pobliże jakichś osad i wybrzeża. Podniesiona na duchu poczuła falę dawno uśpionego optymizmu.

-Słyszycie? - spytała Stacey. -Ten dziwny dźwięk?

-Aha - odrzekła Kara. - Co to może być?

Odgłos niemal ginął w brzęczeniu wszechobecnych na wyspie owadów. Przypominał nucenie, choć wokół nie było żywej duszy. Dziewczęta zbliżyły się do budynku. Anna wystąpiła do przodu, chcąc ustalić źródło owego cichego odgłosu.

-Czekaj... - szepnęła Stacey, lecz Anna nie posłuchała. Czuła, że przeszła już zbyt wiele, by zrazić się czymś równie błahym. Powtarzając to sobie w myślach, zacisnęła zęby i wyrzała zza węgla. Zobaczyła tęgą ciemnoskórą staruchę siedzącą na zielonym plastikowym krześle ogrodowym. Kobieta nuciła coś pod nosem. Po jednej stronie krzesła leżały tęczowe koszyki, po drugiej zaś widniał stos barwnej słomy.

Najpierw pomyślała, że z szyi kobiety, tuż pod brodą, wyrasta druga głowa, po czym zrozumiała, że to wole. Uczyła się o tym na biologii. Niedobór soli lub potasu, przypomniawszy sobie. Wole nadawało kobiecie wygląd przybysza z kosmosu, jednak przeżycia na Andros sprawiły, że Anna przestała się czemukolwiek dziwić. Mieszkańcy wyspy stanowili zgraję dziwaków i wykolejeńców. Stara pasowała do nich jak ulał.

Kobieta miała zamknięte oczy i głębokie bruzdy na twarzy. Delikatnie kołysała się na krześle, kołysała się i nuciła, z rękami złożonymi na podołku. Była ubrana w niebieską suknię w kwiatki, zazóconą pod pachami i wzdłuż rąbka. Przerzedzone siwe włosy zaplotła w warkoczyki poprzetykane barwnymi koralikami.

Anna stanęła w miejscu, niepewna co robić dalej. Stara zdawała się pogrążona we własnym świecie i Anna nie chciała jej przeszkadzać. Stacey i Kara stanęły obok Anny i również utkwili wzrok w kobiecie.

-Halo? - powiedziała Anna. Z wysiłkiem przełknęła ślinę, czując suchość w ustach. Kobieta nie zwróciła na nią najmniejszej uwagi. - Hej - spróbowała ponownie Anna, tym razem nieco głośniejsze. - Proszę pani?

Kobieta otworzyła szeroko oczy.

-Kto tam? - Energicznie rozejrzała się dokoła. Mówiła z twardym, miejscowym akcentem, trochę podobnym do jamajskiego. - Marion? Czy to ty?

Anna zrozumiała, że kobieta jest niewidoma. Miała oczy zasnutę bielmem, jak u trupa. Wspomnienie Jume'a sprawiło, że Anna odwróciła wzrok.

-Dzień dobry - powiedziała Stacey. Kara również się przywitała. Kobieta spojrzała w kierunku, skąd dobiegały ich głosy. - Mam na imię Stacey. Zgubiłyśmy się.

-Jest z wami Marion? - zapytała z nadzieją kobieta. -Kto?

-Marion Jeffers, a któż by inny.

-Nie, my jesteśmy ze Stanów. Od pięciu dni błąkamy się po lesie i potrzebujemy pomocy. Czy ma pani telefon? - Pytanie zabrzmiało nieco dziwnie. Anna marzyła o chwili, gdy znajdą kogoś, kto im pomoże, jednak ta chwila chyba jeszcze nie nadeszła.

-Podejdźcie tutaj - zażądała kobieta i dziewczęta zbliżyły się posłusznie. - Uklęknijcie.

Uklękły przed zielonym krzesłem. Kobieta wyciągnęła pomarszczoną rękę. Powiodła nią po twarzy Stacey, dotykając policzków, nosa i ust.

-No tak - powiedziała do siebie. W podobny sposób zbadała twarze pozostałych dziewcząt.

Jej palce były miękkie i pofałdowane niczym nadgnita brzoskwinia lub przekłuty balon.

-Chciałam zobaczyć, jak wyglądacie. - Ponownie złożyła ręce na podolku. - Marion miała przyjechać wczoraj. Raz w miesiącu przywozi mi tabletki przeciw bólowe i nigdy się nie spóźnia. Na pewno jej nie widziałyście? - Spojrzenie niewidzących oczu zawisło w przestrzeni.

-Tu jej nie ma - zakomunikowała Stacey. - Nie wiemy, gdzie ani nawet kim jest. Chciałybyśmy skorzystać z telefonu, żeby wezwać pomoc.

Kobieta wybuchnęła śmiechem.

-Nie ma pani telefonu? - spytała Kara. Jej głos musiał zabrzmieć zbyt szorstko, gdyż kobieta natychmiast przestała się śmiać.

-Niby skąd? - spytała z irytacją. - Tu nie Nassau. W pobliżu nie ma linii telefonicznych.

-Szukamy wybrzeża, chcemy dotrzeć do jakichś osad - powiedziała Anna. - Czy może nam pani pomóc?

-Przyszłyście tylko we trzy?

-Było nas więcej, ale zgubiły się po drodze albo zostały zastrzelone. W lesie napotkaliśmy mężczyzn z bronią.

-No tak - powtórzyła kobieta. Podrapała się w szyję w miejscu, gdzie wole dotykało podbródka. Anna zastanawiała się, czy narośl boli, czy też stanowi po prostu integralną część ciała. - Mężczyźni i ich broń. - Kobieta potrząsnęła głową. - Chryste, mam nadzieję, że Marion jest cała. Dojeżdża z Nichol's Town.

-Jesteśmy w pobliżu Nichol's Town? - zapytała ze zdziwieniem Stacey.

-Mniej więcej.

-Ile potrzeba czasu, żeby tam dotrzeć? - spytała Kara. - Chyba nie ma pani samochodu?

-Ależ skąd - odparła kobieta. - Nie mam. I nie byłam tam od siedmiu lat. Marion przywozi mi lekarstwa i żywność, no i słomę na koszyki. Dawniej przyjeżdżał mój Darryl, ale umarł i czuwa nade mną razem z aniołkami. - Uniosła oczy ku niebu, jakby chcąc dojrzeć syna.

-Którędy prowadzi droga do Nichol's Town? - wypytywała Stacey. - Chciałyśmy iść na wschód, ale musiałyśmy pomylić drogę. Wskaże nam pani kierunek?

Nie wiedzieć czemu stara ponownie okazała zdenerwowanie.

-A skąd mam wiedzieć? To jakieś dwadzieścia mil stąd! - Wstała i chwyciła ociosaną gałąź, która służyła jej za laskę. - Do licha. Też mi pytania. Zamieszkałam tu, żeby mieć święty spokój. Idźcie sobie. - Ruszyła w stronę zrujnowanej chaty, pomagając sobie laską.

No ładnie, pomyślała Anna. Wreszcie znalazłyśmy kogoś, kto nie chce nas zabić ani zgwałcić, i ten ktoś nie ma zamiaru nam pomóc. Wstała i podążyła za starą, zdecydowana kuć żelazo póki gorące. Zaczekają tu na Marion i wrócą z nią do miasta.

-Stara wariatka! - krzyknęła Kara. Kobieta musiała ją usłyszeć, gdyż zaklęła cicho. Otworzyła drzwi, ukazując wnętrze chaty. W środku znajdowały się tylko dwa pokoje, bardzo ciemne i brudne. Światło wpadało do zakurzonej izby przez popękane szyby.

-Proszę - powiedziała Anna. - Niech się pani na nas nie gniewa. My również wolałybyśmy znaleźć się gdzie indziej, proszę mi wierzyć.

-To nie moja sprawa! - Potykając się, kobieta weszła do środka, zostawiając za sobą otwarte drzwi. Anna podążyła za nią. Posługując się laską jak kompasem, stara odszukała zniszczone, wiklinowe krzesło i usiadła na nim z impetem. Anna zauważyła, że w pokoju roiło się od wielobarwnych koszy oraz stert drewna na opał. Uwagę przykuwała pokaźna kolekcja dewocjonaliów, w skład której wchodziły zgodnie koegzystujące afrykańskie posążki, figurki przedstawiające Chrystusa, a nawet siedmioramienny świecznik.

-Jestem zmęczona - dodała kobieta. - Odejdź i daj mi odpocząć.

-Ja też jestem zmęczona.

-Skąd wy się tu w ogóle wzięłyście? Nikt tutaj nie zagląda. Nie licząc Marion, od lat nie miałam gości -rzuciła podejrzliwie.

-Byłyśmy na obozie. Zgubiłyśmy się na wycieczce. - Jak uświadomić kobiecie ich tragiczne położenie?

-Na jakim obozie?

Anna już miała skłamać, ale w ostatniej chwili ugryzła się w język.

-Archstone - wyznała. -To program dla dziewcząt, rodzaj poprawczaka...

Kobieta wytrzeszczyła białe oczy.

-Słyszałam o nim! - wykrzyknęła, prostując się na krześle. - Sammy Thomas pomagał tam dwa lata temu na budowie. To istne więzienie. - Zaśmiała się gardłowo. - A więc tam byłyście. To bardzo daleko stąd. Ależ z was ziółka!

Anna była zdziwiona, lecz z ulgą przyjęła reakcję kobiety, która wydawała się raczej rozbawiona niż zła.

-Powinnam się była domyślić - ciągnęła. - Dlatego szwendacie się po lesie. Ta stara wiedźma, która prowadzi Archstone, wyrzuciła Sammiego za kradzież pomarańczy i puddingu ze spiżarni, chociaż był czysty jak łąka! To mój cioteczny kuzyn. - Stara wyciągnęła rękę i Anna ujęła jej palce. - Ładne mi ziółka. Doskonale was rozumiem. Raz zbłądźcie i nazywają was wariatkami. Albo i gorzej!

Kara i Stacey w milczeniu przysłuchiwały się rozmowie. Anna odczuła dumę, że to właśnie ona zmieniła nastawienie kobiety, nawet jeśli zrobiła to przypadkowo.

-Pomoże nam pani? - spytała.

-Pewnie, że wam pomogę. Możecie tu zostać do powrotu Marion. Jeździ czterodrzwiowym plymouthem z klimatyzacją. Zabiera do miasta moje koszyki i sprzedaje na targu.

Skoro jest samochód, pomyślała Anna, musi być i droga. Nawet jeśli Nichol's Town leżało dwadzieścia mil stąd, były o krok od ocalenia. Popatrzyła na Stacey i Karę. Nareszcie.

-Kiedy przyjedzie Marion? - zawołała niezbyt grzecznie Kara. Anna popatrzyła na nią ze złością, ale kobiecie najwyraźniej to nie przeszkadzało.

-Ziółko numer dwa! - zaskrzypiała. - Podejdźcie tu wszystkie. Rozpalimy ogień. - Stacey i Kara posłusznie weszły do środka. - Marion miała być wczoraj. Nigdy dotąd się nie spóźniała. Potrzebuję lęków, dlatego im szybciej przyjedzie, tym lepiej.

-Myśli pani, że dzisiaj?

-Nie wiem, moja mała. Co tak stoicie, siadajcie. Zróbcie sobie miejsce na podłodze. Nie dbam tu o porządek.

Anna znalazła sobie żółtą, poplamioną poduszkę, Kara i Stacey siadły obok. Jeden z parszywych psów stanął w progu i zajrzał do środka kaprawymi oczami. Zaskomlał.

-Czy to ty, Lola?

Pies ponownie zaskomlał i z wahaniem postąpił do przodu, jakby chciał wejść do środka.

-Nie chcę dostać wścieklizny - powiedziała Kara, wzdragając się ze wstrętem.

Stara prychnęła.

-Lola nie ma wścieklizny. Nie może nawet ugryźć, bo wypadły jej wszystkie zęby. Mówiłyście, że jak macie na imię? W moim wieku pamięć trochę zawodzi.

Dziewczęta przedstawiły się ponownie i kobieta pokiwała głową.

-Ja mam na imię Felicia, ale wszyscy mówią na mnie Cici z powodu moich oczu.

-Chciałabym się napić - oznajmiła Kara. - Czy ma pani coś do jedzenia? Konam z głodu.

-Jasne, panienko. Mam mielonkę i groszek konserwowy, pyszności. A za domem jest studnia z wodą do picia. Mam cukrzycę i jeśli nie chcę postradać nóg, muszę odżywiać się jak należy.

- Parsknęła gdaczącym śmiechem. -Tak mi mówią! Częstujcie się, dziewczęta. Ja zostanę tutaj, dlatego obsłużcie się same. Puszki są w szopie za domem, a studnia znajduje się tuż obok. I przynieście mi groszek, jeśli łaska.

Dziewczęta wstały i pośpieszyły we wskazanym kierunku. Anna nadal bała się psów, lecz te wydawały się na wpół żywe i trzymały się na dystans. Słońce boleśnie raziło w oczy, nawykłe do półmroku chaty. Dziewczęta znalazły szopę wypełnioną kartonami puszek o rozmaitych rozmiarach i kształtach. Niektóre wyglądały na nowe, podczas gdy inne zardzewiały i dawno przekroczyły terminy ważności.

-Są do niczego - stwierdziła Kara, dokonując przeglądu. - Tylko spójrzcie.

Miała rację. Większość puszek była wgnieciona albo spuchnięta, niektóre przeciekały.

-Jak ona może tak żyć? - zastanawiała się Stacey. -Rozchorujemy się od tych puszek.

-To wariatka - powtórzyła Kara. - Tak jak wszyscy na tej cholernej wyspie. Kto chciałby mieszkać w takim chlewie? - Obejrzała puszkę z rosołem i ze złością rzuciła ją na ziemię. - Nie wezmę tego świństwa do ust. Nie chcę się zatruć.

-No to będziesz głodna. - Stacey pracownicę sortowała puszki, oddzielając dobre od zepsutych. - Po prostu musimy uważać. Nie ruszajcie tych, które wyglądają, jakby miały zaraz wybuchnąć.

-Nie ruszę żadnej - marudziła Kara.

-Chyba zdajesz sobie sprawę, że może czeka nas dwadzieścia mil wędrówki? Słyszałaś, co powiedziała. Marion nigdy się nie spóźniała. Musimy się najęść, żeby nabrać sił. Kończy nam się prowiant.

Kara westchnęła.

-Przyjedzie.

Anna wzięła puszkę groszku dla starej, po czym wróciły do chaty.

-Macie papierosy? - spytała kobieta.

-Nie - odparła Anna, podając jej puszkę.

-Dziękuję, moja mała. - Dłonie obmacaly puszkę, sprawdzając jej stan. - A teraz podaj mi otwieracz. Powinien być gdzieś na półce. - Machnęła ręką niczym rozłoszczony dyrygent. Anna dostrzegła otwieracz na półce nad poczeriałym kominkiem i podała kobiecie, zachodząc w głowę, jak niewidoma radziła sobie bez niczyjej pomocy.

-Ma pani elektryczność?

-Oczywiście, że nie. Na co mi ona?

-Ciężko tu mieszkać, prawda?

Kobieta wybuchnęła śmiechem.

-Nie. - Zaczęła opowiadać, dlaczego przed laty opuściła Nichol's Town i przeniosła się do lasu, lecz Anna nie słuchała. Dla słuchacza równie zmęczonego jak ona opowieść była zbyt długa i skomplikowana. Poza tym za bardzo pochłaniała ją myśl o powrocie do domu.

Dziewczęta spędziły noc, czekając na Marion. Rozpaliły ogień w ceglany kominku staruszki i usiadły dokoła na zapleśniałych poduszkach. Ucieszona z towarzystwa Cici bawiła je opowieściami o synu, który został zabity w barowej awanturze na Południowym Bimini. Anna słuchała jednym uchem, snując miłe marzenia o ocaleniu i smażonym kurczaku.

Kiedy kobieta wreszcie zasnęła na swoim krześle, Stacey szepnęła coś, co nieco zburzyło błogi nastrój Anny.

-Moim zdaniem Marion nie przyjedzie.

-Jak to? - zapytała Anna. Na twarzy Kary również malowało się zdziwienie. Anna wołała nie myśleć o konieczności przejścia dwudziestu mil.

-Ależ z ciebie pesymistka - stwierdziła ze złością Kara.

-Dlaczego miałyby nie przyjechać? - spytała Anna.

-Po prostu nie możemy na nią liczyć. Nigdy się nie spóźniała, a teraz raptem jej nie ma? Nie sądzicie, że to trochę podejrzanę? Cici powiedziała, że Marion miała być wczoraj. Może spotkała po drodze Jume'a i Leoda albo braci Mendoza. Wszystko mogło się zdarzyć.

-Obyś nie miała racji - odrzekła Anna. Nie chciało jej się wierzyć, że Cici była w równie opłakanym położeniu jak one.

-Nie mówię, że tak się stało. Chodzi o to, że powinnyśmy polegać wyłącznie na sobie. Możemy tu czekać, ile chcemy, choćby miesiąc. Mamy żywność i wodę. Jeśli jednak chcemy jak najszybciej wrócić do domu, chyba pora ruszać w drogę.

- Wykluczone - odparła Kara. - Do przyjazdu Marion nie ruszę się stąd ani na krok. - W ciągu paru ostatnich dni jej pełen wyższości ton niepostrzeżenie zniknął. Teraz mówiła głosem przerażonego dziecka. -Jeśli nawet Marion nie przyjedzie, w końcu zjawi się ktoś inny i nam pomoże. I koniec z tymi głupimi gadkami. - Z całej siły zacisnęła zęby.

-Jak chcesz - powiedziała obojętnie Stacey. - Po prostu uważam, że powinnyśmy rozważyć wszystkie możliwości. Ja również z ulgą zostanę tu kilka dni.

-Przynajmniej jesteśmy bezpieczne – dodała Anna. Dobre sobie, stwierdziła w duchu. Nie poczuje się bezpieczna, dopóki na dobre nie opuści wyspy. Choć i to nie było takie pewne. Widok trzech martwych ciał poważnie wpłynął na jej poczucie bezpieczeństwa.

Stara chrapnęła przez sen; głowa poleciała jej do przodu i spoczęła na wolu.

-Ohyda - mruknęła Kara. - Na tej wyspie roi się od potworów.

-Isla del Espiritu - powiedziała z zadumą Stacey. -Wyspa Duchów. Według przewodników tak ludzie zwą Andros.

-Mam gdzieś ciebie i twoje przewodniki.

-Nieważne.

Tej nocy spały w śpiworach wewnątrz chaty. W domu nie było łóżek, nawet kobieta spała na krześle. Zасыpiając, Anna pomyślała o Erice, Alice i Laurze. Im z pewnością było znacznie gorzej.

Wraz z nadejściem świtu dziewczęta usiadły na śpiworach, niecierpliwie wyczekując przyjazdu Marion. Cici prychała i chrapała we śnie. Anna popatrzyła na koleżanki.

Kara miała purpurowe sińce pod oczami.

-Może Marion rzeczywiście nie przyjedzie -stwierdziła z przygnębieniem. - Będziemy tak siedzieć i czekać.

-Przecież mówiłam. Możemy polegać tylko na sobie.

Kara wpadła w złość i wyładowała na Stacey nagromadzoną frustrację.

-Przymknij się, kretynko. Nigdy nie masz dość własnego dziamania?

Stacey przewróciła oczami.

-Zachowaj tę gadkę na powrót do elitarnej szkoły, czy gdzie ty tam chodzisz, Kara.

-Proszę - wtrąciła Anna. - Przestańcie się kłócić. Mam powyżej uszu przepychanek. To nie rozwiąże naszych problemów. Zaczekajmy tu jeszcze jeden dzień, a potem chodźmy do Nichol's Town. Pójdziemy drogą, więc koniec błąkania się po lesie. Cici mówiła, że od miasta dzieli nas tylko dwadzieścia mil. Dojdziemy tam w trzy dni.

-Cici jest ślepa i nienormalna - burknęła Kara.

Stacey potrząsnęła głową.

-Nikt inny nam nie pomoże. Moim zdaniem Anna ma rację. Jeśli Marion dziś nie przyjedzie, jutro powinniśmy wyruszyć.

-Zatem postanowione? - spytała ironicznie Kara. -Jutro wyruszamy? - Popatrzyła na Annę i Stacey. - Jak zwykle przeciwko mnie. Przejrzałam was.

-Uspokój się, Kara - rzuciła pojednawczo Anna. -Nikt nie jest przeciwko tobie. Poza tym mamy demokrację, pamiętasz? Nie ma o co się wściekać.

-Ja się nie wściekam - odparowała. - To wy zachowujecie się jak stuknięte. Przypomnijcie sobie, co spotkało nas po opuszczeniu stawu.

-Daj spokój, Kara. Sama nas do tego namawiałaś!

-To mnie Leod wpakował kutasa między nogi, nie tobie! - wrzasnęła bez sensu Kara. - Co ty możesz wiedzieć, Anno?

-Możesz tu zostać, jeśli chcesz - odparła beznamiętnie Stacey.

-Wal się - burknęła Kara. - Walcie się obie. - Naburmuszona usiadła na kamieniu pod sosną, w pewnej odległości od koleżanek.

-To z nudów - stwierdziła Anna. Nie musiała tłumaczyć zachowania Kary, jednak nie ulegało wątpliwości, że mieszanina nudy i strachu przenikała atmosferę wyspy niczym wirus. Anna zaczynała skłaniać się ku podejrzeniu, że bez względu na to, co robią, ich losy są przesądzone, jak w „Odysei”.

Być może wydarzenia na wyspie stanowią rodzaj kosmicznej kary za aborcję i niewłaściwe postępowanie. Ojciec przyklasnąłby tej myśli. Lecz Anna wiedziała, iż życie nie opiera się na podobnych zasadach, gdyż w przeciwnym razie pan Spate wylądowałby na wyspie razem z nią. I coraz bardziej uderzała ją niesprawiedliwość sytuacji, w której się znalazła. Cici obudziła się w złym humorze.

-Tylko nie zjedzcie mi wszystkich puszek - pouczyła. Jej dobroduszość ulotniła się bez śladu. Anna trwonila czas na niewesołych rozmyślaniach, podczas gdy Stacey zapisywała coś w notesie. Tym razem nie była to mapa.

-Co ty tam bazgrzesz? - spytała z irytacją Anna. Miała tak rozstrojone nerwy, że drażnił ją zgrzyt długopisu o papier.

-Robię notatki, żeby nie zapomnieć.

-Czego?

-Wyspy. Tego, co tu przeżyliśmy.

Anna nie wierzyła własnym uszom.

-Jak mogłabyś o tym zapomnieć? - Anna wiedziała, że wydarzenia na Andros pozostaną w jej świadomości na zawsze.

-Z biegiem czasu szczegóły blakną. Istnieje prawdopodobieństwo, że za tydzień zapomnimy odcień palm albo zapach jaskini. Lub to, co zrobili nam Leod i Jurne. Chcę mieć dokładny zapis wydarzeń. Może nawet sprzedam naszą historię „Faktom”.

Anna spojrzała na nią podejrzliwie.

-Mówisz poważnie?

-Kto wie? - Stacey zamknęła notes. - Jak tam Kara? Nadal się boczy?



-Aha. - Od ostatniej kłótni Kara nie zamieniła z nimi ani słowa.

-Marion! - jęknęła głośno Cici. - Moje tabletki! -Zawodziła tak od godziny i dziewczęta nie zwracały na nią uwagi. Gdy wcześniej Anna próbowała jej pomóc, staruszka zakłęta i warknęła na nią jak pies. Brak leków poważnie dawał jej się we znaki, powodując niekontrolowane drganie mięśni ramion i nóg. Anna i Stacey były bezradne, a Kara wykazywała całkowitą obojętność, toteż Cici nie miała szczęścia.

Wykończywszy zapasy, zabrały się do puszek starej. Kara wybrała kukurydzę, którą Anna i Stacey zagrzały w brudnym rondlu nad ogniem. Smakowała obrzydliwie i zgodnie ze swoją zapowiedzią Kara nawet jej nie tknęła.

Dzień dobiegł końca i dziewczęta ponownie usiadły na poduszkach przy kominku. Wcześniej rozpały na zewnątrz ognisko sygnałowe w metalowej balii, lecz wiedziały, że to na nic. Anna obserwowała płomień przez okno. Przyszło jej do głowy, że gdyby ktoś nadal ich szukał, byłoby już bezpieczne.

Cici przeniosła się do drugiego pomieszczenia i zawodziła.

-Marion! - powtarzała bez końca, aż Anna miała ochotę ją udusić.

-Cholerna suka, oby zdechła - rzuciła ze złością Kara. Chyba mówiła o Cici, a może o Marion? Zresztą cóż to miało za znaczenie?

-Jest chora - powiedziała Stacey. - Przedtem była dla nas miła.

-Stara narkomanka. Pewnie marzy o prochach.

Anna zbyła tę uwagę milczeniem i wyjrzała przez okno na gwiazdy. Zdawało jej się, że widzi Wielką Niedźwiedzicę. Trudno uwierzyć, że była to ta sama konstelacja, którą przez tyle lat oglądała z własnego okna w Atlancie. Na Andros gwiazdy wydawały się jaśniejsze; łuna światła wielkiego miasta pozbawiała je blasku. Anna obiecała sobie, że jeśli kiedykolwiek opuści wyspę, dowie się czegoś więcej o gwiazdach i o całym wszechświecie. Był taki wielki. Wspomnienie zgruchotanej czaszki Leoda nasunęło się nieodparcie, przesłaniając rozgwieżdżone niebo, i Anna odwróciła wzrok. Przed przyjazdem na Andros nigdy nie widziała zwłok, lecz w ciągu ostatnich dni oglądała je trzykrotnie.

W świetle kominka dziewczęta same przypominały duchy, takie były blade i wychudzone. Stacey, szczupła od samego początku, wyglądała jak cień. Miała cienkie kończyny i zapadnięte oczy. Kara wyglądała niewiele lepiej. Anna wiedziała, że nie różni się od koleżanek. Smród własnego ciała niekiedy uderzał ją w nozdrza, choć zdążyła się nań uodpornić. Ciekawe, co teraz pomyślałby o niej pan Spate.

Rankiem obudziła się z silnym bólem głowy i brzucha. Gdy usiadła, niebezpiecznie zakręciło jej się w głowie.

Przecież nie mogę się rozchorować, pomyślała desperacko. Tylko nie tu, nie teraz. Rozejrzawszy się, stwierdziła, że koleżanki jeszcze śpią. Wstała i z trudem opuściła chatę. W porannym świetle Cici wyglądała dużo lepiej. Siedziała na swoim krześle i plotła koszyk. Anna nie mogła pojąć, jak mimo ślepoty udaje jej się to robić.

Bulgotanie w brzuchu uświadomiło jej, że w pobliżu nie ma porządnej łazienki, tylko krzaki i liście. Minęła podwórko w poszukiwaniu ustronnego miejsca. Cici spojrzała w jej kierunku.

-Czy to ty, mała? - zapytała. - Jeszcze tu jesteś?

-To ja, Anna. - Podeszła do starej. Nie chciała budzić koleżanek; myśl o ich sprzeczkach była nie do wytrzymania. - Marion nie przyjechała.

-I komu to mówisz! Wczoraj nogi tak mnie bolały, jakby wlaź w nie sam diabeł. Modliłam się do Boga, żeby wezwał mnie do siebie, ale dziś czuję się jak nowo narodzona. - Kobieta zachichotała. - Chętnie bym sobie potańczyła!

-Wspaniała wiadomość - odrzekła Anna. - Myśli pani, że Marion przyjedzie?

-Oby. Usłyszy ode mnie parę słów.

Ból brzucha przybrał na sile. Przypominał skurcz. Anna usiadła na ziemi i beknęła. Cici prychnęła śmiechem.

-Niestrawność?

-Nie - odparła Anna i Cici roześmiała się ponownie. - Czy mogłaby nam pani powiedzieć, jak dotrzeć do Nichol's Town? Chyba pójdziemy pieszo. Omówiliśmy to wczoraj i nie możemy dłużej czekać.

Dłonie Cici pełzały po koszyku jak węże. Kosz zaczęty kilka minut wcześniej był w połowie gotowy.

-A więc chcecie mnie opuścić?

-Tak.

-Nie chcecie zostać ze starą Cici? - Nie czekając na odpowiedź, kobieta zaśmiała się pod nosem. - Jak dojdziecie na miejsce, poszukajcie Marion. Nazywa się Jeffers. Powiedzcie jej, przez co przesłam.

-Dobrze. - Anna pomasaowała brzuch. Ból nie ustępował.

Kiedy Stacey i Kara wstały, dziewczęta spakowały plecaki i korzystając z uprzejmości Cici, wzięły ze spiżarni kilka puszek. Następnie napełniły butelki i manierki wodą ze studni. Cici objaśniła im drogę do szlaku. W odległości sześciu mil płynęła rzeka, gdzie w razie potrzeby będą mogli uzupełnić zapas wody. Musiały przejść przez most i po dojściu do rozwidlenia trzymać się prawej strony, a za kilka dni dojdą do miasta.

Anna nie powiedziała koleżankom o bolącym brzuchu w obawie, że pójdą bez niej. Wołała uniknąć losu Alice. I Laury. Nie mogła sobie pozwolić na słabość. Wyspa przeżuwała słabych ludzi i wypluwała ich jak zużyty tytoń. Anna postanowiła zacisnąć zęby. Jeśli utrzymają dobre tempo i nie zgubią się po drodze, wkrótce dotrą do Nichol's Town i będzie mogła zażyć lekarstwo.

Dwadzieścia mil, pomyślała. Istny maraton.

Kiedy odchodziły, Cici siedziała na krześle, zajęta wyplataniem koszyka. Anna i Stacey pożegnały się ze staruszką, a Kara ograniczyła się do paru aroganckich i pogardliwych spojrzeń. Mimo to w jej szklistych oczach malowała się rozpacz. Anna czuła, że Kara skrywa coś jeszcze mroczniejszego, i miała nadzieję, że nie sprawi im jakiejś niemiłej niespodzianki.

-Powodzenia, dziewczynki - zawołała Cici. - Jeśli Marion przyjedzie, opowiem jej o was. Może spotkacie się po drodze!

-Do widzenia, Cici - mruknęła Anna. Zdążyła polubić niewidomą staruszkę. I oto znów znalazły się same w lesie. Miała nadzieję, że wytrzymają długą wędrówkę i nie popełniają błędów, zbyt wcześnie opuszczając dom Cici.

Whiskens

# NA ROZDROŻU

Pomimo wypełnionych plecaków wędrówka utartym szlakiem okazała się znacznie łatwiejsza niż marsz leśnymi ostępami. Brzuch Anny nadal dawał się we znaki, lecz jakoś sobie radziła. Przynajmniej przestała odczuwać głód. Musiała tylko ustawicznie walczyć z chęcią przykucnięcia w krzakach, co odczuwała jako prawdziwą zmore. Brzuch spuchł jej jak balon, w przeciwieństwie do reszty ciała, na której odzież wisała jak worek. Anna podejrzewała, że ubranie stało się co najmniej cztery rozmiary za duże.

Szła obok Stacey, Kara wyprzedzała je o kilka kroków. Często odpoczywały.

-Ale się zdziwią na nasz widok - stwierdziła Anna.

- Pewnie myślą, że zginęliśmy.

-No.

-Założę się, że moi rodzice pozwalają władze obozu - wtrąciła Kara. - Idioci.

-Jaka będzie pierwsza rzecz, którą zrobicie po powrocie? - spytała Anna.

-Ja poczytam - odparła Stacey. Anna potrząsnęła głową. Cała Stacey. - Mówię poważnie. Jestem w połowie świetnej książki. Chciałam ją zabrać, ale skonfiskowali mi w obozie. Leży gdzieś w szafce. A wy?

-Umyję włosy. Marzę, aby wziąć prysznic.

-Ja tak samo. - Kara kopnęła kamyk. - Nie wiem, czy jeszcze kiedykolwiek poczuję się czysta. - Anna wiedziała, że Kara ma na myśli coś więcej niż tylko brud i pot.

Tłusty, szary ptak z niebieskim trójkąciem na grzbiecie przespacerował po ścieżce na wprost nich i dziewczęta przystanąły.

-Co to u licha jest? - spytała Kara.

-Może jakiś gatunek kaczki? - podsunęła Anna. - Stacey?

-Nie mam pojęcia.

-Ciekawe, czy nadaje się do jedzenia. Mogłybyśmy go upiec. - Ptak chyba wyczuł zagrożenie, gdyż ominął je zwinnie i zniknął wśród gałęzi. Kara skoczyła za nim o sekundę za późno i ze złością kopnęła stertę liści. Zaklęła i tupnęła nogą. - Prawie go miałam - powiedziała. - Mogłam go zabić. Przetrwają najsilniejsi. - Anna uświadomiła sobie z przerażeniem, że Kara nie żartuje. - Ale byśmy miały ucztę. - Kara wyglądała na bliską płaczu.

-Nie łam się, Kara - powiedziała Anna. Chciała objąć koleżankę, ale zrezygnowała. Pomimo tylu wspólnych przeżyć nie uważała Kary za przyjaciółkę. Istniało między nimi zbyt wiele różnic.

Ruszyły naprzód i po chwili Kara się uspokoiła.

-Przepraszam - powiedziała. - To idiotyczne wkurzać się tak z powodu ptaka. Pobył na wyspie nie wpływa na mnie najlepiej. - Mówiła cienkim, nie swoim głosem.

-Hej Anno, dobrze się czujesz? - spytała nagle Stacey. Anna nie kryła zdumienia. Była przekonana, że radzi sobie znakomicie, a przynajmniej dużo lepiej niż Kara. Naraz spostrzegła, że machinalnie masuje obolały brzuch.

-Nic mi nie jest. To tylko skurcz. - Oderwała rękę od brzucha. Nie dopuszczała do siebie myśli o chorobie.

Usłyszały rzekę, jeszcze zanim ją zobaczyły, pulsujący łoskot, którego echo docierało do gościńca. Anna odczuła pewną ulgę: szły właściwą drogą, Cici wskazała im dobry kierunek. Zostało tylko czternaście mil, pomyślała. Jeśli zdołała przejść sześć, przejdzie i czternaście.

Rzeka stanowiła pierwszy z trzech punktów orientacyjnych, o których wspomniała Cici. Drugim było rozdroże, gdzie droga rozgałęziała się w trzech kierunkach; tam musiały wybrać szlak biegnący po prawej stronie. Trzeci punkt miał znajdować się bardzo blisko miasta; był to ogromny granit o nazwie Highsea Rock z informacją, że do Nichol's Town są zaledwie trzy mile.

Kiedy przyśpieszyły kroku, kierując się ku rzece, Anna z radością pomyślała o opuszczeniu lasu i powrocie do Ameryki. Z powodu bólu brzucha jedzenie straciło nieco ze swego uroku, jednak perspektywa prysznic, czystej odzieży i miękkiego łóżka wydawała się iście niebiańska.

Jednak na brzegu czekało je srogie rozczarowanie. Wbrew zapewnieniom Cici rzeka okazała się rwąca i szeroka na dwadzieścia stóp. Woda z impetem obmywała błotniste brzegi. Najgorsze zaś ze wszystkiego było to, że w miejscu spodziewanego mostu pozostały jedynie drewniane słupy.

-O nie - mruknęła Stacey.

-Gdzie jest most? - warknęła Kara. Była rozzłoszczona i zbita z tropu. - Stacey, mądra głowo? Gdzie jest ten pierdolony most?

-Uspokój się. Burza musiała go zniszczyć.

Anna kucnęła w błocie, zwalczając mdłości.

-Przynajmniej to tłumaczy nieobecność Marion -dodała Stacey. - Pewnie nie mogła przejechać na drugą stronę.

-Cóż, to miło, że mamy wyjaśnienie zagadki, ale co my, kurwa, teraz zrobimy?

-Kurwa - powtórzyła jak echo Anna, zwracając się do wody i samej wyspy. Po tylu przejściach była im coś winna. Nie mogła ich teraz zawieść. - Kurwa.

-Możemy przeprowić się wpław - ciągnęła Stacey. W jej głosie pobrzmiewała niepewność. Z powodu ich wyczerpania było to niemal jednoznaczne z samobójstwem. - Umiecie pływać?

-Pewnie, że umiem pływać - potwierdziła Kara. -Ale popatrz na ten prąd.

Anna ze znużeniem skinęła głową.

-Umiem.

Stacey otarła pot z czoła.

-Tu jest za szeroko. Musimy przejść się wzdłuż brzegu i poszukać węższego miejsca. Może znajdziemy inny most.

Anna wstała. Skoro Stacey kazała jej iść, pójdzie. Zrozumiała, że nie zdoła uciec chorobie. Ochlapała wodą czoło w nadziei, że to ostudzi gorączkę.

-Może powinniśmy tu poczekać? - podsunęła Kara. -W końcu ktoś przyjedzie i naprawi most, no nie?

-Żartujesz? To może potrwać wieki.

-Mogłybyśmy wrócić do Cici.

Odrzuciły ten pomysł: musiałyby zawrócić i straciłyby cenny czas. Zresztą Cici i tak nie mogła nic dla nich zrobić.

Usiadły na brzegu, wsłuchane w hipnotyzujący ryk rzeki. Słońce stało wysoko, migocząc na wzburzonej tafli. Normalnie Anna doceniłaby urok otoczenia, lecz teraz odczuwała tylko rozpacz. Piękno nie miało znaczenia, skoro jego cena była tak niebotyczna.

Pęcherze na stopach, których stan poprawił się podczas pobytu u Cici, znowu zaczęły pękać, powodując dotkliwie pieczenie palców. Anna czuła się jak kaleka.

Po półgodzinie dziewczęta wstały i ruszyły na północ w poszukiwaniu dogodnego miejsca do przekroczenia rzeki. Koryto wcale się nie zwężyło i nic nie wskazywało na to, że w pobliżu znajdował się jakikolwiek most. Zrezygnowane wróciły do punktu wyjścia. Jeśli chciały dostać się na drugi brzeg, nie pozostawało im nic innego, jak przepłynąć.

Stacey wzięła kij i zbadała głębokość. Kij zanurzył się na stopę, lecz dziewczęta nie mogły z całą pewnością stwierdzić, że środek będzie równie płytki. Stacey rzuciła kij do rzeki i patrzyła, jak ucieka z prądem. Była tak krucha, że kontakt z rwącymi falami budził w niej zrozumiały strach.

-Nie chcę utonąć - powiedziała Anna. Nie zamierzała mówić tego głośno, słowa wyrwały się mimowolnie.

-Nie utoniemy - zapewniła Kara. - Byle iść przed siebie i nie upaść, a nic nam nie grozi.

Stacey kiwnęła głową.

-Powinnyśmy zdjąć buty i zapakować je do plecaków. Dzięki temu pozostaną suche. Plecaki poniesiemy nad głowami.

Rozpoczęły przygotowania. Anna z trudem dotrzymywała kroku koleżankom. Ból brzucha dokuczał jej tak bardzo, że prawie nie mogła się schylić, lecz jakoś zdołała rozsznurować buty i schować je do plecaka. Zdjęła skarpetki, całe czarne, odsłaniając zdartą, czerwoną skórę.

-Ohyda - oznajmiła Kara, lecz jej własne stopy wyglądały nie lepiej.

Ściskając plecaki, przygotowały się do wejścia w fale.

-Pójdę pierwsza - powiedziała Kara. Proszę bardzo, pomyślała nerwowo Anna.

-Idź - odparła Stacey.

Kara przeszła po błocie i stanęła w wodzie po kostki.

-Zimna! - stęknęła. Cofnęła nogę, po czym włożyła ją z powrotem. Stacey i Anna stały niepewnie tuż za nią. Kara weszła do kolan, lecz rzeka mogła okazać się dużo głębsza. - Chodźcie! Przecież nie pójdę sama.

Rwąca woda napełniała Annę przerażeniem, lecz obietnica wybawienia oddalonego o czternaście mil stanowiła silną motywację. Dziewczyna wzięła więc głęboki oddech i podążyła za Karą. Niebawem wszystkie stały w zimnej wodzie opodal brzegu. Prąd był tak wartki, że miały wrażenie, jakby grunt usuwał im się spod nóg. Z trudem zachowywały równowagę, dokonując cudów, aby utrzymać plecaki nad spienioną taflą.

-Żwawo! - ponagliła Kara, kierując się w stronę drugiego brzegu, który nagle wydał im się bardzo odległy.

Anna przyjrzała się koleżance. Kara sprawiała wrażenie, jakby każdy krok kosztował ją dużo wysiłku. Dno było usiane kamieniami i dziewczyna chwilami stawiała wysoko ponad wodą, a czasem zanurzała się głęboko.

Stacey ruszyła jej śladem i Anna zrozumiała, że musi zrobić to samo. Spojrzawszy na drugi brzeg, dostrzegła kiść purpurowych orchidei na zielonym tle. Utkwiła w nich wzrok. Muszę dojść do tych kwiatów, powtarzała w myślach. Potem ruszę gościńcem i dotrę do miasta.

Szła za koleżankami, przyciskając plecak do piersi. Dno było śliskie, kamienie drażniły obolałe stopy. Woda sięgnęła jej do ud, a Stacey do pasa. Anna wolała nie patrzeć na rzekę, gdyż widok potęgował jej mdłości. Nie spuszczała wzroku z orchidei. Kara znajdowała się nie dalej jak pięć stóp od drugiego brzegu, a Stacey kawałek za nią, kiedy nagle stało się coś nieoczekiwanego.

Plecak wyślizgnął się z rąk Stacey i wpadł do wody. Dziewczyna machinalnie wyciągnęła rękę, by go złapać. Prawie chwyciła za pasek, gdy nagle straciła równowagę i upadła. Piana otoczyła jej drobne ciało. Stacey próbowała wstać, lecz siła wody okazała się zbyt duża i prąd porwał dziewczynę ze sobą.

-Stacey! - krzyknęła Anna. Próbowała rzucić się za nią, lecz mało sama nie upadła, musiała więc przystanąć. Kara przebyła ostatni odcinek prowadzący na drugi brzeg i padła w błoto.

Anna bezsilnie patrzyła, jak Stacey walczy z prądem, bezskutecznie szukając punktu oparcia. Od upadku minęło parę sekund, lecz woda zdążyła ponieść ją daleko.

-Pospiesz się, Anno! - krzyknęła Kara, na chwilę odciągając jej uwagę od Stacey. - Nie szalej! Idź przed siebie!

Anna zrozumiała, że aby pomóc Stacey, musi najpierw dojść na drugi brzeg. Każdy krok napawał ją przerażeniem, z całej siły zaciskała palce na plecaku. Mozolnie brnęła przed siebie i nim się spostrzegła, wyszła na brzeg. Rzuciwszy plecak na ziemię, legła w błocie obok zdyszanej Kary.

-Stacey upadła!

-Widziałam.

-Boże, Kara, musimy jej pomóc. -Anna z wysiłkiem dźwignęła się do pozycji siedzącej i popatrzyła na rwącą rzekę. Stacey znikła jej z oczu. - Jeśli czegoś nie zrobimy, utonie. Musimy iść w dół rzeki i jej poszukać.

Kara nie ruszyła się z miejsca. Anna stanęła na niepewnych nogach.

-Nie możemy jej tak zostawić.

-Zostawiłyśmy Laurę - odparła Kara. - I Alice. -Była wyczerpana.

-To co innego.

-Bo Stacey jest twoją przyjaciółką?

-Znam ją od tygodnia! - Od upadku Stacey minęło kilka minut; traciły bezcenny czas. - Nie możemy się kłócić, trzeba jej poszukać!

-Jasne. - Kara usiadła. - Potrzebujesz przyjaciółki, co? Kogoś, komu możesz szeptać do uszka. Wyprawa bardzo was zbliżyła.



-To jakieś szaleństwo! -Anna była bliska płaczu. -Nie dyskutuj ze mną! - Desperacko spojrziała na rzekę, chcąc uzyskać potwierdzenie, że Stacey ocalała. - Ona może tam tonie!

-No to leć za nią - skwitowała Kara. Anna zrozumiała, że Kara nie ma siły ani ochoty na poszukiwania.

-Idę.

-Zaczekam na ciebie tu, przy drodze. - Kara opadła na plecy, prostując ramiona w błocie.

Biegając wzdłuż rzeki, Anna uświadomiła sobie z bolesną jasnością, że Kara wcale nie przeżyła się upadkiem Stacey, choć to jej zawdzięczały fakt dotarcia tak daleko.

Nie wierzyła, że Stacey utonęła. Nie zważając na ból brzucha przeszukiwała wzrokiem wzburzone fale. Stacey posiadała zbyt wiele rozsądku i determinacji, żeby dać się pochłonąć wodzie. Anna stwierdziła, że nie zniesie kolejnej śmierci.

Na przeciwnym brzegu, jakieś dwieście jardów od miejsca, w którym przebyły rzekę, dostrzegła skuloną postać. Serce zamarło jej w piersi.

-Stacey! - krzyknęła, niezdarnie przyśpieszając kroku.

Postać drgnęła. Stacey żyła.

-Nic ci nie jest? - wrzasnęła Anna, przekrzykując ryk wody. Stała na brzegu naprzeciw miejsca, gdzie leżała Stacey. - Słyszysz mnie? Jesteś ranna?

-Wpadłam na skałę - dobiegł przytłumiony głos Stacey. - Udało mi się wyjść.

-Musisz przejść na drugą stronę.

-Nie mogę. Zraniłam się w nogę. Jest złamana.

-Jesteś pewna? - krzyknęła w odpowiedzi Anna. -Co my teraz zrobimy? - Poczwała narastającą panikę. -Siedź tam, zaraz po ciebie przyjdę.

-Nie! - Głos zabrzmiał donośniej. Stacey zamachała rękami. - Nie idź! To zbyt niebezpieczne.

-Muszę.

-Posłuchaj! Nie waż się wchodzić do rzeki. Nie zrobię ani kroku dalej. Widzę kość. To skomplikowane złamanie.

Anna już wchodziła do wody.

-Proszę! To na nic! Nie ryzykuj! Nie mogę chodzić.

Zgubiłam plecak, nie mam nawet butów.

Anna przystanąła, częściowo z powodu słów Stacey, a po części dlatego, że rzeka okazała się głębsza niż przedtem i Anna nie miała sił po raz kolejny walczyć z prądem. W odległości zaledwie kilku stóp od brzegu woda sięgała jej do ud.

-Wszystko w porządku - zawołała Stacey. - Idźcie dalej. Jesteście blisko. Przyślecie po mnie ludzi.

-Stacey!

-Nie ruszę się z miejsca. Nie boję się. Wiem, że znajdziecie pomoc. - Pauza. - Zgubiłam notes.

-Tak mi przykro.

Czyżby Stacey płakała? Tylko nie to, pomyślała Anna, nie Stacey. Łoskot rzeki zagłuszał wszystkie inne odgłosy. Wróciła na brzeg, przemoczona do nitki.

-A jedzenie? - krzyknęła. - Mam ci coś rzucić?

-Nie jestem głodna. Poza tym mam mnóstwo wody. Słowa ginęły w ogólnym hałasie.

-Wrócimy po ciebie, obiecuję.

-Wiem.

-Do zobaczenia, Stacey!

-Idź!

Anna ruszyła w kierunku miejsca, gdzie zostawiła Karę. Wszystko potoczyło się tak błyskawicznie, że nie mogła się otrząsnąć. Dotąd sądziła, że kto jak kto, ale Stacey na pewno wyjdzie z tego bez szwanku. Wierzyła w nią bardziej niż w samą siebie. A teraz zostały tylko we dwie, ona i Kara.

Trzy, dwie, a potem ile? - zabrzmiał nieproszony głos w jej głowie.

Przymknij się, pomyślała. Nie będę cię słuchać. Żadnych negatywnych myśli.

Dwie, jedna, a potem zero, ciągnął niezrażony głos. Umrzecie tu, Anno, tak jak na to zasługujecie, i nikt nie uрони ani jednej łzy.

-Nie! - powiedziała głośno Anna. - To nieprawda!

Wynocha! - Zrozumiała, że mówi do siebie jak nienormalna, ale było jej wszystko jedno. Zaczęła nucić pod nosem, żeby zagłuszyć głos, lecz towarzyszyło jej nieodparte wrażenie, że stanie się coś złego.

-Znalazłaś Stacey? - spytała Kara.

-Jest na drugim brzegu. Ma złamaną nogę.

-Przynajmniej żyje. Mogła uważać. - Słowa Kary przypominały zdanie Adlera wypowiedziane pod adresem Amelii.

-Mówi, że mamy iść dalej.

-Becenna rada. - Kara nie przejęła się losem koleżanki. -We dwie pójdziemy dużo szybciej. Od początku mówiłam, że musimy ze sobą trzymać. Dam głowę, że już byłybyśmy na miejscu.

-Kara, nie jestem pewna, czy Stacey da sobie radę. Nie wiem, czy możemy ją zostawić.

-Jest bystra, poradzi sobie. Poza tym zostało nam niecałe czternaście mil.

-Obiecałam, że wyślemy po nią ratowników.

-Zatem postanowione. - Kara wstała. Anna dostrzegła na jej ramionach liczne ranki. Nie widziała ich wcześniej, ukazały się dopiero, gdy woda zmyła brud, odsłaniając powierzchnię skóry.

-Musimy iść - powiedziała Anna, choć bolały ją wszystkie kości, nie wspominając o brzuchu. Zyskała kolejny powód, by jak najszybciej dotrzeć do miasta. -Ruszajmy w drogę, zanim się ściemni. Może będziemy musiały iść przez całą noc.

Po chwili odpoczynku narzuciły plecaki i poszły dalej gościńcem. Droga rozszerzyła się nieco, miejscami miała niemal szerokość dwupasmówki. Jeśli Cici mówiła prawdę, za parę mil powinny dotrzeć do rozdroża. Jednak posuwały się tak wolno, że Anna wątpiła, czy dojdą tam przed zachodem słońca.

Pomimo zaścielających liści i gałązek szlak był wyraźny. Anna widziała ślady opon i zastanawiała się, czy nie należą, aby do samochodu Marion.

-Nienawidzę tego miejsca - rzuciła Kara. - Czy już to mówiłam?

Anna kiwnęła głową. Zmęczenie uniemożliwiało jej odpowiedź.

-Jestem taka głodna, że oddałabym wszystko za rogalika - oznajmiła Kara. Słyszac to, Anna poczuła kolejną falę mdłości. Chrzęknęła.

-Nigdy nie mówiłaś, dlaczego tu trafiłaś - powiedziała po pewnym czasie Kara. - Od początku nie daje mi to spokoju. Ty i Stacey sprawiacie wrażenie tak przyzwoitych, że kompletnie mi tu nie pasujecie. Wszyscy wiedzą, co przeskrobała Stacey, ale ty?

-Ja o tobie też nic nie wiem.

-To prawda. - Kara miała taką minę, jakby zaskoczyła ją ta uwaga.

-Powiedz pierwsza.

Kara kopnęła kokos leżący przed nią na drodze. Przeturlał się przez liście i wpadł w poszycie. Od wypadku Stacey Kara tryskała dobrym humorem, choć być może wynikało to ze świadomości bliskiego ocalenia. Anna z troską pomyślała o Stacey leżącej samotnie na brzegu.

Kara uśmiechnęła się z wyższością.

-Naprawdę chcesz wiedzieć?

-Czemu nie.

-Powiem, jeśli ty opowiesz mi o sobie.

Anna zrozumiała, że jej tajemnica straciła rację bytu. I tak pewnie nigdy więcej nie zobaczy Kary, więc nadmiar dyskrecji nie był potrzebny. Poza tym była zbyt zmęczona, by cokolwiek ukrywać.

-Zaszłam w ciążę - powiedziała i słowa zawisły w wilgotnym powietrzu. -I ją usunęłam.

-I za to cię odesłali? - Kara była zdziwiona, lecz nie kryła rozbawienia. - I co w tym złego? Trzy moje koleżanki miały w zeszłym roku skrobankę. Wielkie rzeczy.

-Złamałam szlaban, imprezowałam, wracałam do domu pijana. Kilka razy wzięłam narkotyki. Ojciec myślał, że spotykam się z facetem, który zrobił mi dziecko.

-Tak było?

-Nie. Myślał, że to mój chłopak, ale tak naprawdę sypiałam z nauczycielem. Kara wybuchnęła śmiechem.

-Żartujesz. Może jednak nie jesteś wcale taka przyzwoita.

-Może nie. A ty, Kara? Dlaczego tu jesteś?

-Sama nie wiem, czy ci powiedzieć - odparła skromnie Kara. Anna zastanawiała się, czy złamie obietnicę. - To takie straszne. Dużo gorsze niż twoje przewinienie. - Kara zaśmiała się nerwowo, jakby elektryzowała ją myśl o własnym postępku.

Ni stąd, ni zowąd Anna zgięła się wpół i zwymiotowała. Żółć paliła ją w przetyku. Skąd to się brało?

-Jesteś chora. - Słowa zabrzmiały jak oskarżenie.

-Nic mi nie jest - wydusiła Anna. W ciągu ostatnich dni każda z dziewcząt wymiotowała przynajmniej raz.

-Akurat.

Anna otarła usta w wilgotną koszulkę.

-Mówię ci, że nic mi nie jest.

-Masz gorączkę? - Kara bez uprzedzenia przyłożyła jej rękę do czoła. - Ty płoniesz! Anna, przed nami kawał drogi. Jak ty sobie poradzisz?

-Nie martw się o mnie. - Wiedziała, że słowa Kary nie wynikają z prawdziwej troski, lecz obawy, że jej stan narzuci wolniejsze tempo.

-Mogłaś powiedzieć, że się źle czujesz. Częściej byśmy odpoczywały. Podjęły wędrowkę. Anna poczuła się nieco lepiej.

-Nie wykręcisz się - powiedziała wreszcie do Kary. - Dlaczego wylądowałaś w Archstone?

-To taka długa historia, że nie wiem, czy chce mi się opowiadać.

-Gadaj.

-Jesteś pewna?

-Tak.

-No, dokuczałam w szkole pewnej dziewczynie. Popelniła samobójstwo i zwalili wszystko na mnie.

-Aha.

-No wiesz, w gruncie rzeczy tak bardzo jej nie dokuczałam. Nie bardziej niż moje koleżanki. Wszyscy mówili, że tworzymy klikę, ale tak nie było. - Kara zakaszłała. - Każda grupa ładnych dziewcząt od razu dostaje etykietkę kliky. Rozumiesz, co mam na myśli.

-Rozumiem.

-Ta dziewczyna była naprawdę okropna. Miała aparat na zębach, taki wielki, metalowy, okulary jak denka od butelek i makabryczną fryzurę. Nosła ciuchy z supermarketu. Wszyscy się z niej śmiali, nie tylko ja.

Anna skinęła głową. Bez trudu wyobraziła sobie ofiarę Kary; w żadnej szkole nie brakowało podobnych dziewcząt. Stacey też pewnie do nich należała.

-Sporządziliśmy petycję o nazwie K. U. R. W. A., czyli Komitet Urabiania Rebecki Według Agendy. Ona miała na imię Rebecca. Ja wymyśliłam treść, moja koleżanka napisała. Całość sprowadzała się do tego, że nienawidzimy Rebecki i każdy musi co dzień wykręcić jej jakiś paskudny numer. Namówiliśmy wszystkie dziewczęta z klasy i niektórych chłopców, żeby to podpisali i schowałyśmy jeden egzemplarz w jej szafce. Takie tam głupoty, sama rozumiesz. Kto by pomyślał?

Kara uśmiechnęła się dziwnym uśmiechem. -I co było dalej?

-Tej wariatce odbiło i podcięła sobie żyły. Poziomo, jak należy. Wszyscy twierdzili, że ja ją do tego doprowadziłam i stałam się wrogiem publicznym numer jeden. Szkolny psycholog, rodzice Rebecki i moja mama spotkali się, żeby uradzić, co dalej. Uznali, że potrzebuję kuratora i mama powiedziała, że zamieszkam z ojcem w Tempe. Dostałam szału. Kopnęłam ją i spadła ze schodów prosto na twarz. Nie miałam pojęcia, że oczy też można sobie wybić. Anna słuchała w odrętwieniu.

-Złożyła skargę i zostałam aresztowana. Nie było wyjścia, Archstone albo poprawczak. Zupełnie jak Stacey, dasz wiarę? Wtedy myślałam, że Archstone to lepsze rozwiązanie. - Urwała. - I co myślisz? Wstrząśnięta?

-Nie.

-Stara miała rację. Istne ziółko ze mnie, Anno.

-Na to wygląda.

Przez chwilę szły w milczeniu.

-Nie jesteś zła, że tu trafiłaś? - spytała Kara.

-Początkowo byłam - odrzekła prawdopodobnie Anna. - Ale teraz chcę tylko wrócić do domu. Nic innego mnie nie obchodzi.

Kara zmarszczyła brwi.

-Masz szczęście. Wrócisz do domu i mimo że spałaś z nauczycielem, nic wielkiego się nie stało. Rodzice pewnie powitają cię z otwartymi ramionami. A ja? Założę się, że matka wyśle mnie do innego obozu albo do poprawczaka. Mam to jak w banku.

Nagły skurcz w żołądku sprawił, że Anna zgięła się wpół. Miała wrażenie, jakby ktoś wiercił jej nożem w brzuchu. Przystanęła.

-Muszę odpocząć - wymamrotała, klękając na poboczu.

-Dobra. - Kara odchrząknęła i splunęła. - Ja też chętnie odpocznę.

Usiadły w cieniu na skraju drogi i Kara podjadła trochę mielonki z puszki. Pomimo bólu Anna wstała i wkrótce ruszyły w dalszą drogę. Kiedy się ściemniło, dziewczęta z rozczarowaniem stwierdziły, że od rozdroża wciąż dzieli je kawałek drogi. Rozпалиły ognisko i rozłożyły śpiwory pod wielkim dębem. Anna ledwo mogła się ruszyć; świadomość, że wybawienie było na wyciągnięcie ręki, a mimo to tak daleko, nie pozwalała jej zasnąć. Pomyślała o Stacey, samotnej nad rzeką. Miała nadzieję, że jakoś się trzyma.

Zasypiała na parę minut, po czym znów się budziła, zlana potem. Dokuczały jej silne zawroty głowy, kilka razy zwymiotowała do śpiwora.

Rankiem była na wpół przytomna. Mętne światło przenikało przez gałęzie i kłuło ją w oczy.

Jestem chora, pomyślała z przerażeniem. Naprawdę chora. Co ja teraz zrobię?

Śpiwór zeszywniał od wymiocin i śluzu. Nie chciało jej się wstać, lecz odczuwała przemożną potrzebę wypróżnienia. Wylazła ze śpiwora i wyminawszy śpiąca Karę w ostatniej chwili weszła w krzaki i opuściła spodnie. Szkoda, że pan Spate mnie teraz nie widzi, pomyślała. Czuła się równie odrażająca jak Leod. Podtarła się liśćmi i chwiejnie wróciła do śpiwora. Wiedziała, że nie zrobi ani kroku dalej. Dała z siebie wszystko, lecz jej ciało wreszcie odmówiło posłuszeństwa. I tak wytrzymało zadziwiająco długo. Kara będzie musiała sama dojść do Nichol's Town. To jedyne możliwe rozwiązanie.

Tymczasem ja odpocznę i zaczekam na nadejście pomocy, postanowiła. Myśl przyniosła jej pewną ulgę. Nie wiedziała, że największe wyzwanie dopiero ją czeka.

# 11

## dar

Gdy Kara obudziła się godzinę później, była wstrząśnięta stanem Anny.

-Ojej, jak ty wyglądasz. Co się stało?

W odpowiedzi Anna tylko jęknęła i rozplakała się mimowolnie.

-Mój brzuch. Dalej nie pójdę. - Perspektywa prysznic i miękkiego łóżka odpłynęła w niebyt.

- Musisz iść sama.

Kara usiadła na plecaku.

-O kurwa. Strasznie mi przykro.

-Mnie też - odrzekła Anna, wycierając oczy. Natychmiast pożałowała tych słów. Była równie winna choroby, jak Stacey złamania nogi.

-Pójdę do Nichol's Town i ściągnę pomoc. Do wieczora będziesz bezpieczna. Głowa do góry. Słowa Kary brzmiały obiecująco, lecz Anna dostrzegła w jej oczach dziwny wyraz, tak jakby nie mówiła prawdy. Uderzyła ją straszna myśl, że Kara pozostawi ją własnemu losowi.

Ale przecież nikt nie mógł być aż tak zły. I dlaczego miałyby to zrobić? Nic na tym nie zyska. Mimo to Anna odczuwała pewien niepokój, jak chwilę przed śmiercią Adlera.

-Kara, powiesz im, prawda? O mnie i pozostałych?

Kara zmarszczyła brwi.

-No pewnie. Jak mogłabym tego nie zrobić?

-Wiesz, że jeśli nie sprowadzisz pomocy, czeka mnie śmierć. Jesteś moją jedyną nadzieją. Musisz im powiedzieć, gdzie jestem.

-Wiem, wiem. - Kara wstała. - Co cię naszło? Dlaczego miałabym nie powiedzieć? Choroba padła ci na mózg. - Lecz w jej spojrzeniu ponownie błysnęło coś, czego nie sposób było przeoczyć.

Anna potrząsnęła głową.

-Stacey i ja cię potrzebujemy.

-Wiem.

Anna potarła czoło. Może rzeczywiście tracę rozum, pomyślała. Widzę w jej oczach coś, czego tak naprawdę nie ma. Anna postanowiła złożyć swój niepokój na karb zdenerwowania sytuacją, gdy naraz Kara powiedziała coś nieoczekiwanego.

-Ty i Stacey, ty i Stacey - wymamrotała. - Kochanki, pomyślałby kto. - Uśmiechnęła się złośliwie, ukazując zęby. - A już myślałam, że tylko Erica jest lesbą.

-Kara, proszę cię. Jestem chora.

-Ja też! Rzygam tobą i całą tą wyspą!

Jej okrzyk poniósł się wśród gałęzi i Anna drgnęła. Miała rację: z Karą działo się coś niedobrego.

Kara odwróciła się, wyrzucając ręce w powietrze.

-Przecież mówiłam, że sprowadzę pomoc, nie? Dlaczego mi nie wierzysz? Zrobiłam ci coś złego?

-Nie wściekaj się - prosiła Anna. Jej nieufność wzmagą się z każdą chwilą. Jeśli Kara z jakichś niewyjaśnionych powodów odmówi pomocy, Anna umrze. Ponownie zebrą jej się na wymioty. Była skazana na łaskę Kary i musiała ją jakoś udobruchać. - Proszę, Kara. Uspokój się. - Jak to się stało, że neutralna rozmowa przeszła w kłótnię?

-Próbowałam się z tobą zaprzyjaźnić. Próbowałam być miła, ale ty wciąż mi nie ufająś.

-Przepraszam, Kara. Proszę...

Kara przykucnęła obok Anny, w niebieskich oczach błysnął gniew.

-Wiesz co? Cieszę się, że jesteś chora. Miałam cię powyżej uszu. Jesteś nudną, małą dziwką, która sypia z nauczycielami. - Zmarszczyła nos. - Na dodatek śmierdzisz. Czy ty w ogóle nie masz do siebie szacunku?

Anna usiadła.

-Kara...

-Ty i Stacey od początku nie chciałyście mnie słuchać. Musiałam z wami walczyć na każdym kroku, a kiedy zostałyśmy we trzy, próbowałyście mną rządzić. Teraz jesteś chora i chcesz, żebym szła sama taki kawał. Nic cię to nie obchodzi. Chcesz tylko, żebym pobiegła po pomoc dla ciebie i tej karlicy.

-To nie tak!

Kara uśmiechnęła się złośliwie.

-Jak to nie? Wiesz, nie chciałam ci nic mówić, ale skoro nalegasz, usłyszysz ode mnie parę słów prawdy. - Ponownie wstała, okrążając Annę jak rekin przed atakiem. - Nie zamierzam wracać do domu. Gdybyś poznała uroki życia z moją matką, wiedziałabyś dlaczego. Prędejj



wolałabym się zabić niż wrócić do tego piekła. Tempe i poprawczak też odpadają. Kiedy dotrę do Nichol's Town, ucieknę. Rozumiesz? Zakradnę się do miasta, wsiądę na statek do Nassau i tyle mnie będą widzieli. Odzyskam wolność. Wszystko dokładnie obmyśliłam. Podczas gdy ty, Stacey i ten cudak Erica robiłyście w portki ze strachu, ja układałam w głowie plan. Cała sytuacja, tamten wypadek, dają mi szansę ucieczki i rozpoczęcia nowego życia bez niczyjej kontroli. I tylko mnie udało się wyjść bez szwanku z tego bagna, bo jestem najmądrzejsza. - Urwała, żeby zaczerpnąć tchu.

Anna nie posiadała się ze zdumienia. Miała wrażenie, że wciąż śni.

-Masz rację, że nikomu o was nie powiem - podjęła Kara. - Nie wiem, jak to odkryłaś, ale trafiłaś w sedno. Nie powiem im ani o tobie, ani o Stacey.

Anna zrozumiała, że ma przed sobą osobę pozbawioną zasad i sumienia.

-Posłuchaj, Kara. Jeszcze nie jest za późno, żebyś zmieniła zdanie.

-Owszem, jest.

-A anonimowy list? Mogłabyś podrzucić go na policję.

-Nie będę ryzykować.

-Twój plan jest bez sensu! - krzyknęła Anna w przypiływie energii. - Będą cię szukać! Od razu zostaniesz rozpoznana. Przecież nasze zdjęcia na pewno były w gazetach i telewizji. Złapią cię! Nie masz pieniędzy. Z czego się utrzymasz?

-Dziewczyna może sprzedać dużo rzeczy - odparła Kara. - Postaram się zrobić wszystko, żeby mnie nie złapali.

-Nie zrobisz tego - powiedziała Anna. - Nie pozwolisz mi tu umrzeć.

-Spójrz na sytuację z jaśniejszej strony. Może ktoś cię znajdzie. Na przykład Marion.

Ona doskonale się bawi, stwierdziła Anna. Poczwała kolejną falę mdłości i zacisnęła pięści. Gdyby nie osłabienie, rzuciłaby się na Karę, choć ta była wyższa i postawniejsza. Wiedziała, że jej słowa trafiają w próżnię, gdyż Kara straciła rozum. Nie sposób pertraktować z wariatem.

-Cóż, na razie, mała - rzuciła Kara. Wstała i nałożyła plecak. - Miło było cię poznać.

Anna przełknęła zółć.

-Mam nadzieję, że umrzesz.

-Skąd ta gorycz, Anno? Jak to było? Przetrwają najsilniejsi.

-Nie jesteś najsilniejsza, tylko najpodlejsza.

-Nigdy się tego nie wypierałam.

-Jesteś potworem, jak Leod i Jurne.

-Nie sądzę.

-Znajdą cię i wsadzą do poprawczaka, zobaczysz.

-Niech cię o to głowa nie boli. Może obetnę włosy i założę okulary, żeby wyglądać jak Stacey. Albo przybiorę inne nazwisko. - W jej oczach malował się obłęd głodu i wyczerpania.

- Rozpocznę nowe życie.

Anna milczała.

-No to żegnaj. - Kara pomachała ręką na pożegnanie i wyruszyła w drogę. - Na razie! - zawołała przez ramię. - Powodzenia, Anno.

-Ty suko - mruknęła pod nosem Anna. Chciała dodać coś jeszcze, ale tylko przechyliła się i wymiotowała jaskrawą żółcią. Następnie opadła z powrotem do śpiwora. Przynajmniej zostało jej trochę wody i jedzenia. Gdyby Kara miała choć trochę oleju w głowie, zabrałaby wszystko, ale działała pod wpływem szaleństwa. Anna zrozumiała, że koleżanka liczyła na jej rychłą śmierć.

Resztę poranka spędziła na czworakach, pozbywając się resztek treści żołądkowej. Wraz z postępującą słabością ciała jej umysł zyskiwał nową siłę. Czyn Kary przydał mu nieoczekiwanej jasności i obudził instynkt samozachowawczy.

Pomimo fizycznego cierpienia Anna postanowiła przetrwać za wszelką cenę. Nie była to łatwa decyzja, zwłaszcza że od dłuższego czasu siedziała płacząc w kałuży wymiocin, postanowiła jednak, że nie skona w lesie jako przypadkowa ofiara czyjejś bezwzględności i szaleństwa. Zrozumiała, że musi wstać i pójść dalej. Porzuciła nadzieję na czyjąkolwiek pomoc.

-Wydostanę się stąd - powiedziała i dźwięk własnego głosu dodał jej otuchy. - Nie poddam się, słyszysz? - Mówiła do cienia Kary i do lasu, jednakowo obojętnych na jej los.

W przerwach pomiędzy kolejnymi atakami torsji dokonała przeglądu zapasów. Została jej tylko jedna puszka, co nie miało znaczenia, jako że przestała jeść. Woda była znacznie ważniejsza; Anna zmartwiła się na widok na wpół opróżnionej butelki. Wiedziała, że tonie starczy na długo. Żałowała, że nie zaczerpnęły więcej ze studni Cici albo z rzeki, ale przecież butelki były takie ciężkie. Będzie musiała poszukać czegoś po drodze.

Stwierdziła, że nie uniesie plecaka: dźwiganie metalowego stelaża przerastało jej siły. Potrzebowała jednak śpiwora oraz wody, dlatego postanowiła coś wymyślić. Pogrzebawszy w ziemi znalazła ostry kamień, za pomocą którego odcięła z wysiłkiem paski plecaka. Zdołała ciasno zrolować śpiwór i przymocowała doń paski, dzięki czemu mogła go nieść na plecach i wsunąć do środka butelki. Pozbywając się plecaka, zmniejszyła swój balast o połowę.

Ból żołądka powrócił i musiała chwilę odczekać. Zważywszy na chorobę i obolałe stopy, będzie miała szczęście, jeśli w ciągu dnia przejdzie choćby cztery mile. Czekają ją zatem

kolejne trzy dni marszu, chyba że ktoś ją podrzuci. Oczywiście dotąd nie widziała ani jednego pojazdu.

Dam radę, stwierdziła. Nieraz słyszała opowieści o ludziach, którzy w obliczu kryzysu czerpali skądś nadludzką siłę, na przykład kobiety podnosiły samochody przygniatające ich dzieci. Aby przeżyć, będzie musiała odnaleźć w sobie podobną moc. Ponownie rozważyła myśl o modlitwie, lecz nadal kojarzyła ją z fanatycznymi przekonaniem ojca. Sama da sobie radę, a potem zajmie się wiarą.

Kiedy atak bólu minął, wypłała trzy łyki wody i wstała, bardzo powoli, aby uniknąć uderzenia krwi do głowy. Na podstawie położenia słońca odgadła, że było wczesne popołudnie, choć nie miała pewności. Jej nowy „plecak” nie był wprawdzie zbyt wygodny, ale dużo lżejszy. Na początek postanowiła nie szarżować i pokonywać krótkie odcinki naraz. Zresztą i tak ledwo powłóczyła nogami.

Ruszyła przed siebie drobnymi krokami. Szła powoli, ale wytrwale. Po drodze nie napotkała żadnych śladów minionej bytności Kary, lecz wiedziała, że podąża jej śladem.

Nocowała na skraju gościńca. Nie licząc odcisniętych w błocie śladów opon, dokoła nie było żadnych oznak cywilizacji. W butelce z wodą ukazało się dno; rankiem będzie musiała poszukać jakiegoś źródła. Dotąd miała w tej kwestii dużo szczęścia, liczyła, że dopisze i tym razem.

Nocą rozmyślała o widmach, które nadal gościły w jej głowie, ojcu, panu Spate, Stacey i Karze. Ku swemu zdumieniu stwierdziła, że jej stan poprawia się z każdą chwilą. Brzuch nadal bolał jak po ciosie, ale gorączka wyraźnie spadła. Poza tym nie wymiotowała od jakichś trzech czy czterech godzin, co również uznała za pomyślny znak. Wiedziała, że w końcu trzeba będzie zacząć jeść, aby odzyskać siły, ale na razie wołała nie ryzykować. Obiecała sobie, że rankiem coś skubnie, choćby miała to być tylko odrobina kokosa.

Nastał zmierzch; Anna znalazła się sama wśród ciemności i dźwięków wyspy. Odgłosy świerszczy, żab i innych stworzeń przestały ją niepokoić, chociaż była to pierwsza samotna noc od historii z Adlerem.

Lepsza samotność niż towarzystwo Kary, uznała.

Anna zawarła swoisty rozejm z wyspą. Owej nocy zasnęła i nie przyśniło jej się nic złego. Rankiem zjadła trochę mięszu z rozbitego kokosa i pomyślała o wodzie. Gdyby tylko mogła dosięgnąć kokosów wiszących wysoko na drzewach, napiłaby się ich mleka. Żałowała, że nie zna okolicznych roślin; większość z nich prawdopodobnie nie niosła zagrożenia dla zdrowia i sok z ich łodyg nadawał się do picia.

Zmarnowała dużo czasu, odchodząc od szlaku w poszukiwaniu wody. Wreszcie znalazła źródło o brzegach pokrytych zielonym nalotem. Ukłękła i zaczerpnęła trochę wody. Podniosła ją do ust i poczuła przykry zapach. Z wahaniem wypła parę łyków.

Trudno, najwyżej znowu się rozchoruję, pomyślała. Potrzebowała wody. Może to uodporni ją na miejscowe zarazki.

Napełniła dwie butelki. Woda miała zielonkawe zabarwienie i białawy osad, których pochodzenia wołała nie dociekać. Prowizoryczny plecak znów stał się cięższy. Wróciła na szlak i kontynuowała wędrówkę.

Gdybym tak miała samochód, rozmarzyła się w duchu. Dotarłabym na miejsce w pół godziny. Owa myśl rozśmieszyła ją, a jednocześnie niemal doprowadziła do łez. Dam radę, dam radę, powtarzała w duchu jak mantrę. Nie potrzebuję pieprzonego samochodu. Zmusiła ciało do marszu. Był to sprawdzian siły woli i wytrzymałości, ducha nad materią. Pomimo swego żalostnego wyglądu odkopała w sobie pokłady uspiętej dotąd energii; wiedziała, że może ją powstrzymać tylko nieszczęśliwy zbieg okoliczności bądź nawrót choroby. Zastanawiała się, dlaczego nie zdobyła się na podobny wysiłek w zmaganiach z ojcem i panem Spate'em. Popęłiła niewybaczalny błąd, nie ujawniając prawdy, bez względu na konsekwencje. Oczekiwała, że po powrocie do domu będzie inaczej.

Nie oczekiwała jednak ponownego spotkania ze swą Nemezis, leżącą na środku drogi niczym jeleń potrącony przez samochód. Natychmiast zrozumiała, że to Kara, i zastygła bez ruchu.

Cholera, pomyślała, w pośpiechu rozważając różne możliwości. Chciała zboczyć ze szlaku i ominąć nieoczekiwaną przeszkodę. Najrozsądniej będzie udać, że w ogóle jej nie zauważyła. Po dokładniejszej analizie sytuacji doszła do wniosku, że to pewnie pułapka, że zaraz nastąpi atak.

Nie, to przecież bez sensu. Rozstały się wiele mil wcześniej. Pomimo gniewu Anna nie chciała, by emocje zablokowały w niej ludzki odruch.

Postanowiła skupić się na czekającym ją zadaniu i nie marnować energii na Karę, która przecież mogła być martwa. Anna pragnęła jedynie przeżyć, Kara zaś stanowiła przeszkodę na drodze do celu.

Ruszyła prosto przed siebie, wyminęła koleżankę i stanęła w pewnym oddaleniu od niej. Kara wyczuła jej obecność i zmieniła pozycję, spoglądając na Annę wytrzeszczonymi oczami.

-Anna?

Anna popatrzyła na nią z góry.

-Jestem chora, Anno... Nie mogę oddychać.

Anna z całą pewnością nabrałaby podejrzeń, gdyby nie to, że twarz dziewczyny była trupio blada, a na jej dolnej wardze widniała plama krwi.

-Mam straszny kaszel, Anno. Nie wiem, co się stało.

Myślisz, że to zapalenie płuc?

Anna spoglądała na nią w milczeniu.

-Nie spodziewałam się tego - ciągnęła Kara. - Wczoraj wieczorem zaczęłam kaszleć. Pluję krwią. - Usiadła z wysiłkiem.

Ironia sytuacji nie umknęła uwagi Anny, lecz nie sprawiła jej też satysfakcji. Nie miała czasu na Karę.

-Słyszysz, co mówię? - jęknęła Kara. - Jestem chora.

-Słyszę. A co ja mogę na to poradzić?

-Potrzebuję wody. Błagam, nie znalazłam ani kropli. Powinnam była...

-Zabrać moją? - Anna potrząsnęła głową. - Zostawiłaś mnie na pastwę losu.

-To nie tak - odrzekła Kara. - Droczyłam się z tobą. Byłam zła, że muszę iść sama. Miałam zamiar powiedzieć w mieście, gdzie jesteś.

Anna bez słowa uklękła obok i wyjęła butelkę z wodą. Doskonale wiedziała, że Kara kłamie jak z nut. Z rozmyślną powolnością pociągnęła łyk z butelki. Następnie ze smakiem oblizła usta, choć woda była wstrętna, zielona i smakowała jak ocet.

-Anno, proszę cię - błagała Kara, zanosząc się kaszlem.

Anna pociągnęła kolejny łyk, po czym pogardliwie rzuciła butelkę koleżance.

-Pij. Masz żyć. Niech wszyscy dowiedzą się, jak próbowałaś nas opuścić. Trafisz w miejsce gorsze niż Tempe czy poprawczak.

Kara z wdzięcznością chwyciła butelkę.

-Nieprawda.

-Ależ tak.

-Wszystkiemu zaprzeczę. - Kara podniosła wzrok. - Wyprę się wszystkiego, co powiesz.

-Nie wątpię. - Anna wstała. - Na mnie już czas. Jesteśmy niedaleko miasta, przyślę ci pomoc.

Możesz zatrzymać butelkę. - Była pusta.

Twarcz Kary spurpurowiała.

-Nie możesz mnie tu zostawić! - zawołała. -Wiem, że im o mnie nie powiesz. Ukarzesz mnie tak jak wszyscy.

-Bądź spokojna. Nie ufasz mi?

-Anno...

-Muszę iść.

Kara podniosła się z wysiłkiem i Anna zrobiła krok w tył. Kara wyglądała jak chodzący szkielet, postać rodem z horroru albo opowieści Edgara Allana Poe. Zdumiona Anna popatrzyła na nią z lekkim przestraszaniem; nie podejrzewała, że tamta w ogóle zdoła wstać. Kara chrapliwie zaczerpnęła tchu i ruszyła w kierunku Anny.

-Nie zostawisz mnie, Anno. Zostaniesz tutaj. Ty wyzdrowiałaś, więc i ja wyzdrowieję. Przeczekamy tu kilka dni i pomożesz mi wrócić do zdrowia. – Kaszlnęła hałaśliwie; pomimo dzielącej je odległości Anna wyraźnie usłyszała rżenie w płucach. - Zdobędziesz dla mnie wodę i żywność. - Siąknęła nosem, wciągając smarki, które wyciekły z jednej dziurki. Sińce pod oczami były niemal czarne.

Anna cofała się przed Karą, która podążała ku niej z wyciągniętymi ramionami. Nikt nie rozpoznałby w niej pięknej dziewczyny z pierwszego dnia w Archstone. Była wychudzona i wyglądała na starszą, niż była, a jej kości policzkowe sterczały pod skórą, jakby zaraz miały ją przebić.

-Odchodzę - powiedziała nerwowo Anna. - Przyślę pomoc, naprawdę. - Bała się odwrócić, żeby Kara nie zaatakowała jej od tyłu.

-Jak śmiesz mnie opuszczać! - wrzasnęła obłąkańczo Kara. - Jestem najładniejsza, najmądrzejsza i ja tu rządzę! Tylko ja się liczę. Ja! Zginiesz, Anno. Beze mnie nie dasz sobie rady. Przetrwają najsilniejsi!

-Ależ dam sobie radę - mruknęła Anna. Była tak oszołomiona, że nie zareagowała wystarczająco szybko, kiedy Kara skoczyła w jej kierunku. Jak na kogoś tak chorego i wycieńczonego okazała się nadzwyczaj zwinna. Uderzyła Annę w twarz, po czym rzuciła się na nią i obie upadły na ziemię. Krzycząc i przeklinając Kara zaatakowała twarz koleżanki.

Anna uświadomiła sobie ze zgrozą, że Kara próbuje dosięgnąć paznokciami jej oczu. Upłynęła chwila, nim zrozumiała, że oszalała dziewczyna naprawdę chce ją skrzywdzić. Pomimo przewagi wzrostu przeciwniczki zdołała stanąć na czworakach i znaleźć się nad Karą. Nigdy się z nikim nie biła. Raz tylko pchnęła koleżankę, na co chłopcy zgromadzili się wokół, pokrzykując „Bójka!”.

Kara wiała się pod nią, tłukąc na oślep pięściami, po czym jak zwierzę zatopiła zęby w uchu Anny. Ta oglądała dość filmów, by wiedzieć, co należy zrobić. Cofnęła łokieć i wpakowała pięść prosto w nos koleżanki. Zdumiał ją zarówno ból własnej ręki, jak ilość krwi, która chlusnęła z nosa Kary. Przeturlała się na bok i wstała, trzymając się za obolałą dłoń i z trudem łapiąc oddech.

Kara leżała na ziemi zwinięta w kłębek i przyciskała ręce do nosa. Krew ciekła jej między palcami i wsiąkała w liście.

Anna doszła do wniosku, że sytuacja odbiega nieco od rzeczywistości filmowej. Walka z Karą trwała niespełna trzydzieści sekund. Anna zerknęła na swoją rękę i spróbowała poruszyć palcami. Na szczęście nie o-znały uszczerbku.

-Złamałaś mi nos suko! - wyszlochała Kara. Przetoczyła się na plecy, nie odrywając rąk od twarzy.

-Sama mnie do tego zmusiłaś. - Anna przezornie stanęła w pewnej odległości od tamtej. Drugi raz nie popełni tego samego błędu.

-Nienawidzę cię!- Głos Kary zyskał dziwną tonację z powodu infekcji puchnącego nosa. Kiedy wreszcie opuściła ręce, oczom Anny ukazał się dość żałosny widok. - Boże! Zabije cię!  
- Usiadła, plując krwią, na jej koszulce pojawiła się rozległa czerwona plama.

Anna cofnęła się jeszcze bardziej, ale Kara nie p5-bowała wstać.

-Sama jesteś sobie winna - powiedziała Anna. Kara unikała jej wzroku.

-Idź sobie. Zostam mnie. Dostyc narozrabiałaś. Nie mów im, gdzie jestem. Mam to gdzieś. -  
Wypluła flegmę.

-Ależ powiem.

-I po co? Nie potrzebuję twojej pomocy. Nikogo nie potrzebuję.

-Jasne, Kara. Jak obie chcesz.

-Dlaczego mnie nienawidzisz, Anno? Dlaczego?

-Wcale cię nie nienawidzę, tylko mi cię żal. Tym razem to Anna odeszła, pozostawiając na ziemi płaczącą koleżankę, początkowo szła tyłem, wreszcie odwróciła się i ruszyła naprzód szybkim krokiem. Kara wrzeszczała coś za ni, po czym słowa zawiodły, przechodząc w przeciągły krzyk przerażenia i bólu. Anna zignorowała te żałosne odgłosy. Czekają ją kilka dni wędrówki, ale miała nadzieję dotrzeć do Higsea Rock przed zachodem słońca następnego dnia.

Spędziła noc na polnie z dala od drogi. Ukryła się dobrze, na wypadek gdyby Kara wydobrzała na tyś, by zechcieć jej szukać. Nie było to najlepsze miejsce na nocleg z powodu małych, gryzących mrówek, które lgnęły do jej zadrapań, ale nie miała siły się ruszyć. Na jej ciele nie było ani cała zdrowej skóry, tylko same siniaki, ugryzienia owadów albo draśnięcia. Przespała kilka godzin i wczesnym rankiem ruszyła w dalszą drogę. Powtarzalność krajobrazów nie wpływała na nią motywująco. Kolana zeszywniały jej tak bardzo, że upłynęło pięć minut, zanim zdołała je zgiąć. Dłoń, którą uderzyła Karę, wciąż była spuchnięta i obolała, lecz Anna nie żałowała tego, co zrobiła.

Jeszcze tylko kilka dni, powtarzała w duchu. To naprawdę niewiele. Nie miała pojęcia, ile mil dzieli ją od miasta, wiedziała tylko, że zmierza we właściwym kierunku. Podniesiona na

duchu zrolowała śpiwór i umieściwszy w środku butelkę z wodą, ruszyła przed siebie. Miała nadzieję, że wkrótce będzie bezpieczna.

\*\*\*

Kiedy trzy dni później opuściła las, pełzała na czworakach. Poprzedniego dnia nie udało jej się znaleźć wody, w związku, z czym gorączka i dolegliwości żołądkowe powróciły ze zdwojoną siłą. Często mamrotała pod nosem, niczym kaznodzieja uliczny. W pęcherze na stopach wdała się infekcja, palce zaś podwoiły swoją objętość. Najlżejszy dotyk wrywał z jej ust okrzyk bólu.

Od czołgania miała zdarte i zakrwawione kolana, które owinęła prowizorycznym bandażem zrobionym ze strzępów koszulki. Musiała wyrzucić śpiwór, nie mogła dłużej go nieść.

Na widok rzędu białych, drewnianych domów oraz budynków z czerwonej cegły zaczęła płakać. Przed jednym z domów zobaczyła dwie kozy oraz zagrodę z trzema kurczakami.

Udało mi się, pomyślała. To Nichol's Town. Dotarłam na miejsce.

Nie mogła w to uwierzyć. Położyła się na ziemi i za-szlochała. Poprzez szum w głowie dotarł do niej tupot małych stóp.

-Proszę pani - zabrzmiał głos. Anna uniosła głowę i zobaczyła trzech ciemnoskórych chłopców wpatrujących się w nią z wielkim zaciekawieniem.

-Wody - wydusiła, lecz miała tak opuchnięty język, że słowo zabrzmiało jak szept.

-Proszę pani - powtórzył chłopiec, najwyższy z całej trojki. Pozostali dwaj trzymali się nieco z tyłu, wyraźnie przestraszeni. - Widać pani cycuszek. - Jeden z mniejszych chłopców zachichotał.

-Pomóżcie mi - wychrypiała. - Proszę. - Każde słowo kosztowało ją mnóstwo wysiłku; głowa opadła z powrotem na ziemię.

-Nic pani nie jest? - spytał najwyższy chłopiec.

-Nie - wymamrotała w piach. Chłopcy chyba nie dosłyszeli.

-Okropnie pani wygląda.

Anna spróbowała się podnieść i wytłumaczyć, że mają zawołać kogoś dorosłego, lecz nagły ruch sprawił, że dwaj mali chłopcy rzucili się do ucieczki. Lecz najwyższy został i nadal nie spuszczał z niej wzroku.



-Zawołam tatę - postanowił wreszcie. - On pani pomoże. - Odbiegł w ślad za innymi. Anna przymknęła oczy i wsłuchiwała się w dobiegający zewsząd szmer wyspy. Wniknął w jej ciało i wiedziała, że nigdy nie ucichnie. Zastanawiała się, czy chłopiec wróci. Jeśli nie, nie weźmie mu tego za złe. Pewnie ma ją za potwora, okaleczoną postać zesłaną na ziemię. Jednakże chłopiec wrócił.

-Powiedziałem tacie - oznajmił. - Zaraz przyjdzie.

-Dziękuję - szepnęła.

-Proszę to wypić.

Anna poczuła, że wciska jej coś do ręki i zrozumiała, że to otwarta puszka coli. Chciwie przystawiła ją do ust i zaczęła pić. Napój spływał jej po twarzy i kapał na ziemię.

-Nie tak szybko - ostrzegł chłopiec, ale nie słuchała.

-John! - krzyknął mężczyzna. Anna usłyszała pospieszne kroki.

-Tato!

Silne dłonie położyły Annę na plecach. Ujrzała zatroskaną twarz i zmarszczone czoło.

-Chryste Panie! - zawołał mężczyzna. – Widziałem cię! Na kanale siódmym i na satelicie! - Był wyraźnie pod wrażeniem. Miał na sobie czerwoną koszulkę z napisem „Coca-Cola” i podarte dżinsy. - Jesteś jedną z zagubionych dziewcząt!

Anna kiwnęła głową. Popatrzyła na mężczyznę oraz błękitne niebo rozpostarte nad jego głową.

-Jakim cudem doszłaś tak daleko na północ? - spytał mężczyzna. - Cały świat cię szuka, dziewczyno. Jak tu trafiłaś?

-Pieszko.

Popatrzył na nią z litością.

-Już jesteś bezpieczna. Mam ciężarówkę z napędem na cztery koła. Zawiozę cię do szpitala w Nichol's Town.

Słowa mężczyzny wprowadziły Annę w oszołomienie.

-Ja myślałam... - Gorączka ścisnęła jej czaszkę metalową obręczą. - Myślałam, że to jest Nichol's Town.

-Nie, nie. - Mężczyzna potrząsnął głową i spojrzął na syna. Postradała zmysły, mówiło jego spojrzenie. - Szłaś w niewłaściwym kierunku. To Shaygil's Point. Nichol's Town leży trzydzieści mil stąd.

-Ale Cici... - wydusiła Anna.

-Cici?

-Niewidoma staruszka. W lesie.

Mężczyzna z uśmiechem potrząsnął głową. Jego syn również się uśmiechnął. Mężczyzna zasłonił ręką usta, jakby uśmiech wydał mu się niestosowny.

-Felicia - powiedział, kołysząc się na piętach. - Stara wariatka. Wszystko jej się myli. Trudno na niej polegać. To Shaygil's Point, nazwany tak po moim dziadku. -Wskazał na jedną z białych chat, pociągniętą świeżą farbą. -To jest właśnie mój dom. Chłopiec szepnął coś ojcu do ucha.

-Tak - odparł mężczyzna. - Masz rację. - Zwrócił się z powrotem do Anny. - Musisz zejść ze słońca. Ustoisz na nogach?

Potrząsnęła głową.

-Wobec tego cię zaniosę. John, idź pościel łóżko.

Powiedz matce, że znaleźliśmy zagubioną.

Podniósł Annę jak piórko. Był silny i jej ciężar nie zrobił na nim najmniejszego wrażenia. Minęli zwirową ścieżkę i weszli do domu, gdzie mężczyzna położył dziewczynę na wąskim materacu.

-Przyniosę poduszkę.

Łóżko okazało się niesamowicie miękkie. Anna leżała nieruchomo, rozluźniając mięśnie. Przez okno widziała ścianę drzew. W oślepiającym blasku słońca wszystko zdawało się spłowieć, jakby patrzyła na barwną fotokopię.

Na progu stanęła matka chłopca, rosła kobieta w roboczym drelichu. Ukazała w uśmiechu szparę między zębami. Skrzętnie skrywała przerażenie wywołane wynędzniałym wyglądem Anny.

-Jak się nazywasz?

-Anna Wheeler.

-Aha - powiedziała kobieta. - Tak myślałam. Widziałam twoje zdjęcie w telewizji. Mam na imię Deb.

Wrócił mężczyzna z poduszką, którą delikatnie umieścił pod głową Anny, po czym wyszedł. Chłopiec zajrzał przez drzwi. Podchwyciwszy spojrzenie Anny, uciekł, zaraz jednak powrócił i usiadł na progu.

-Zaparzę herbatę - powiedziała Deb. - John, nastaw wodę.

Chłopiec nie miał ochoty wyjść, ale spełnił polecenie.

-Jesteś głodna? - spytała Deb. - Robię kotlety i sałatkę.

Anna potrząsnęła głową. Jeszcze nie była gotowa na jedzenie. Odwróciwszy twarz do okna, wyjrzała na las. Kobieta raz jeszcze poklepała ją po nodze.

-Nic nie mów. Oszczędzaj siły.

Anna z wdzięcznością skinęła głową.

-Mąż poszedł po samochód. Parkujemy za szopą u sąsiadów. Kiedy tylko poczujesz się lepiej, zabierze cię do Nichol's Town.

Chłopiec stanął w drzwiach.

-Nastawiłem wodę, mamó.

-Grzeczny chłopiec.

Anna przymknęła oczy.

Była bezpieczna.

Whiskens

# EPILOG

Spoglądając na wyspę z helikoptera wiozącego ją do Miami, Anna zrozumiała, dlaczego liczne ekipy ratunkowe nie mogły jej znaleźć. W dole rozciągała się jednolita płachta zieleni.

Wiele wydarzyło się od chwili, kiedy dwa dni wcześniej dotarła do Shaygil's Point. Mężczyzna, który miał na imię John, tak jak jego syn, zawiózł ją do szpitala, gdzie spędziła kolejną dobę w miłym chłodzie klimatyzowanych sal.

Z czternastu zaginionych dziewcząt odnaleziono jedenaście, w tym większość dzień lub dwa po zabójstwie Adlera. Anna i jej towarzyszkę znalazły się poza zasięgiem pierwszej grupy poszukiwaczy. Po upływie kilku dni, z powodu pobytu w jaskiniach straciły kolejną szansę na ocalenie. Ich los wzbudził takie zainteresowanie Amerykanów, że w telewizji nadawano bieżącą relację z poszukiwań. Anna uśmiechnęła się na wspomnienie planów Stacey, dotyczących ewentualnej sprzedaży ich historii.

Anna opowiedziała policji oraz personelowi szpitala o wydarzeniach w jaskini i wskazała im miejsce pobytu Stacey. Opowiedziała im również o pozostałych dziewczętach. Z całej grupy odnaleziono tylko Alice i Stacey. Otepiała Alice snuła się w pobliżu jaskiń, Stacey zaś znaleziono przy rzece bliską śmierci. Z uwagi na poważny stan natychmiast została odtransportowana na kontynent. Mimo to lekarze twierdzili, że w pełni odzyska zdrowie. Anna niecierpliwiła się na myśl o spotkaniu z przyjaciółką: chciała upewnić się osobiście, że Stacey jest naprawdę cała i zdrowa.

O ironio, Marię odnaleziono dzień po tym, jak odłączyła się od grupy. Od pewnego czasu przebywała z rodziną w Jacksonville.

Los Laury i Eriki pozostawał nieznany. Anna domyślała się, że nie żyją, a ich ciała spoczęły w niezbadanych zakątkach wyspy, lecz miała nadzieję, że jest w błędzie.

Kara przepadła jak kamień w wodę. Anna dziwiła się, że jeszcze jej nie odnaleziono, zwłaszcza że rozstały się nieopodal Shaygil's Point. Istniało pewne prawdopodobieństwo, że dziewczyna wyzdrowiała i zrealizowała plan ucieczki, lecz Anna miała co do tego poważne wątpliwości. Kara albo nie żyła, albo nadal błąkała się po lesie. Oby znaleziono ją jak

najszybciej. Anna wiedziała, że Stacey jest dobra, a Kara zła, jednak pragnęła, by obie bezpiecznie wróciły do domu.

Nie denerwowała się na myśl o spotkaniu z rodzicami, którzy czekali na nią w Miami. Wielu rodziców, w tym również i jej, przybyło na wyspę tuż po wypadku, lecz po tygodniu odwołano poszukiwania i odesłano ich do domu. Wynikało to z podjętej przez władze okręgu Bahama próby zażegnania niepokoju o wpływ incydentu na miejscową turystykę.

Policja przesłuchała Annę w sprawie Jume'a i Leoda. Zeznała wszystko, co mogła o nich powiedzieć. I choć niechętnie udzielano jej informacji na ten temat, dowiedziała się, że obydwu mężczyzn poszukiwano za przemyt narkotyków do Stanów. Prawdopodobnie przybyli na Andros w celu zawarcia transakcji, która jednak przebiegła zdecydowanie nie po ich myśli. Policja wszczęła poszukiwania ludzi odpowiedzialnych za ich śmierć.

Helikopter znalazł się nad białą plażą i zielono-szafirową powierzchnią wody. Wyjazd z Andros budził w Annie sprzeczne uczucia. Tutaj oczyściła umysł z niepotrzebnych myśli. Na wyspie nie było szkoły, chłopców ani rodziców, jedynie walka o przetrwanie. Anna została poddana próbie i przeszła ją pomyślnie, choć jedyną nagrodą było poznanie samej siebie.

Pomyślała, że może kiedyś tu wróci, odwiedzi miejsce, które ukształtowało jej charakter. Przymknęła oczy, wsłuchana w krzepiący warkot helikoptera niosącego ją do domu.